Stefan Żeromski


B
B
V
J
A

DZIEJE GRZECHU

TOM II

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO:

Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza. Powieść 1916.
Walka z Szatanem II. Zamieć. Powieść 1916.
Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść 1919.
Aryman mści się. Godzina. Wydanie drugie 1911.
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte (w druku).
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
Opowiadania. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke Zmierzch.—Złe przeczucie.—Po Sedanie.—Zapomnienie.—Pokusa. Siłaczka.—Oko za oko.—Niedziela.—Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
O przyszłość Rapperswilu. Kraków 1912.
Organizacya inteligencyi zawodowej. Warszawa 1919.
Początek świata pracy. Kraków 1918.
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Wydanie czwarte, drukowane w piątym roku wojny wszechświatowej.
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa 1918.
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
Sen o szpadzie. Kraków 1914.
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane 1916.
Siłaczka. Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
Sułkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.
Syzyfowe prace. Powieść. Wydanie nowe. 1919.
Uroda życia. Powieść 2 tomy. Wydanie drugie. 1912.
Utwory powieściowe. (Na pokładzie.—O żołnierzu tułaczu.—Tabu. Cienie.—Kara.—Legenda o bracie leśnym) Wydanie czwarte. 1910
Wierna rzeka. Klechda. 1913.
Wisła. Warszawa 1918.
Wszystko i nic. Warszawa 1919.
Zmierzch.—Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr 41) 1907.

UTWORY MAURYCEGO ZYCHA:

Echa leśne. 1905.
Rozdziobią nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami St. Janowskiego. 1905.
Słowo o Bandosie. 1908.

UTWORY JOZEFA KATERLI:

Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.

STEFAN ŻEROMSKI

DZIEJE GRZECHU

TOM II

WYDANIE PIĄTE

WARSZAWA MCMXX KRAKÓW
Nakład T-wa Wydawniczego w Warszawie
Mazowiecka 12, Rynek Starego Miasta 11, Marszałkowska 143.



Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

W małym hoteliku, już niemal zamiejskim, przy ulicy Cours Grandval mieściły się na trzeciem piętrze sąsiadujące ze sobą pokoje Jaśniacha i Ewy. Łączył te pokoiki balkon z białego marmuru, wychodzący na stronę południową.

W izbach tych było pełno słońca, pełno zapachu wielkich fiołków, świeżej woni macchii, przesycającej korsykańskie powietrze, — i pomarańcz, których sad rozległy rumienił się w dole. Palmy siedziały wszędzie, jużto rzędem, już tłumnie, przy najlżejszym powiewie południowego wietrzyka cicho a sucho szeleszcząc. Eukaliptusy wybuchały w wyżynę, ponad domy czteropiętrowe.

W rogu ogrodu przechylało się przez jego wielki mur ciemnoróżowe drzewko gorzkiego migdału, nęcąc wzrok, jak dziecko prześliczne, rozbawione w promieniach słonecznych. Wszystkie gałęzie miało oblepione kwiatem, a liścia jeszcze ani jednego.

Stało się ono dla oczu Ewy, gdy je po raz pierwszy ujrzała, „gałęzią odpuszczenia". Tak je nazwała. W dobie przybycia, późnym wieczorem usłyszała słowika, — a następnego ranka, wnet po przebudzeniu, — kukułkę.

Te głosy ozwały się w uchu i zostały wysłuchane przez serce, jak pozdrowienie ze świętej, dalekiej ojczyzny, jako głosy przebaczenia wszystkich grzechów, które była popełniła. Tej nocy po przybyciu Ewa spała nadzwyczaj twardo, kamiennym snem, który, (zdało się jej w chwili ocknienia), trwał przez mgnienie powieki.

Wczesnym rankiem puściła się w drogę. — Idąc gościńcem nadmorskim, prowadzącym na zachód, zaznajamiała się ze srebrnoszatymi gajami oliwy i dumała wśród ich koślawych pniów, pod powikłanymi konary, które do niej wyciągały swoje cieliste ramiona. Patrzyła z zachwytem, jak się te gaje wynurzają z tła ciemnej zieleni i pną w górę po skałach, błyszczą na nich, gdyby szronem okryte. Witała się z winniczkami, zstępującemi ku morzu ze słonecznych stoków górskich; gapiła się gapieniem wielkiem na zagajniki kasztanów — i na niezmierzone ponad ich konarami obszary kamiennej pustyni. Tu i owdzie zatrzymywała ją, (zatrzymywała w dosłownem znaczeniu tego wyrazu), prześliczna wistarya, wiosenna krasa południa, błękitnymi sploty przesypująca się z wyżyny nagich murów na drogi bite, zwisająca, jak bajeczne włosy nimfy Kalipso, ze sztachet zaczarowanych ogrodów.

Ani się spostrzegła, ani obejrzała, kiedy bardzo daleko odeszła od wielce brudnych ulic tak często wymienionego w historyi nowożytnej miasta Ajaccio. Skręciła nieco z drogi bitej i była na samym brzegu morza. Słońce już bardzo przygrzewało. Weszła też z rozkoszą w prześliczne templum, za rubież cienia wielkiej pinii nadmorskiej. Ta pinia miała korę szarą, porżniętą w grube skiby, pień zasię pochyły i rozwidlony ku szczytowi na kilka konarów o barwie czerwonawo-żółtej. — Acz-

kolwiek tak wielka, tak daleka i aż nadmorska, wielka pinia przypominała sosnę z nad Świdra, jak siostra przypomina siostrę. Igły miała dłuższe, szyszki o kształcie inakszym, ale tak samo żywiczne obary i ślepe osmoły ciekły z jej ran na grubą korę i, tak samo jak w gałęziach tamtej, mały ptaszek sikora, poświstując samemu sobie, wydłubywał smaczną strawę z łupinek szyszki.

Ewa utkwiła w tem miejscu. Siadła na małej skałce pod pinią, podparła głowę rękoma. — Nogi jej stały na suszy, lecz już w tem miejscu dokąd przychodziło morze. A przychodziło do bujnej i wyniosłej trawy, jak gruby kożuch osłaniającej głęboki granit. Błękitne, przezroczyste fale, wydłużając się i płaszcząc, czołgały się do stóp. Zawsze jednakim głosem zwierzały coś słuchaczce, niby niemowa, którzyby usiłował dźwiękami wyrazić głębiny i ciemne tajemnice swego żywota. Dookoła była wielka cisza. Wiatr, sączący się przez gałęzie pinii, sprawiał szum, który jeszcze podwajał wyrazistość ciszy. Ewa popadła w otrupienie duchowe i w bezmoc fizyczną. Oczy jej spoczywały na każdej fali, idącej do brzegu, — chłonęły ulotny błękit, przelewający się w jej głębi przezroczystej do zielonego zatajenia. Śniło się, że ów błękit tak ślizki i ruchomy wydaje morski szum... Kiedy zaś oczy wznosiły się wyżej, gdy ogarniały zatokę i to miejsce rozpostarte, gdzie się zatoka przemienia w dalekie, nieskończone morze, — dusza leciała...

Wygięta, miękka linia, — ni to okrągły wał na widnokręgu, — świetlista, jak samo światło, nieruchoma, a przecie idąca ku oczom, linia nieskończona, nie mająca początku ni końca, — wydzierała z piersi serce. W piersiach zostawała próżnia, żądza ogromu —

i wzdychanie z tej próżni ku nieskończoności. Ku czemuś bez granic, ku miejscu za światem, ku widokom pozaziemskim dźwigały się opuszczone ręce. Ani cienia wiedzy o tem, co to za uczucie. Konieczność... Nic, — tylko pragnienie obszaru, wchłonienia ogromu. Żądza ta nie dawała się osaczyć myślom i okryć nagości swojej znaną formą pojmowania. Była to jakowaś wiedza wewnętrzna, bytująca za murem myśli. Dźwigała się z duszy, niby zapach z obszarów macchii...

Jak posiąść to wszystko, co jest, jak zdobyć, pochłonąć i swoim uczynić istniejący świat? Jak owładnąć tem wszystkiem, co było, i tem, co będzie? Jakże to może być, że owo błękitne morze i sine góre i, bytujące w niem, senne wyspy, ten wszystek nieznany świat, — stał przed wiekami taki sam, a nas nie było? Jakże to może być, że nas nie będzie, a on na wieki taki sam zostanie? I obejmą ten świat oczyma inni! Nazwą go swoim własnym inni, nieznani, niewiadomi. Przed wiekami morski pirata uderzał tę zatokę zbójeckiemi oczyma... Rzymianie, włoscy tyrani, Frankowie.. Ogarnął ją młodzieńczemi oczyma Napoleon — i śnił tu, może w tem samem miejscu, swój sen o potędze, a który to sen był mniejszy, nędzniejszy, niż późniejsza rzeczywistość potęgi... Zdobył zatokę, morze, zamorski ląd, kraje państwa, narody, królów, — a oto niema go wcale... Znikł, jak fala.

Kiedyś chwycą to morze inni i — utoną w niem wraz z pamięcią ludzką o ich pracy. Przejdą, staną się obcy, przechodnie, goście. Nie będzie do nich należała ta ziemia i nie będzie należało morze, bo nie należy do nikogo. Morze jest dla wszystkich, lecz wszyscy mu są obcy. Wszystko wyrzuci ze swego wnętrza i ciśnie

ze wzgardą na ludzki brzeg. A ziemia trupy rozpuści w sobie, pożre je i, jak skąpiec, przemieni na swoją korzyść. I nie ma nikt swego własnego miejsca. Gdyż przemijamy, jak fale, które zalśnią pięknością na słońcu, zestarzeją się, spłaszczą i umrą.

Morze szumiące wyszarpywało z duszy nie te wyrazy, lecz uczucie, które się poniekąd w tych wyrazach zawiera. Morze tem uczuciem władało. Przemywało je nieskończonemi falami, jak ranę zropiałą. Przemywało je wielekroć. I rana myśli stała się czystą a bezbolesną. Uczucie stało się przezroczyste i nieustraszone, jak morze. Wzniosło się w górę i rozszerzyło.

— Pocóżem ja je wtedy zabiła? — myślała Ewa bez trwogi, bez żalu, bez wzruszenia. — Gdybym je teraz miała ze sobą!

Nie byłabym tutaj, — marzyła, — tylko w Warszawie. Suszyłabym pieluchy, a Aniela nazywałaby je bękartem. Horst-by je obrzucał swemi spojrzeniami, a Barnawska mówiłaby o niem swe aforyzmy. Lepiej mu tam! lepiej mu tam, gdzie jest! Lecz jego niema, jak mnie nie było i jak mnie nie będzie. Stało się gnojem, jak ja się stanę... nuciła, opierając głowę o pień chropawy wielkiego drzewa.

Zstąpił na nią spokój, ukojenie, zdrowa niezdolność do uczuć. Płynął przez nią szum drzewa. Przerzucała się przez jej duszę wzdychająca chełb morza. Ewa patrzyła w morze i uśmiechała się. Gdyby w słowa zamknąć jej czucie, toby może te słowa były:

— Morze! Jakże jesteś piękne, jakże zdrowe, jak prawe! Jakże jesteś wierne samemu sobie i godne chwały swojej. Ty jesteś, jak miłość: cała zawierasz się w sobie. Wszystkie niemoce zwyciężasz nieśmier-

telnem uniesieniem, wszystkie choroby skazujesz na zapomnienie. Oddałabym ci moją duszę poranioną, żebyś ją wzięło i kolebało w sobie, ty kolebko, piastująca siłę i wielkość.

Dałabym ci ciało me nagie, żebyś je kołysało na łonie swem, wieczyście młodem. Ciało moje jest piękne, a stało się godne pogardy. Ty jedno jedyne umiałobyś wymyć z głowy przeklęte myśli, wypłukać nieskończonem chlustaniem ropę wspomnień nikczemnych! Powiedz mi! Wszak miałam prawo zrobić tak, jak zrobiłam. Dzięki mnie, przyszło na świat, lecz nie ja chciałem, żeby się zrodziło. Nie ja je z nicości poczęłam. Byłabym z niem na ręku ścigana, jak zbrodniarka, a ono byłoby przeklęte przez cały rodzaj ludzki. Narodziło się z najczystszej miłości, a było bękart. Ocaliłam je od nędzy istnienia wśród ludzi, którzy ścigają bękarta, jak wściekłego psa.

Morze! Ty umiesz obmywać grzechy, wracać dziewictwo i opłukiwać plugawość rodzenia dziecka! Wróć mi dziewictwo! Wróć mi duszę moją dziewiczą! Wróć mi siłę, kiedym jeszcze nie znała mężczyzny i żądz kobiecych, które on we mnie wynalazł...

Było już późno, kiedy się z zamyślenia ocknęła. Czas było wracać do hotelu na południowy l u n c h. Poszła szybko. Przybyła właśnie na chwilę, kiedy siadano do stołu. Nakrycie jej znalazło się przy nakryciu Jaśniacha, który już był zeszedł na dół. Był mizerny, ale nieco bardziej ożywiony i rozmowny. Przy stole kilka zaledwie osób. Dwu Anglików, jedna Angielka i trzy wstrętne Niemkinie, bełkocące bez przerwy i tylko między sobą o tem, że morze tu jest piękne, morze jest bardzo piękne — n i c h t w a h r? — morze jest bardzo

piękne — o, j a! Wreszcie oficer marynarki francuskiej. Z owych „Anglików“ pierwszy nazywał się Sapalski, a był z pochodzenia... Niemcem; drugi zwał się Herman Landau, co również słabe dawało świadectwo o jego anglosaskości. Rzeczywistą była tylko Angielka, a to już stwierdzały, gdyby nawet chciała zaprzeczyć, jej zęby, fryzura, kodak i t. d. Właściciel hotelu z miną profesora farmakognozyi, z krzywemi binoklami na nosie, które stale spadały i to w sos pomidorowy, gdy go osobiście do stołu podawał z pieczołowitością, godną subtelniejszego specyału, czułe sprawił wrażenie rybami morskiemi i dwakroć obnoszoną pieczenią. Za to inne jego frykasy, nie wyłączając sera b r o c c i o, (po korsykańsku b r u c z), zgromadzona publiczność międzynarodowa, z wyjątkiem młodego wilka morskiego, miała ostentacyjnie za niemożliwość. Młody oficer był czarny jak murzyn. Miał przepyszne, lśniące oczy, którym samochcąc dodawał wyrazu burzy morskiej. Golił cały zarost z pozostawieniem włosów na podgardlu. Włosy nosił długie, spadające pasmami.

— Zupełny Camil Desmoulins... — mruknęła Ewa do Jaśniacha, patrząc zresztą dla niepoznaki na opatrzonego właściwym brzuszkiem Hermana Landau.

— Tamten! Ba, jeszcze jaki! Cóż za wspaniała fizys. Śnią się takiej bestyi wielkie czyny, gdy wyjeżdża z tej zatoki na jakimś tam torpedowcu! Jak to on musi mierzyć wzrokiem burzliwe wały pod Monte-Rosso! A za kilkanaście lat będzie z niego opój z czerwonym nochalem, zawalidroga, tyran dla majtków i wróg tych, co go wyścignęli w karyerze...

Młody oficer, piłując tępym nożem gnat pieczeniowy, przysłuchiwał się tej polskiej mowie z udaną

obojętnością. Udawał również, że nie zwraca uwagi na Ewę. Ale niedługo trwała ta wyniosła mistyfikacya. Wkrótce mu oczy zamigotały, jak u kota, i uśmiech rozmarzonego żaka przewijać się począł po wargach. Ona nie zwracała na niego uwagi, ale również pozornie. Była wesoła. Była pierwszy raz wesoła od dawien dawna. Śmieszyło ją wszystko. Tak niegdyś, za dawnych lat, (to znaczy przed trzema laty...), cieszyło ją życie gdy widziała, że szaleją za nią każde męskie oczy.

Przyszła na nią teraz pasya, żeby ze siebie zrzucić zmorę. Zapragnęła pokokietować południowca, Napoleonika z podgardlem à la Cavour, Camila Desmoulins, zajadającego ser korsykański, zwany b r o c c i o. Rzuciła mu od niechcenia jedno spojrzenie, (oczy nie zupełnie przewrócone, ale marzące, — uśmieszek), a później zamknęła powieki na cztery spusty, jakby w tej sali, na miejscu, gdzie siedzi czarny marynarz, znajdował się kredens, gospodarz w binoklach, lub piec kaflowy. Majtek przybierał kolejno miny jużto najparadniej rozmarzone, już szatańsko groźne, ponsowiał i zamyślał się, kokietował smutkiem dno swego talerza, albo uśmiechał się z banalnym cynizmem, jak uczeń fryzyerski. Ewa nie raczyła go już dostrzedz. Łaska została wyczerpana i cofnięta.

W sobie czuła pusteczkę weselną, uciechę morską, zdrowie i nicość myśli. Gdy wstała od obiadu i wyszła majestatycznie razem z Jaśniachem na werandę ogrodową, oficerek wsunął się na balkon. Zmieszany i różowy, jak pensyonarka, przedstawił się Jaśniachowi, jako Paul Mottez, i prosił o zaprezentowanie go Ewie. Przyjęła go wyniośle i zmierzyła takim wzrokiem, że znowu najeżył się, jak bałwan morski. Po chwili wy-

konał zamiar powzięty: zaczął wyładowywać ze siebie kilka wyrazów rosyjskich, których się nauczył z miłości dla zaprzyjaźnionego mocarstwa w czasie odwiedzin przez narodową eskadrę portu w Kronsztadzie. Ewa wstrzymała jego zapędy krótkim i suchym, jak pieprz, frazesem, że nie rozumie tych słów. Jest Polką, — no i tak dalej... Po chwili banalnej rozmowy odeszła do siebie, szeleszcząc złowieszczo jedwabną spódnicą. Gdy szła po schodach do swego pokoju, zanosiła się od śmiechu, od istotnego śmiechu. Miała dziwne uczucie, że słońce, gdy szła na spacer, przenikło przez skórę jej ciała, że nasyciło ją światłem. Byłaby nadto przysięgła, że żyły ma pełne zapachu macchii.

W pokoju swym nie mogła usiedzieć. Wyniosła krzesełko na balkon i poczęła napawać się widokiem ogrodów, wonią pomarańcz i fiołków, a nadewszystko różowem drzewkiem odpuszczenia.

Nierychło, pokaszlując, przywlókł się na górę Jaśniach. Zaraz wypełzł ze swej nory na jaśnię białego balkonu i rozpostarł się na długim leżaku. Wyglądał na tle iskrzącego się marmuru Carrary jak brzydka, szara liszka. Słońce raziło go w oczy, więc je (oczy) przymknął i osłonił czoło białą czapeczką. Chude ręce zwisały, jak u trupa, długie gnaciska tkwiły bezładnie, jak złożone cepy. Ewa przypatrywała mu się z ironicznym uśmiechem. Przyszła jej do głowy dziwna myśl: po co też taki „gad“ żyje na świecie? Jeżeli bowiem żyje ten z dołu Kamilek Desmoulins, — no to zrozumiałe. Może wleźć na wieżę, gdyby tam powiewała jedwabna halka, może się wdrapać po gładkim murze na wieżę w Pizie, jeżeliby mu stamtąd posłać powietrznego całuska. Skoczy do studni, gdyby tam wrzucić pachnącą różę... A ta-

ki! Gdyby mu powiedzieć: — Jaśniachu, Jaśniachu, kocham cię! — zastanowiłby się z pewnością, przedewszystkiem, czy on ma prawo kochać się, następnie czy już wszyscy ludzie także kochają, a dopiero na końcu, czy mu to nie zaszkodzi na kaszel i system nerwowy

— Jest jedno miejsce w Hamlecie, gdzie ten utrapiony mówi: „Tabliczki! Warto, abym na nich umieścił, że można się uśmiechać, a być łotrem!" M y t a b l e s, — m e e t i t i s I s e t i t d o w n... Pamięta to pani? Gdy spotkał ducha... — rzecze Jaśniach, nie podnosząc głowy ani powiek.

— Nie pamiętam.

— Jest to nieśmiertelne.

— Cóż w tem jest tak nieśmiertelnego?

Chciał zapisać coprędzej tę myśl, która się wysunęła, jako odkrycie, ze wszystkiego z całego ogromu życia. Widzi pani — chciał zapisać prawdę, która stała mu przed oczyma przez chwilę, jako ostatni wynik, jako różnica, zostająca z całego życiowego obrachunku, ze wszystkiego waru spraw otaczających, z uwag nad ludźmi, nad ich czynami i nad naszą o nich myślą. Jest to ostatnie, co jest. Ostatnie słowo, zamienione przez cierpienie na brylant prawdy Jeśli takiej myśli nie zapisać, to się rozwieje, zniknie. Bo te myśli są najtrudniejsze. Znikają, jak cudne sny.

— A to i panu zdarza się mieć takie myśli? — spytała,żeby tylko co powiedzieć.

— Drwi sobie pani ze mnie. A jednak tak jest, niestety! Czasem przeszywają mię te myśli nieznośne. Zwykle w takich razach nie mogę pisać.

— Dlaczego?

— Bo leżę, jak kłoda, albo jestem zabity na duszy i wszystko mi jedno. Jest „taka“ myśl, ale cóż z tego, że jest? Pocóż ona i na co komu się przyda? Niech przepada wraz ze mną!

Ewa zamilkła. Ponieważ nie patrzał na nią, więc poziewała w sekrecie. Po znacznym odstępie milczenia rzekła:

— Jeżeli pana osaczy kiedy owa niezwykłość myślenia, a nie zechce się panu pisać, proszę mi zwierzyć ustnie owe myśli. Niech je pan podyktuje. Piszę bez błędów ortograficznych.

— Che-che!

— Naprawdę — bez błędów! Takie myśli poety Jaśniacha-Bandosa mogą nawet mieć księgarską wartość.

— Powiedzą księgarze, że podrobione ad hoc przez socyałów, tembardziej, że autograf nie jego.

— Z treści poznają lwie pazury.

— Prędzej strzępy lwiego ogona. Ale niech tam! Jeszcze trochę rozjuszę dziennikarzy i wszelkiego rodzaju renciarstwo. Niech pani pisze.

— Ale w czem? Niema papieru.

— To też niech pani kupi zielony kajet na Place des Palmiers. Jest tam po lewej ręce taki sklep. Flaszkę atramentu, tudzież godziwą obsadkę ze stalówkami.

— All right!

— Na tytule można napisać: Testament zdychającego...

Cały czas wiosenny upłynął wśród dziwacznych, choć monotonnych zdarzeń. Jaśniach był coraz ciężej chory. Chudł, nie sypiał i popadał w rozstrój coraz cięższy. Nie zdając sobie sprawy, jakim się to dokonało sposobem, Ewa poczęła się nim opiekować, jak szarytka, czy siostra. O każdej porze dnia i nocy wchodziła do jego numeru i spełniała wszelkie czynności, których służba hotelowa z pewnością-by wykonać nie chciała. Jeżeli podczas dnia Jaśniach leżał w łóżku, co się najczęściej zdarzało „opiekowała się jego spokojem“. Miał ten termin głębokie znaczenie. Ponieważ najlżejszy szelest, świergot ptaków, daleki okrzyk dzieci, pianie koguta, szczekanie psów, kroki na schodach, szczęk nożów w kuchni, rozmowa w sąsiednim pokoju i tak dalej — przyprawiały go o rozpacz, trzeba było temu zapobiegać. Wynikły stąd tysiączne a najpocieszniejsze awantury. Trzeba było wykupić i wyłapać w całej dzielnicy koguty, osobiście wypędzać ze strychu zagnieżdżone tam koty, miauczące, oczywiście, po nocach. Samo się przez się rozumie, że przemyślni Korsykanie podpuszczali później koguty, ażeby je wkrótce za drogie pieniądze sprzedawać i za jeszcze droższe ścigać. Szczególnie jeden szybkonogi kałakut, wrzaskliwy jak roznosiciel gazet, stał się straszliwą wprost zmorą Jaśniacha.

Kogut ów budził go już około godziny pierwszej po północy z lekkiego drzemania, które wówczas jedynie, jak błogosławiony anioł, zstępowało na nieszczęśliwego. Piał zaś ten potwór tak piekielnym głosem i tak nienasycenie, że sama Ewa poczytywała go w końcu za Belzebuba, ucharakteryzowanego na sposób koguci. Jaśniach wymyślił machiawelski sposób napasienia wyżej

opisanego koguta chlebem, namoczonym w spirytusie, i pochwycenia, gdy się spije. Ale przebrany dyabeł nie był bity w ciemię i ani myślał wziąć się na owe moczone kawały chleba. Dziesiątki szybkonogich chłopaków, opłaconych sowicie, ścigały to piejące wcielenie piekieł, — nadaremnie, — w ciągu jakich dwóch tygodni. Roztropność nakazuje przypuszczać że owe pościgi korsykańskie nacechowane być musiały życzliwością dla koguta, nie dla Jaśniacha. Polowali na dręczyciela dwaj litościwi quasi-Anglicy (Sapalski i Herman Landau), strzelając wielekroć, z rozmaitej odległości, ku zgorszeniu całego kwartału, a rzecz prosta bez skutku. Zdrowi ludzie śmieli się do rozpuku i opowiadali sobie, trzymając się za boki, epopeję z kogutem. Śmieszną jest bowiem dla człowieka nędza ludzka. Sam Jaśniach, leżąc na swym balkonie, parskał nieraz ze śmiechu, gdy zgraja chłopaków, przewracając się, skacząc przez mury i rowy, ścigała szybkonogiego. Wytworzyła się wkrótce kontragitacya przeciwko schwytaniu Belzebuba. Powstała partya, stawiająca sobie za zadanie obronę jego życia i praw obywatelstwa. Na czele owego stronnictwa stanęła długozęba i płaskociała Angielka, która z oczywistą niechęcią znosiła w swej obecności piękność Ewy. Córa Albionu nie szczędziła grosza dla sparaliżowania zamachów na wolność i h a b e a s c o r p u s kogucie. Dzięki temu, (po części), kogut ryczał najspokojniej tuż pod oknem Jaśniacha i doprowadzał go do szału. Sama obawa, że straszne pianie nocne rozlegnie się, nim świt zarumieni wody zatoki, wprawiała chorego już z wieczora w stan rozpaczy. To też, kiedy nareszcie pewien czarnooki młodzian wszedł do pokoju, trzymając pod pachą wcielonego dyabła,

który łypał powiekami z udanem zdumieniem, Ewa wraz z milionem podziękowań rzuciła mu luidora. Tegoż dnia mniemany kogut w mocnych pętach na nogach skazany został na deportacyę i wywieziony przez Ewę osobiście na drugą stronę zatoki aż do Bastelicacia.

Dzieje niemniej złożone od kogucich miało szczekanie pewnego psiaka w domku, stojącym tuż nad morzem. Ewa musiała codziennie nad wieczorem udawać się do właścicieli psa z prośbą o zamknięcie go na noc. Ileż to razy biegła nad ranem, kołatała do okien i, odpędzana grubiańsko, prosiła o zamknięcie szczeniaka! Zaznajomiła się bliżej w ciągu tego czasu z kucharzem i wszelkiego rodzaju fortelami skłoniła go, żeby siekał cicho swoje frykasy, albo wychodził z siekaczem w góry, poza ściany hotelu. Wszyscy mieszkańcy domu byli przez nią zobowiązani do zachowywania się w taki sposób, żeby Bandos mógł mieć niezbędną ciszę. Każdy z tych zabiegów wymagał osobnego kunsztu, opłacony był niemałym wydatkiem starań, miłości własnej i upamiętnił się dobrze. Ludzie nie wyrzekali się swych praw do hałasu, do śmiechu, do szczękania obcasami — za darmo. Każdego z nich trzeba było jakoś zjednać dla „sprawy", niemal kupić od niego prawa hałasowe.

Sprzymierzeńca w tych pracach i zabiegach codziennych znalazła tylko w młodym oficerze marynarki. Spostrzegała nieraz z podziwem, że niektóre z jej obowiązkowych zabiegów zostały uprzedzone. Ten i ów uciszył szczekającego psa, uśmierzył wrzawę dzieci, przyciszył wrzask werandowych gości. Działo się to na prośbę oficera, pana Mottez.

Pewnego razu znalazł on sposobność zakomunikowania Ewie, że nawet torpedowce, manewrujące pod

jego komendą za cytadelą, wyrzucają swe świsty w sposób przyciszony i tylko zdala od miasta. Wszystko to dlatego, żeby nie nękać „jej męża“.

Zjawiska te stanowiły zewnętrzną politykę życia.

Ale miało ono niemniej złożone tajnie wewnętrzne, o których pan Mottez nie miał najsłabszego pojęcia, gdyż były zamknięte między ścianami dwu izb i stanowiły życie, jak sądzono, „męża i żony“.

Gdy Jaśniach słabł coraz bardziej, Ewa zmuszona była niejako materyalnie, wejść we wszystko. Płaciła jego rachunki w hotelu i załatwiała wszelkie sprawy, Sprowadzała lekarzy i lekarstwa. Ponieważ zaś te wszystkie lekarstwa ani myślały pomagać, a było ich mnóstwo, musiała sama oryentować się wśród ich ogromu, zgadywać, które mogą skutkować dobrze, a które winny być wylane do zatoki dla zatrucia krabów i fląder. Lekarz, Włoch ogromnie sympatyczny, wygadany, bywalec, niewiele zajmował się chorym. Paplał pociechy, komplimenty, słuchał, pukał, wywracał oczy, wzdychał, łapał franki i wynosił się z ukłonami. Ewa sama wzięła na się z konieczności rolę lekarza. Zaczęła systematycznie zaznajamiać się z chorobami swego towarzysza. To ją zbliżyło ku niemu. — A skoro raz zbliżyła się do jego pościeli z miłosierdziem siostry, weszła, nie wiedząc o tem, w obszar litości nad nim i brnęła coraz dalej. Główna choroba, — była to tak zwana anemia, nieco trafniej, aczkolwiek z anglosaską gruboskórnością, zwana przez długozębą Angielkę consumption... Najboleśniejszym wszakże objawem tej choroby była bezsenność i rozstrój nerwów.

Jaśniach prawie zupełnie nie sypiał. Sen jego było to półświadome drzemanie, gdzie dzikie widziadła spla-

tają się z jawą, męczarnia zabójcza, nieustająca, głucha. Świat dlań już nie istniał. — Na świecie bowiem były dlań tylko krzyki, łoskoty, straszliwe, zdrowe śmiechy ludzkie, połyski, rżnące oczy, jak ostrza medyolańskich sztyletów, zgrzyty i bóle.

Szczęśliwą była ta noc, kiedy drzemał i dostrzegał tylko widziadła. Były bowiem noce bez widziadeł, to znaczy — jawa. Wtedy oszalałe nerwy miotały nim, jak martwym sprzętem. Wstawał z łóżka: biegał cichymi krokami po izbie, jęcząc zcicha, żeby nikogo nie budzić. Biegał tak w kółko, w kółko. Znużony padał na pościel, żeby się tam wić, rzucać, przewracać. Głowa leżała to w nogach, to w głowach łóżka. Poduszki zwijał, skręcał, przerzucał, ciskał. Zatykał uszy, zamykał oczy, liczył, myślał ściśle, przeklinał, wzdychał i jęczał cicho, żeby nikogo nie budzić.

Ewa słyszała wielokrotnie w nocy te jego awantury, przygody i męki, ale nie miała odwagi wejść.

Jednakże, zmożona przez litość, otwarła pewnego razu w nocy drzwi i stanęła na progu. Chciała mu pomódz w jakikolwiek sposób Nie wierzył oczom, gdy weszła. Leżał przez chwilę z otwartemi oczyma, zdumiony i przerażony. Usiadła przy łóżku i poczęła głaskać ręką jego zimne czoło. — I oto, pod wpływem tych pogłaskań, wszystko w nim ucichło, uspokoiło się momentalnie. Usnął twardo na parę godzin. Siedziała wówczas rozradowana, patrząc na jego sen, i doświadczyła powtóre uczucia, które ją było nawiedziło dawno — dawno, kiedy to całowała opuchlaka na schodach pocztowych.

Gdy się rano obudził, pierwsza rzecz, o której zaczął mówić, to był wyrzut, że go powstrzymała od

śmierci w Monte-Carlo. Tłómaczył jej bardzo mądrze i nieodparcie, że takie życie, jak jego, nie jest już życiem, — i nie ma z istotą bytu ludzkiego na ziemi nic prawie wspólnego.

Wszystko co mówił, było prawdą, głęboko przezeń obmyśloną. Patrzyła na niego przez chwilę nie swemi oczyma, lecz jakoś inaczej... Słysząc, co mówił, uczyniła z odrazą mocne postanowienie, że go będzie pielęgnowała.

I tak się stało.

Drzwi były teraz stale uchylone. Skoro, przecknąwszy się z twardego snu w głębi nocy, posłyszała, że nie śpi, że się miota, że wstaje, siada, błądzi, pali światło, — wstawała i, narzuciwszy szlafrok, szła go „uciszać". Zdarzało się czasem, że samo jej ukazanie się uspokajało go natychmiast. Kiedyindziej musiała siedzieć długo, mówić do niego, układać mu głowę, znieruchomiać ręce na kołdrze. Znosiła bez protestu tysiące przykrości, których jej nie szczędził z egoizmem bez granic i miary, właściwym ludziom ciężko chorym. Nieraz czytała mu ulubionych pisarzy — Rebelais'a, Confessions Rousseau'a, Shelley'a, Poego, wybrane „święte" miejsca z Maeterlinka, Verlaine'a, wreszcie Phedona platonowskiego, we własnym, cudnym przekładzie Jaśniacha. Czytała zcicha głosem szczególnym, stłumionym. Pod wpływem szmeru jej słów nieraz zasypiał. Zdarzały się wszakże noce okropne, kiedy nie pomagały bromy, weronale i wszelkie inne trucizny. Drżał całem ciałem, dygotał, trząsł się, kurczył, zwijał. Mówił wtedy, że się strasznie czegoś boi, a nie znajduje dla siebie miejsca, chciał co chwilę zrywać się

i uciekać. Musiała wówczas siadać przy nim na łóżku, opierać głowę na poduszce obok jego głowy, trzymać go za ręce i dać mu się wpół obejmować. Zmuszała go obecnością swojego ciała do spokoju. Ta jej obecność i poświęcenie jakoś go zwyciężało.

W Ewie zbudziło się wówczas miłosierdzie bez granic.

Gdyby dla uspokojenia nieszczęśliwego trzeba było oddać mu się w sposób najohydniejszy, uczyniłaby to była bez zastanowienia, chociaż miała cielesną do niego odrazę. Na szczęście nigdy nie wyjawiał tego żądania.

Nieraz usta jego dopadły jej rąk, usta zimne, rozszalałe i przywarły na nieskończoną chwilę. — Nieraz ręce latające, rozpierzchłe, obłąkane, ręce nerwy chwyciły jej włosy i przycisnęły ich sploty do serca. Ale nie była to miłość cielesna. Była to miłość umierającego dla anioła pocieszyciela. Była to straszliwa, nieznana ludziom, wdzięczność, wytryskująca z bezsenności, dla cudownej siły, która sprowadza sen.

Zdarzyło się też, że Ewa, usiadłszy na brzegu posłania, gdy uśmierzyła szał bezsenny, sama, zmożona, śmiertelnie, zasypiała przyczepiona do krawędzi łóżka do brzegu poduszki, zwinięta w nogach posłania. Czuła przez twardy swój sen każde nagłe drgnienia ciała Jaśniacha, drgnienie, co jest jakby zemstą choroby za chwilę jej unicestwienia, obrzydłe drgnienie chorych nerwów. Wówczas przez sen obejmowała go, ażeby uspokoić, zamagnetyzować i zmusić do ciszy. Częstokroć dopiero wonny poranek majowy, wstępujący przez otwarte okno, wzdychanie fal zatoki, dalekie odgłosy szumów pełnego morza — budziło ją. Ogarnięta wsty-

dem, gnała do izby sąsiedniej. Szła do siebie na palcach, padała na posłanie i zasypiała na kilka godzin.

W tym nurcie bezwzględnej, czynnej litości w zupełnem poświęceniu się i samozaparciu był jednakże odrębny wart, coś w rodzaju rzeki w rzece, im bardziej Ewa poświęcała się dla dobra Jaśniacha, im bardziej się poniżała, żeby każdą sekundę jego życia otoczyć parkanem opieki, tem bardziej czuła się blizką swego duchowego celu. Ten jej bezwiedny cel — było to zdruzgotanie w sobie Łukasza. Nigdy teraz nie marzyła o nim, jak dawniej, jak jeszcze w Nicei.

Nigdy już nie marzyła o nim samym. Marzenia jej o nim obecne, jeżeli je tak można było nazwać, były potajemne, a krążyły około tego jednego wypadku, jak się na nim zemścić. A zemsta polegała na tem, żeby bezgraniczną łaską miłosierdzia otoczyć Jaśniacha i na tej drodze dojść do najwyższej, do najdalszej doskonałości. Nie było to wyrozumowane, ani uplanowane w drodze uczuć, lecz powzięte, możnaby powiedzieć, poza wszystkiem. W każdej minucie teraźniejszego życia śnił się sen nieskończony, że Łukasz niespodzianie skądś przyjedzie i ujrzy ją śpiącą na łóżku Jaśniacha. Marzenie nasycało się męczarnią Łukasza, gdy to ujrzy. Jeżeli jakiś zewnętrzny wypadek przerywał ten nieustający całokształt snu na jawie, sen po przerwie zaczynał się później od tego miejsca, gdzie się skończył — i snuł dalej. Tak trwało ciągle. Był to koszmar mroczny i posępny. Litość dla Jaśniacha wychodziła zeń, jak światło wychodzi z nocy. Gdyby Jaśniach zażądał, żeby została jego kochanką, jako zalotnik, mężczyzna, człowiek, odepchnęłaby go z zabijającą pogardą. Ale gdyby trzeba było oddać mu się, gdy szaleje i nie ma

miejsca swego na ziemi, uczyniłaby to bez wahania dla zagłady jego męczarni. I w tem zdecydowaniu duchowem był jednak rdzeń tajemny: marzenie stałe, żeby Łukasz widział, gdyby się Jaśniachowi oddała.

Ten splot sennych, niewyrozumowanych konieczności otaczał jej wewnętrzne życie koroną niewiędnącą. Uśmiechnięta i żywa, wesoła i czynna nosiła w sobie siły niewiadome: — pełne obrazy boleści Łukasza, całkowite epopeje tego, co się stać może później, zdarzenia dokładnie znane i plastycznie widzialne. Nieraz myślała o sobie, że najoczywiściej już o Łukaszu zapomniała. Już on dla niej jest obcym człeczyną. Nikczemnik Niepołomski, który ją uwiódł. To też zabiła jego dziecko, („bachora“), — i basta. Teraz jest wolną, swobodną, a nadto wiedzącą kobietą. Uczyni ze sobą, co zechce i jak zechce. Jest tu na wyspie „kochanka“ poety Bandosa. A tak — „kochanką!“ Ktoś o tem przecie musi zawieźć plotkę do Warszawy i puścić ją między ludzi. Może ten Niepołomski posłyszy plotkę. Może się nieco zaciekawi...

I oto znowu widziała go, jak staje za drzwiami, jak zagląda przez szparę, jak ukazuje się na progu w wyłamanych drzwiach ze swoją wszechmocną twarzą! Och, wtedy, marzyła, być w łóżku Jaśniacha! Leżeć obok niego!

Parę razy, ciężko znużona czuwaniem przy swym chorym, wyjeżdżała na kilka godzin w góry kolejką górską do Vizzavony, lub Corte. Wracała zawsze na noc, żeby być na zawołanie. Te wycieczki w pustyni, gdy pociąg idzie krainą baśni cudownej, nad przepaściami, w tunelach, — wyrywały ją z obecnego życia. To też polubiła je niesłychanie. Przepaście bez gruntu,

obrosłe macchią, sprawiały wrażenie miękkich dolin rozkoszy. W głębi, jak smużka śniegu, wysnuwał się niedościgły prawie dla oczu, przecudny potok Golo. Skał nie było widać. Zbocza granitów utkane były cudną zielenią, jakby dlatego, by człowiek nieszczęśliwy, idący nad otchłaniami, nie poranił oczu, nie przeraził serca, nie skaleczył znużonej duszy. Monte d'Oro i Monte Rotondo, zanurzone w śniegach, wznosiły się jak dwie wieżyce niezmiernej świątyni z tych dolin niczyich, gdzie króluje wieczysta pustka i wonna niezamącona cisza.

W połowie czerwca zaszła potrzeba przeniesienia się z Ajaccio w góry, do Vizzavony, gdyż nad morzem było już zbyt gorąco. Dwa razy Ewa jeździła do ślicznej, górskiej stacyi, (tak przypominającej Zakopane), w celu wynalezienia odpowiedniego pokoju. Trudno było znaleźć izbę, któraby odpowiadała wszelkim warunkom neurastenika.

Za drugim pobytem w Vizzavonie, po zamówieniu pokoju, najbardziej nadającego się na legowisko Jaśniacha, postanowiła darować sobie jednodniowe wakacye: pojechała na drugi kraniec wyspy do portu Bastia. Przenocowała tam w hotelu i cały ranek spędziła w porcie. Tyłem odwrócona do starego miasta i jego brudów, o jakich się nawet żydowinom chęcińskim nie śniło, siedziała na skraju zapomnianego stosu cegieł.

Morze było ciche, błękitne, zadumane, a gładkie, jak tafla zwierciadlana. W dali przed sobą Ewa widziała gołem okiem obłok gęstego błękitu, zatopiony w nieruchomości morza. Dziwiła ją ta chmura, bytująca na fali, aby była obojętną duszy, jak wszystko. Pociągała oczy kolorem swoim i przykuwała je do siebie. Nie mo-

żna było nie marzyć, patrząc na to błękitne zjawienie w błękicie na fantastyczną dalekość kształtu sennego. Bezmyślna nazwa „Łukasz“ wracała na usta Wyraz ten oznaczał teraz tę gęstą chmurę, tę błękitną chmurę tak daleką, daleką...

Ale oto nad zatopionym obłokiem zawisła inna śnieżnie biała chmura i ciemniejszą barwę rzuciła na tamten błękit. Wtedy na sennym obłoku dały się widzieć lekkie rysy, skazy podłużne i poprzeczne.

— Toż to góry dalekie, toż to ziemia... — wyszeptała Ewa do siebie.

Gdy zapytała przechodzącego marynarza, co to widać, odpowiedział jej ze zbyt przesadną galanteryą, że to jest właśnie wyspa Elba. Właśnie ona!

— Elba, — powtórzyła Ewa.

Nie widziała od tej chwili mnóstwa żaglowców w tym porcie, które zwijały swe ciężkie, zczerniałe, schłostane od wichru płótna na ogromne reje, — nie widziała pasażerów, zjeżdżających z miasta, żeby wsiąść na odchodzący parowiec do Livorno, — nie widziała ruchu i nie słyszała gwaru. Oczy jej wciąż były przykute do ślicznej, sennej, dalekiej Elby.

Wstał z morza lekki wiatr. Oślepiające płonęło słońce. Wody morskie były wciąż ciche, lecz tworzyły się po nich w matowych płaniach połyskliwe miedze, przedziwne dróżki i ścieżyny, jakby polne szlaki, wygony i uwrocia między wiosennemi rolami. Były chwile, że gięło się w seledynowe przeguby — i znowu nieruchomiało. Wówczas wszystek ogrom wodny miał jedną barwę bez cieniów i odmian. Parowiec wydobył się zwolna z portu, wyszedł na pełne morze... Pomknął w kierunku wyspy Caprai, ciągnąc za sobą

smugę białego dymu i dwa szerokie skrzydła na morskiej równinie... Znikł...

Ewa siedziała wciąż na tem samem miejscu, wpatrzona w wyspę tajemniczą.

W pewnej chwili oczy jej zapłonęły gniewem, ogniem nieugaszonym, długotrwałym.

Szepnęła do siebie:

— Tak!

Rzekłszy ten wyraz, wstała z miejsca i jeszcze przez chwilę mierzyła wyspę oczyma. Wracała do miasta. Przechodząc obok wielkiego Napoleona, spojrzała ku niemu, wzniosła oczy z uśmiechem zachwycenia. Zdało się jej, że ten posąg teraz dopiero ujrzała na placu.

— Hasło nasze — Elba! — wyszeptała z tym samym uśmiechem na ustach.

Pośpieszyła na dworzec i tegoż dnia wróciła do Ajaccio.

W kilka dni później przewiozła pieczołowicie i nad wyraz starannie chorego Jaśniacha do Vizzavony. Umieściła go w numerze zgóry obranym. Zaopatrzyła we wszystko, coby mu tylko mogło być potrzebne.

Zostawiła mu nawet ze „wspólnych" pieniędzy, któremi, trzeba dodać, wyłącznie rozporządzała, pięć tysięcy franków. Resztę, to znaczy trzydzieści tysięcy z górą umieściła w torebce zamszowej na szyi i w skórzanym ręcznym saku. Zapakowała rzeczy z pośpiechem i następnego ranka, nie mówiąc Jaśniachowi ani słowa, umknęła do Bastia. Tam wsiadła na statek, od-

chodzący do Livorno. Z Livorno, nie zatrzymując się wcale, pojechała koleją do Genui, a stamtąd wprost do Genewy.

Siedziała w małym ogrodzie hotelu w Glion w altanie, zwróconej ku jezioru. Altana była szeroka, zastawiona kilkoma stolikami. Dziwny poranek zasłał jezioro półprzejrzystą srzeżogą. Nie było chmur, ale nie było i słońca. Góry stały wyraźne, w lekkich obłokach. Na jeziorze leżał jeden złocisty pas, nikłe odbicie niewidzialnego blasku...

Ewa w milczeniu patrzyła na jezioro i mimo chęci słuchała rozmowy studentów z Lozanny, którzy przy sąsiednim stoliku raczyli się taniem winem i podejrzanymi konceptami. Rozmowy te bawiły ją i jakoś pociesznie nauczały, — może dlatego, że prowadzono je w języku polskim i rosyjskim, a może dlatego, że były bezdennie młode. Tworzył się w mózgu taniec myśli czarnych i białych, ponurych i urwisowskich.

Młodzi jegomościowie mówili o wszystkiem, mówili także o Ewie i to w sposób wysoce podkasany. Ponieważ nie zdradzała się od początku ani jednem poruszeniem powieki, musiała teraz siedzieć i słuchać wszystkiego. Nasłuchała się też słowiańskiego chamstwa, którego sobie nie skąpili. Rozprawiali już o jej włosach, oczach, czynili domysły, co też to może być za „ryba", jakiej narodowości, sfery towarzyskiej, pochodzenia, konduity... Szczególniej jeden z tych młodzieńców, szczupły szatyn z długim nosem, przystojny bardzo i sympatyczny, gadał na jej temat dużo i śmiało,

a oka nie spuszczał ani na chwilę. Żeby ich złudzić do reszty, wydobyła z torebki tom Karola Baudelaire'a, który była wzięła na drogę z podróżnej biblioteczki Jaśniacha, — i pozornie zatopiła się w czytanie. Wówczas mówili jeszcze swobodniej. Było to dla niej przez pewien moment coś nawet uroczego w tej łobuzerskiej paplaninie, którą podsłuchiwała. Na tle błękitnej tafli jeziora, w obliczu śnieżnych ołtarzy, to ich bezczeszczenie ludzkiego życia miało smak odurzającej przyprawy. Ale znudziło się wkrótce.

Podparła głowę na ręku i zadumała się, patrząc w głębie dalekiego jeziora, na smugę tamtego brzegu, na odbicia gór, zatopionych szczytami w głębiach. Zapomniała niemal o ucztującej studenteryi.

Nagle jedno słowo przeszyło ją nawskroś, jak cios, zadany ręką nożowca. Wymieniono nazwisko Niepołomskiego. Nie poruszywszy się, nie odwracając głowy, blada i przerażona, w śmiertelnej ciszy słuchała.

Jeden mówił:

— Możecie sobie zawiązać węzełek na czem wam się żywnie podoba, żeby pamiętać o tej najprostszej prawdzie. Jeżeli męty i szumowiny społeczne mają prawo zrzeszać się dla wykonywania swych strajków, to mają również prawo zrzeszać się posiadacze. Parobek strajkuje we żniwa, a właściciel wyrzuci parobka — w adwent — z mieszkania pospołu z progeniturą. Wówczas ustanie.

— J e d e n?

— Nie j e d e n — tylko wszyscy. Nie obawiaj się pan dobrodziej: szlachcic polski ma głowę na karku. Szlachta polska tak się zrzeszy paradnie do wyrzucenia parobków strajkujących we żniwa, jak tego nigdy nie

potrafią wszystkie razem parobki. Bo proszę osoby, wśród parobków wiele jest bydlaka i lizusa, a wśród szlachty filantropa i miłośnika parobków — bardzo wątpię...

— Chłopy polskie, — to tchórze nad tchórzami! — rzecze inny w głupkowatym zapale.

— Polaczek wogóle — to... Ech, co tam!

— Naprzeciw! — wtrącił jakiś głos północny, — po mojemu Polaki... naprzeciw!

— Co pan tam! Łupić kasy, drzeć złotówki z monopolów, — byle pociemku i w zaułkach... Powiedz mi pan, kto teraz wytrzebi to bandyckie morowe powietrze? — A przyjdzie przyszły porządek — tak on i w y t r z e b i...

— Dam ja panu porządek!..

— Polaczek, jeżeli już do czego, to do ożenku z posażkiem — o tu dopiero! Niepołomek!

— Sypią teraz parowym stateczkiem, w jednej kajucie na Nową Zelandyę. Co? Jak pan sądzisz?

— „Milady" zzuje lakierowane pantofelki, omdlałymi palcami rozepnie gazowy staniczek! Wyobraź pan sobie, jakie ona musi mieć koszule, z jakiego jedwabiu haleczki, kiecuszki, jakie to tam pończochy!

— Szymek, napij się, bo zemdlejesz!

— Za taki milion mogła nakupić w Paryżu fatałaszków.

— No, milion...

— A mówię, że milion...

— Zawsze miałem awersyę do tego Niepołoma. Więzień Chillonu! Arogant, deklamator, markiz!

— Każdy argument w dyskusyi — to... Zaratustra.

— Dajcie mu pokój! Co się wściekacie, że sprzą-

tnął M i l a d y! Smarujcie go sobie na czarno, a on tymczasem wali w świat i drwi z was wszystkich.

— No, karyerowicz, jakich tysiąc! I cóż nowego?

— Nie zupełnie. Któryżby z was potrafił przejść taką aferę, jak on w Rzymie, i nie zginąć, nie złamać się na drzazgi, lecz znowu śmiało wejść między ludzi. Wejść po to, żeby się podnieść. I podnieść się rzeczywiście. Teraz zostanie, czem zechce. A to chłop z głowa i może zajść daleko.

— No, już wy tam z temi wielkościami gałganów!

— Są gałgaństwa, wynikające ze zgnilizny, i są upadki, wypływające z nieszczęść. Ten Niepołomski nie jest przecie łotrem.

— A niech jego! Szkoda M i l a d y... Taka dziewczyna — i takie pieniądze. Jak on ją podszedł?

Ewa usłyszała teraz powtóre nazwisko i szczegóły. Skombinowała wszystko. Rozmowa młodych panów skoczyła na temat zupełnie inny. Kłócili się o coś pospolitego. Nadaremnie słuchała, tamując z całej siły bicie serca. Posłyszane wiadomości uderzyły ją w głowę, jak kłonice pijanych chłopów. Teraz szybko ważyła i kombinowała to wszystko. Decydowała się już w chwili samej kombinacyi. Jedno było pewne... Brzask jakiś w oczach... Kilkakroć zakaszlała się nerwowo i nie mogła powstrzymać tego kaszlu. Czuła, że może za chwilę rzucić się na ziemię, że za chwilę może nie wiedzieć o tem i rwać włosy, skowyczeć z rozpaczy... Chciała tedy wstać i iść... Iść! Lecz nie mogła udźwignąć z krzesełka swego ciała. Wszystko jeszcze krążyło w oczach i w głowie: białe lody gór, jezioro, drzewa, miasteczko, Chillon, ci ludzie spokojnie rozmawiający. Nieopisane uczucie duszności... Pojęła to jedno, że tylko

od tych ludzi może dowiedzieć się wszystkiego. Ale cóż zrobić? Jak się dowiedzieć? Wspomniała, jak po przebudzeniu wspomina się sen, że jeden z tych drabów ścigał ją i napastował oczyma. Trzeba tedy z tego wydobyć wiadomość. Ale w tej chwili... rozmawiać... uśmiechnąć się... Wstała z ławki i zapłaciła kelnerowi za śniadanie Gdy jej wydawał resztę, poszukała oczyma długonosego szatyna i wycisnęła na swe usta uśmiech, jakby krew wyciskała z rany.

Potem wyszła wolno z ogródka i skierowała się ku jezioru. Szła po równej, białej szosie, snującej się łagodnymi skrętami. Nie oglądała się. Czuła na głowie ciężar, jakby miała na włosach olbrzymią, czarną przyłbicę. To też głowa chwiała się w tył i naprzód. Z pod przyłbicy włosy zdawały się rosnąć w górę, w olbrzymie zwoje. Niosła w piersiach strach i zimno. Nic już nie wiedziała, co teraz będzie. Jakieś w oczach krwawe obrazy. Widoki i sceny, zrodzone z wyrazów przed chwilą słyszanych. Te widoki gonią, tłoczą, spychają z Tarpejskiej skały...

Na jednym ze skrętów drogi obejrzała się. Student ów biegł naprzełaj ogromnymi krokami. Spojrzała na niego zalotnie... znowu zalotnie... i jeszcze raz, jak ulicznica. Wówczas właśnie przechodził obok. Miał minę nieskończenie głupiego zwycięzcy. Szedł to przed Ewą, to za nią, to blizko, to z daleka. W zachwyceniu rozpaczliwem nie widziała go znowu. Dopiero, znalazłszy się na samym brzegu jeziora, w przystani łódek, spostrzegła stojącego wpobliżu. Usiadła na kamiennej ławce i podniosła oczy. Zbliżał się pocichutku drapieżnymi kroczkami, melancholijnie kiwając laseczką. Uczuła do niego odrazę straszliwą, aż do żądzy wy-

darcia mu ślepiów, a zarazem potrzebę wywiedzenia się wszystkiego. Rzekła po polsku:

— A pan umie może i wiosłować?

— Umiem... — wybełkotał, kiwając idyotycznie oszołomioną głową.

— No, to wsiądźmy w tę łódź, ale bez przewoźnika

Młody człowiek skoczył w łódkę z takim impetem, że o mały włos nie wpadł w wodę i o mały włos nie wyrzucił przewoźnika. Po chwili — skontraktowany przezeń właściciel łodzi wysiadł na brzeg, a Ewa zajęła jego miejsce Odbili od brzegu. Student wiosłował z wzorowym zapałem i odbijał od lądu szybko nad wyraz, szybciej, niż mógłby to uczynić najbardziej zawołany wilk morski. Ewa milczała. Nareszcie zdołał przemówić:

— Jakie to szczęście słyszeć mowę ojczystą w ustach...

— Dobrze, dobrze z mową ojczystą... Niech pan wiosłuje.

Nowe rzuty wioseł tak zapalczywe, że łódź pomknęła, jak rumak wyścigowy. Gdy byli już dość daleko od brzegu, rzekła:

— Pan studyuje w Genewie?

— W Lozannie, pani...

— Czy dawno?

— Już czwarty rok.

— Ach, tak...

— A pani? jeżeli wolno zapytać...

— Ja nie studyuję ani w Genewie, ani w Lozanie...

— Jakże się cieszę! Typ naszej studentki...

— Właśnie mam zamiar zapisać się na uniwersytet... Nie wiem tylko gdzie...

— O, w Lozannie! Naturalnie, że tylko... Ja pani dam szczegółowe wskazówki.

— Dziękuję panu. A czy kolonia polska w Genewie dosyć jest teraz duża?

— Kolonia kobieca, jak zwykle, ogromna.

— A mężczyzn, jak zwykle, mało?

— Ledwie paru.

— Zapewne wszyscy panowie, których widziałam tam, na górce, — to kompania genewska?

— Tak jest. Zgadła pani. Niedawno było ich więcej, ale kolonia zmniejszyła się.

— Ktoś, jak słyszałam, wyjechał.

— Słyszała pani całą naszą rozmowę! To skandal... Muszę panią jak najsolenniej przeprosić we własnem i kolegów...

— O, panie! Ci, co wyjechali, to, jak słyszałam, młode małżeństwo?

— Tak jest, świeżo upieczone i polukrowane stadło.

— Przepraszam, jak nazwisko nowożeńca, bo nie dobrze słyszałam, choć panowie dosyć głośno krzyczeli.

Młody człowiek zastanowił się, nim dał odpowiedź. Przypatrywał się Ewie z pod oka, jakby badał, czy nie ma przed sobą osoby niepotrzebnie ciekawej. Ewa nie wyglądała widocznie na figurę, sprawującą urząd, gdyż powiedział:

— Nowożeniec, to niejaki pan Łukasz Niepołomskł, antropolog, dość nawet obiecujący.

— A oblubienica?

— Oblubienica? (Jakież to śliczne słowo!) Oblubienica to tak zwana M i l a d y, spadkobierczyni pewnego wściekłego bogacza z Kaukazu, panna Rolska.

— Panna Rolska... Rosyanka?

— Nie można powiedzieć, żeby Rosyanka, ale trudno powiedzieć, żeby tak znowu koniecznie Polka. Matkę miała Rosyankę, ale ojciec „korzenny" Polak, wychował ją na Polkę. Był to sławny przedsiębiorca, dyrektor najrozmaitszych fabryk, wynalazca, twórca trustów, nawet tutaj w Europie, właściciel domów handlowych i bankierskich w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Wiedniu. Musiała pani słyszeć.

— Może i słyszałam.

— Tknięty czemś tam, przeniósł się do lepszego trustu, zostawiając jedynaczce studnię pieniędzy. Usamowolniona sierota, bo matka umarła dawno, przyjechała tutaj na studya. W głowie tej najrozmaitsze pomysły uszczęśliwienia świata, — bardzo oryginalne nawet... Pełno też dzikich marzeń, samodzielnych, do niczego niepodobnych planów.

— I ów pan Niepołomski zdołał wydrzeć panom taki kąsek?

— A widzi pani! I w dodatku, — nie wiem, jak on to zrobił. Bo czas był krótki. Ledwie przyjechał.

— A czy ładna?

— Niebrzydka, wcale sobie nawet... Choć mówić o tem w tem miejscu, wobec...

— Jakże się to stało? Niech mi pan opowie, bo pasyami lubię takie historye. To wygląda, jak w romansie.

— A czy tylko pani nie przybywa do nas również z jakiemi krociami?

— Bardzo być może! Kto to wie? Ale nie o to przecież chodzi, skąd ja jestem i jaka, tylko o to, jakim

sposobem odbywają się w Genewie maryaże. Kto jest ów świeżo upieczony mąż? Mówi pan, że niedawno przyjechał? Jakże mu to było?

— Łukasz Niepołomski.

— Łukasz Niepołomski...

— Przybył do nas z kraju... Ale co my, proszę pani, będziemy sobie psuć humory cudzymi mężami, albo, naprzykład, cudzemi żonami? Czy nie lepiej...

— A nie, nie lepiej. Ja jestem systematyczna. Jeżeli pan wszystko systematycznie i grzecznie opowie, to...

— To co, pani?

— To później poprawimy nasze humory. Lubię ploteczki.

— No, dobrze, będę plotkował, ale pani mi à conto, w kształcie zadatku, powie...

— Nic nie powiem, dopóki mi pan nie wyłuszczy całej prawdy o tamtym...

— No, więc cóż? Przybył, — to znaczy przyjechał kolejką. Zamieszkał. Chodził do biblioteki publicznej. Czytał zawzięcie. Milczał. Żył zdaleka. Znowu czytał. Cóż to jeszcze? A tak... Parę razy widziałem go w towarzystwie naszem, polskiem. Jakieś ciemne wersye zaczęły obijać się o kolonię à propos tego pana. Wszyscy, a szczególniej wszystkie zainteresowały się nim nadzwyczaj. Wreszcie, ponieważ był zapisany do towarzystwa, na jednem z zebrań zadano mu pytanie, czy to prawda, że siedział w więzieniu za kradzież? Nie byłem wówczas obecny, znam to ze słyszenia...

— A to ciekawe! Cóż ten pan odpowiedział?

— On wówczas odpowiedział.. Cóż to on wówczas

odpowiedział? Przepraszam bardzo... pani zna tego pana.

— Nie. Ale proszę... mówić!..

— Odpowiedział, że rzeczywiście siedział w jakimś mamertyńskim kryminale. Wyznał nawet za co. Oto za kradzież jakichś dokumentów w Rzymie. Czy jeszcze plotkować?

— Jeszcze!

— No, wobec tego, chciało go, wie pani, zjednoczone panieństwo cokolwieczek wylać z towarzystwa. Głosowano. Wówczas to, jako młode lwię, wystąpiła w obronie byłego kryminalisty owa Milady. Spiorunowała towarzystwo „pryncypialnemi“ tyradami...

— Pan to już słyszał na własne uszy, prawda?

— Nie, ja to znam ze słyszenia. Ale wobec tego, że kwestya jest prawie wyczerpana, możebyśmy przeszli do porządku dziennego...

— Zaraz. I ślub wkrótce nastąpił?

— A jakoś wkrótce. Bo to zwykle tak bywa: miłość, a zaraz potem... tak jakoś wkrótce — ślub.

— Czy są w Genewie?

— O, nie! Natychmiast wyjechali! Wyjechali na Nową Zelandyę. Będzie temu ze dwa miesiące... z górą jakoś. Będą tam pono prowadzić studya antropologiczne w dzikich archipelagach, gdzie to — Borneo, Celebes, Jawa, Sumatra — pani wie? — u dołu mapy.

— Pan był na ślubie?

— Byłem.

— W kościele katolickim?

— W katolickim... Ale ja widzę, że to wszystko panią nad miarę interesuje...

— Nie. Już dosyć. No, — więc co? Co mi pan chciał powiedzieć? Niech pan teraz mówi!

— Ja istotnie chciałem powiedzieć... Chciałem to pani już dawno powiedzieć, że ja... to jest, że gdybym mógł pani powiedzieć... Ale gdzież to! Takich oczu, jak pani, jeszcze żadna kobieta na ziemi, jak świat światem, nie miała i nie będzie miała! Przysięgam! Pani ma tak cudne włosy, tak cudne włosy, że to jest poprostu... skandal! Ale pani ma, oprócz tego, usteczka. Jednem słowem... Co ja zresztą mogę o tem powiedzieć? Pani wie, pani to sama wie doskonale, lepiej odc mnie Ale cóż z tego?

— Tak, z tego nic. Pan mieszka stale w Genewie?

— W Lozannie, pani. Rue Fribourg, 32... Stanisław Liwicki... Rue Fribourg, 32. Tu zaś na wzgórku hotel Cigne, ale dependence... — dodał melancholijnie, zatapiając oczy w oczach słuchaczki.

— Niech się pan tak bardzo nie wzrusza, bo to panu może zaszkodzić. Ja pana zapytywałam o adres dlatego, żeby się dowiedzieć, gdzie pan zamierza wysiąść. Bo, co do mnie, to wracam już do Montreux.

— A czy mnie nie byłoby danem to szczęście, żeby wrócić tam z panią?

— Wolałabym, żeby pan wysiadł tutaj.

— Tutaj, to jest niby... żebym wysiadł w jezioro?

— Jak pan uważa.

— Ja uważam, że tutaj naokoło jest jezioro.

— Ach, to nie do zniesienia!

— Więc pani znajduje, że w ubraniu?

— Rozumiem. A gdybym też, dajmy na to, utonął?

— Nie przypuszczam, żeby aż do tego doszło. Zresztą gotowa jestem złożyć wieniec za 25 franków na

pańskiej świeżej mogile i iść za karawanem w czarnej sukni. Mam wcale ładną czarną suknię.

— Ale z żalem w sercu, czy chociaż z odrobiną żalu?

— Z odrobiną żalu na obliczu. Kolegom pańskim to wystarczy. A i panu chyba? Przecie pan oczywiście, nie wierzy w nieśmiertelność?

— Nie wierzę, pani. Ale jakaż materyalna może mię czekać nagroda? Jaka? Bo gdyby mię czekała materyalna nagroda, naprzykład, w tej chwili... A w takim razie... Gotów jestem po jej uzyskaniu natychmiast, skoczyć w wodę i notorycznie, eksperymentalnie utonąć w oczach pani.

Ewa śmiała się głośno, głośno, patrząc w niebo. Łódź nie sterowana i nie popchnięta od dawna wiosłem, kołysała się na drobnych falach, idących w stronę brzegu. Ocknąwszy się ze swoich śmiechów, Ewa rzecze:

— Pan skłamał, panie Lwicki!

— Liwicki, — do usług.

— Panie do usług, pan skłamał, twierdząc, że Łukasz Niepołomski ożenił się z panną Rolską.

— Nie mam zwyczaju kłamać w razach, kiedy nie zachodzi po temu nieodwołalna potrzeba, — dumnie „odparł" Liwicki.

— Widocznie zachodziła potrzeba. Tego pan nie wie, że Niepołomski jest żonaty.

— D a l i e g t d e r H u n d b e g r a b e n! Pani! Ów przeklęty Niepołomski dostał rozwód już wówczas, kiedy tu na moje dzisiejsze utrapienie przyjechał, a może nawet później. Dostał rozwód, dzięki pieniężnemu poparciu, którego nie szczędziła M i l a d y. Słowem, że dostał rozwód, bo za pieniądze można, proszę pani, do-

stać dwa rozwody, a nawet trzy. Przysięgam, że byłem na jego ślubie! — krzyczał, machając prawą ręką.

— Czy może mi pan dać jakiś dowód, że ślub ten odbył się? Jakiś dowód... niezbity? Pańskie słowo... tak... Ale dowód, dowód! Ja muszę pokazać to osobie...

— Mogę pani dać dowód... Mogę przynieść kopię aktu ślubnego. Przyniosę to pani do mieszkania, tylko kwestya — kiedy? Wie pani, — przyniosę jeszcze dziś, — dobrze?

— Dobrze, przynieś pan! Koniecznie!

— Ale gdzież go mam przynieść?

— Hotel Grammont. Nazywam się Ewa Pobratyńska.

— Więc nie — Niepołomska?

— Nie, nie Niepołomska! — chichotała — Ba! jakże pan to może wydostać dziś? Jakim sposobem?

— Pojadę do Genewy... Za godzinę odchodzi pociąg. Wrócę wieczorem.

— Ale teraz, panie! Teraz!

— Co teraz?

— Czy pan jest rzeczywiście człowiekiem dobrego wychowania?

— Pochlebiam sobie!

— A więc... Cóż mam robić? Chciałabym być natychmiast sama, i to tutaj, w tej łodzi!

— W tej łodzi! Znowu — w tej łodzi!

— Czy nie zechciałby pan opuścić mię? Do brzegu nie jest tak znowu bardzo daleko. Niech pan to zrobi? Albo — ja sama skoczę! Nie mogę!

Student spostrzegł jej ruch. Twarz jego wyciągnęła się i sposępniała. Siedział obojętnie, z wytrzeszczonemi oczami.

— Czemś panią do żywego dotknąłem... Ale czem, — przez Bóg żywy! Przepraszam... Gdybym mógł był wiedzieć!

— Nic, nic! Muszę być sama, panie! — krzyknęła.

Bielmo rozpaczy zasłaniało jej źrenice. Dłonie splatały się i załamywały konwulsyjnie Zęby były wyszczerzone, twarz strasznie blada. Student siedział osowiały, ze zwieszoną głową. Myślał głęboko. Wyszeptał:

— Gdybym mógł być przez jedną sekundę tak przez panią kochany! Przez jedną sekundę!

— Precz, precz! — jęknęła.

— A to opera!...

Stanął zwolna w łodzi, rozkraczywszy nogi na burtach. Spojrzał na odległy brzeg i mruknął z fanfaronadą:

— Skoro jesteśmy niemili damie, należy usunąć się. Rozumiem. Ale jeśli te gałgany patrzą z brzegu na moje dzieje i zobaczą finał, toż to bydło pochoruje się ze śmiechu.

Zebrał się w sobie i od jednego susa skoczył w wodę. Przez chwilę zanurzył się głęboko, — wychynął, — i, przebierając raz jedną, drugi raz drugą ręką, począł systematycznie i szybko płynąć w kierunku brzegu, ku białym domom Montreux.

Ewa odetchnęła. Rzuciła się na spód łodzi, twarzą na dół. Poczęła rwać na sobie suknie, targać włosy i łkać głośno, głośno, co w piersiach tchu. Łódź, nie sterowana, kołysała się na wodzie to tu, to tam. Wiosła, przytwierdzone do burtów, drgały bezsilnie...

Nazajutrz Ewa ocknęła się ze snu bardzo późno. Wbrew wczorajszemu oczekiwaniu spała długo i twardo. Kładąc się do łóżka, sądziła, że zstąpi na nią bezsenność Jaśniachowa. Pamiętała jeszcze, że złożyła głowę na poduszce, drżąc na całem ciele i płacząc bez przerwy. Tymczasem usnęła zaraz i bez przebudzenia leżała na tym samym boku niemal do południa. Była spokojna, obojętna, zimna. Cieszyła się świadomością, że wczoraj przetrwała już wszystko i że wszystko tam na jeziorze wypadło już z jej serca, jak potworna, jak ciężka ropa z rany.

Och, wczoraj. Na jeziorze!

Siedziała teraz przed lustrem i przyglądała się sobie.

Zlekka, niepostrzeżenie dotykała myślami tej sprawy, że już jej nic nie łączy, nic nie łączy z Łukaszem. Nic a nic! Wspomnienie pewnej pieszczoty, której sama nauczyła była Łukasza i którą sama wynalazła, szybko, jak cios noża, wbiło się w serce. Nic już nie łączy... Tylko tego wspomnienia nic i nikt nie wydrze! Łukaszek teraz, (w taki sam sposób), całuje, pieści i posiada inną. Ta inna, — to dla niego taka sama kobieta. Może brzydsza, a może nawet piękniejsza... A każdy mężczyzna, — toć taki sam Łukasz, tylko może piękniejszy, (naprzykład, — Szczerbic, — naprzykład — student Liwicki). Było, przeszło, przeminęło. A teraz niema śladu. Gdyby zaś było się chowało, gdyby żyło?

Czyż nie lepiej, że jest gdzieś na polu nawozem, albo że je psy rozwlekły po rowach z kałem? Niema rzeczy złych na tym świecie...

Żeby to było wiedzieć dawniej, — dumała, z głową opartą na ręce, — to pocóż było rzucać Jaśniaszka. Już pewno zmarło mu się, biednemu, i leży sobie

zapewne teraz gdzieś tam, na cmentarzyku, otoczonym szaremi ściany w górach Korsyki. Wszystko jest przypadkowe, — ziewnęła, — jakoweś przelotne i cudze. Wszystko jest bezład i zaduch cmentarzy. O niczem nic nie wiemy i wszystko ktoś robi za nas.

Znowu dreszcz przeszył serce, dreszcz niezwalczoczony. Wspomnienie owej pieszczoty i pewnik, że już przenigdy! Nagle dusza straciła nad sobą władzę, stała się racą, która z ciała wybuchła, wydarła się z jego więzów. Wężem strzelistym poszybowała w wyżynę, rozprysła się w pył i nicość...

Na szczęście ktoś zastukał we drzwi. Schroniła się za kotarą niszy, która jej służyła za sypialnię, i stamtąd zawołała niemal radośnie:

— Entrez!

Uchyliły się drzwi i z ostrożnością wszedł ów studencina wczorajszy. Rozejrzał się uważnie po numerze i, aczkolwiek nikogo w nim nie zobaczył, na wszystkie cztery strony pokazywał meblom, szafom, fotelom i firankom jakiś papier.

Ewa widziała tego człowieka w przedziale między połowami kotary. Domyślała się, że on tak demonstruje kopię aktu ślubnego. Wyciągnęła z za kotary rękę i kazała podać sobie papier Liwicki zbliżył się na paluszkach i wręczył jej dokument, ozdobiony pieczęciami. Chciał, kłaniając się i krygując, unieść cokolwiek kotary, ale, skarcony surowo, cofnął się i pokornie zasiadł w foteliku przy drzwiach w grzecznej pozie petenta. Ewa przytuliła się na sofie i czytała uważnie ową kopię aktu. Nie było żadnej wątpliwości: odwróciła się ostatnia karta.

Zmięła ów arkusz i rzuciła go do pudełka z drobia-

zgami. Rozparła się później w krześle i, zarzuciwszy ręce pod głowę patrzyła przed siebie. Ujrzała teraz, jakby po raz pierwszy, tę niszę i pokój sąsiedni. Spostrzegła, że tu i tam posadzka wysłana jest grubem suknem miłego koloru. — U okien firanki z ponsowego aksamitu, które można przesuwać na grubym metalowym wałcu. — Szerokie łóżko żelazne ze srebrzonemi gałkami, marmurowa umywalnia, sztych z reprodukcyą Corregia w szerokich ramach.

Jak czysto! Przez jasne szyby widać jezioro, spoczywające w leciuchnej, złotawej mgle. Nieruchome. Smugi w niem i pola jakoweś o barwie lodu. W jednem miejscu iśni słońce, jak rozpryśnięta gwiazda. Dalekie łeuchy gór za Lemanem, płaskowzgórze zasypane śniegiem Smuga lasu pnie się w góry skaliste, jak strzęp odzieży tytana. A tam góry stają się małowiele wyraźniejsze od obłoków. Białe, śnieżyście białe smugi chmur otaczają pasem ów kraj. W pewnej chwili te smugi poruszyły się, popłynęły...

Ewa została wobec odsłoniętych gór bez jakiegokolwiek uczucia, w pustce zupełnej. Uczucie głuchego żalu do nieruchomego jeziora utonęło w dziwnym huku pod czaszką.

— Uwolnił mię od siebie... — wyszeptała cicho, żeby przypadkiem nie usłyszał tamten, siedzący przy drzwiach.

— Uwolnił mię — powtórzyła raz jeszcze.

Wstała ze swego miejsca i bezwiednie podeszła do lustra, wprawionego we drzwi szafy. — Spojrzała w siebie z nienawiścią; zmierzyła się oczami od stóp do głów i szepnęła idyotycznie:

— Jestem zupełne wolna.

W lustrze tem zobaczyła, że portyera się rozsuwa, i że Liwicki stanął w jej sypialni. Widziała jego surową, pobladłą twarz i zmrużone oczy. Oczy te były zmrużone od rzeczywistego męstwa. Był szczególnie silny, naiwnie dziki, rozkazujący, gotowy do skoku w przebiegłem zaczajeniu się u portyery. Milczała, patrząc, jak tam stał na tle czerwonej zasłony. Widząc jego nienasycone spojrzenie i jego ręce — szpony, wsunięte w kieszenie, uczuła od jednego zamachu doli, że musi, — albo oddać się natychmiast temu człowiekowi, albo natychmiast umrzeć. Trzeciego wyjścia nie było.

— Jestem przecież wolna... — szepnęła z czarownym, bezbrzeżnie niewinnym uśmieszkiem, rozciągając kokardy, na które zapinał się przód jej szlafroka.

Napoły obnażona, z uśmiechem zwróciła się do niego i wyciągnęła ramiona. Porwał ją z pomrukiem i zamknął w swych barach. Nie wiedziała kiedy i jak uniósł ją niby piórko i rzucił na posłanie łoża.

Szła już długo, bardzo długo, a jednak nie czuła najlżejszego znużenia. Przeciwnie, była coraz bardziej podniecona. Coraz pełniej oddychała. — Gotowa była iść tak bez końca, pomimo upału i kurzu. Ta lewa aleja dla pieszych Avenue du Bois-de-Boulogne wciągnęła ją w siebie i wabiła dalej, wciąż dalej.

Na końcu drogi snuły się przed oczyma jakoweś drzewa okryte przedziwnym kolorem, — a zarazem różem i błękitem. W uszach huczał nieustający grzmot karet, otwartych i zamkniętych powozów, powozików,

dog-cart'ów i fiakrów, zdążających na pola wyścigowe w Longchamp. W oczach snuł się wielki świat.

Tysiące kapeluszów damskich, strojów motylich, doskonałych sukien męskich, pyszne konie, olśniewające pojazdy, służba w bogatej liberyi. — To życie spokojnie huczne, bryzgające bogactwem w sposób tak objęty przepisami, że niemal skromny, życie pełne burzy, mieniące się mnóstwem barw, nęciło i oślepiało. Olbrzymi, ruchomy wąż barw i połysków, widzialny zdaleka, urzekał. Ewa marzyła, patrząc nań. Chwilami porywała ją pasya nieprzeparta, żeby się dostać w ten szereg powozów i zająć swe miejsce.

Upajająca siła piękności, wykwitu kultury, przepychu, sprawiała rozkosz, zasłaniającą wszystko. Jakże teraz śmiała się ze siebie, siedzącej w płatniczej budce cukierni w Warszawie. Śmiała się dobrodusznie a nienasycenie. Napół świadomie rozkrzewiała w sobie radosne i porywające uniesienie na widok blasku, połysku i barw.

Przybyła była do Paryża tej samej nocy, po dokonaniu „zemsty“ nad Łukaszem. Sprawiło jej tajną, głuchą i złowieszczą radość zimne pożegnanie ze studentem, kiedy najbezwzględniej został zachwycony. Mówiła sobie: niech-no troszeczkę potęskni — i to bez skutku... Niech się dowie, jak to się tęskni. Jak się to w ciemne nocc szuka koło siebie konającemi z rozpaczy rękoma. Młody jest, — to mu się przyda.

Przybywszy do Paryża, (nie wiedzieć po co), chciała zagłuszeń, zamurowań owej „zemsty“ nadlemańskiej. Czasami wybuchała w niej istna padlina wstydu. Nagle przychodziła rozpacz.

Przychodziła nie wiadomo kiedy, jak ów Złodziej

z Apokalipsy, o którym „nikt nie wie, której godziny przychodzi“.

Wówczas zrywała się z miejsca i uciekała przed sobą — w kraj, w przestrzeń, w miasto. — Chodziła i jeździła po najrozmaitszych norach, kabaretach, teatrach, cyrkach, zaułkowych budach. — Błąkała się późnymi wieczorami w szumnych ulicach. Czuła w sobie jamę po wyrwaniu duszy. Było jej brak nadziei, jakby brak płuca. Tak długo żyła samą tylko nadzieją! Wszystko, co z nią było w Warszawie, w Nicei, na Korsyce to była przecie tylko jakowaś doczesność. Główną sprawą życia, jego zasadą, było czekanie na Łukasza i marzenie o spowiedzi u jego kolan z dokonanych uczynków. Bo on przecie wygnał kapłanów i sam jeden został dla niej kapłanem. A teraz wszystkie owe wyniosłe męczarnie zagasły, jak ogień, zalany wodą „zemsty“ nadlemańskiej.

W pustce po wyrwaniu duszy została jakoby para brudna i czarna. Ta para zwijała się w mętne kształty, a one przybierały postacie coraz nowych zagłuszeń, dziwacznych pomysłów i wciąż nowych poszukiwań zapomnienia. Jakieś bezprzedmiotowe nienawiści, odrazy, awersye budziły się w piersiach, jak gorgony.

Chodziła i jeździła po tem obcem mieście, szukając rozrywek, niezwykłych widoków, rzeczy nowych, uderzających, fenomenalnych. Wszystko jej nie zadawalniało, choć wszystko było nowe i dziwne. Czasami jakiś szczegół najbardziej pospolity, ale dla niej nowy, budził całe światy pożądań.

Pojechać do Ameryki, wstąpić na medycynę w Lozannie, zostać szarytką, rzucić się w wir polityki i społecznictwa, pozować jako modelka Rodin'owi, a nade-

wszystko żyć jakiemś życiem ogromnem, huczącem, pełnem hałasu, rozgłosu i awantur. Wypadków nowych, wciąż nowych, wciąż nowych.

Teraz, gdy tak samotnie szła chodnikiem alei, ta natężona energia poczynała budzić się znowu. Przyszedł pomysł, żeby kupić sobie konia, świetną amazonkę i codziennie o tej samej godzinie jeździć po tamtej stronie Avenue. Marzenia runęły w tę stronę. Zatonęła w myślach, gdzie to i jak kupić takiego konia. Obliczała w myśli, i ileż to mogłoby kosztować. Tysiąc, dwa tysiące franków?.. Koń musi być kary, dzikus. Amazonka. Kapelusz dziwnego kroju, zupełnie, co do joty, jak na owej miniaturze „księżniczki“ Vaughan. Właśnie taki! Otoczy go wualką ponsową, (właśnie taką i tak związaną!). Każe kapelusz specyalnie takiego kształtu robić ad hoc u Reboux. — Była tam już przecie! Widziała tłum pracownic. Blask elektrycznych lamp, olbrzymie, długie stoły. Schylone nad stołami twarze. Kwiaty, kwiaty sztuczne, miliony kwiatów! Od godziny ósmej rano do dziesiątej wieczorem wciąż w palcach kwiaty sztuczne, kwiaty, kwiaty. Przypatrywała się twarzom „tych dziewczyn“ i uśmiechała się jadowitym uśmieszkiem przy wyborze kapelusza.

Patrzyła z satysfakcyą, wywróconą na nice, na niewysłowioną, nieprzebraną, obfitą, jak żywioł, uprzejmość ładnej panny do przymierzania. — Teraz pójdzie tam znowu, wezwie najgłówniejszego kierownika, — och, zawoła tego psa! — i obstaluje sobie kapelusz-cylinderek zupełnie nieznanego kształtu. Każe tak go właśnie nazwać: — „Vaughan“. Jeżeli nie zechcą robić, to przerzuca swą „klientelę“ do Virot‘a, albo Loys‘a. Muszą gałgany wykonać!

Gdzie trzymać konia? W jakich remizach w Longchamp, czy w Auteuil? To daleko. Ale postanowiła tam jechać i czynić pierwsze kroki. — Oszukają. Och, oszukają napewno, — ale o to mniejsza. Przecież to pozna, czy koń jest piękny i silny. Na tyle ma rozumu. Zresztą w każdej chwili, gdy się znudzi, sprzeda go byle komu i za byle co.

Poszła szybciej w kierunku lasu. Na zagięciu alei, wśród największego tłoku powozów, karet i pojazdów wszelkiego rodzaju, rzuciwszy okiem w tłum, ujrzała wlepione w siebie oczy. Wydała cichy okrzyk i na chwilę kroki wstrzymała.

— Szczerbic.

Siedział w otwartej karecie na przedniej ławce, tyłem do furmana, a naprzeciwko jakichś wiekowych a strojnych dam.

Rozmawiał z niemi wesoło i żywo, jednocześnie zatapiając oczy w Ewę. W pewnej chwili ukłonił się jej nizko i grzecznie.

Kareta posuwała się tak wolno w łańcuchu powozów, że Ewa mogła ją wyprzedzać. Czyniła to skwapliwie, żeby nie czuć na sobie wzroku Szczerbica Czuła, że się rumieni i zdradza z tem, co było nad Lemanem. Ale już w owej chwili wiedziała także, że teraz stała się nowa rzecz w jej życiu. Doznała wrażenia, że teraz dopiero przypomniało jej się istnienie tego Szczerbica.

— Ach, prawda! Toż jest jeszcze na świecie Szczerbic. Miły komtuś... Jak to łamał rączki białe w Nicei, jak łkał, gdym wybiegła z rozmównicy...

Przyśpieszyła kroku i znowu poczuła, że jest czerwona.

— Ożeń się ze mną. Inaczej — nie! — szepnęła

przez zaciśnięte zęby. — Pieniądze mi wpychał w ręce, a później: — „zostań u mnie, mieszkam tutaj, na górze...“

Kareta posunęła się szybciej i oczy Szczerbica znowu się rzuciły na Ewę. Czuła je na sobie znieruchomiałe i zastygłe.

Nie patrzyła w tę stronę. Szła ze źrenicami utkwionemi w dal, z twarzą surową. Ale już wówczas czuła konieczność rozmowy z nim. Zdziwiła się, że może być surową względem niego, względem Szczerbica. Jakto? Względem Szczerbica?

Dlaczegóż to być surową? Dlaczego? Jaki powód?

Wszakże już niema powodu surowości. Już niema powodu! Już Łukasz przestał istnieć i dusza jej, Łukaszowi zaprzedana, przestała istnieć.

Nagłe uderzenie boleści, — jakby odwet za wszystko, co uczyniła, — przebiło jej serce. Nie czuła, że idzie, nie wiedziała, że żyje. Stawiała kroki machinalnie...

Wtem, — powiew przyjemności... Poczucie, że w tej chwili musi być śliczna... Idzie cudownie. — Coś tygrysiego w sposobie stawiania kroków. — Gibkość radosna. Szczerbic, ujrzawszy ją, musiał wieć wrażenie cudu, Prosty przypadek ujrzenia jej na ulicy, — wiedziała to, — był dlań nadzmysłowem zjawiskiem, wizyą oszałamiającą. Jakoby dawne wspomnienie, przesunęła się myśl, że Szczerbic to jedyna istota, zrośnięta z jej nadziejami, że on jedyny w tem ogromnem mrowisku ludzkiem zna jej imię i dolę. Podniosła oczy w jego stronę i uśmiechnęła się cichym, jasnym, pożądliwym uśmieszkiem. Stała się w owej minucie nieuchwytnie i niewysłowienie a bezmiernie piękną. Chwila uroku, dziwności, porywu. Coć obcego przesunęło się i porwało ku sobie ciekawość.

On widział jej uśmiech, nie zmienił jednak swej pozy, ani nie przerwał rozmowy z wykwintnemi pudłami w karecie. Ewa postanowiła wrócić, — ale wnet zlękła się, że go straci z oczu i już nie odszuka w tym ogromnym Paryżu. Uczuła, że musiałaby go szukać, a nie znajdując, mogłaby popaść w koleje tęsknoty, wypalone głęboko w duszy. Szukać nerwowo, budzić się znagła w nocy i, jak rozkoszy czekać świtu... Żadnych już tęsknot! Któż zasługuje na tęsknotę? Czy warto tęsknić? Dosyć się już natęskniła i z tak doskonałym skutkiem, że teraz — basta na zawsze!

— Więc co? — myślała. — Czekać aż raczy wyleźć jaśnie wielmożnymi krokami z tego powozu? Nie może pewno wyleźć, bo to muszą być wysoce arystokratyczne pudła. Bogate ciocie — co? Nie może kompromitować się dla jakiejś tam, samotnie drepcącej do lasku. To siedź, gapo! Wiele sobie robię z twojego towarzystwa!

Uśmiechnęła się do siebie złym uśmiechem, który teraz coraz częściej gościł na jej twarzy, i myślała nawpół posępnie, nawpół z dyabelstwem.

— Ten Szczerbic to jest moja ostatnia pamiątka po Łukaszu.. Tak — tak! Wartoby z nim poflirtować!.. Komtuś! Właśnie poflirtować! Przyjemny musi być flirt z tymi, którzy się w nas niegdyś durzyli, a których teraz spotykamy na nowo. Tak już wszystko znajome, nie trzeba zachodów, poznawań, miłych kłamań przedwstępnych, krążeń i wybiegów...

Pojazd ze Szczerbicem gdzieś się oddalił i znikł z oczu. Ewa nieprzyjemnie zlękła się, gdy spostrzegła, że skamieniałe oczy już na nią nie patrzą. Szła ociężale

w chwilowem, a bardzo głębokiem rozczarowaniu. Była już w lasku i widziała stawy, błyszczące w oddali. Miała zamiar wrócić raptownie i unieść ze sobą rozczarowanie, zamknąć je w ściśniętem sercu. Naprzekór wszystkiemu postanowiła wrócić do poprzedniej myśli o karym koniu. Widziała go przed oczyma wysiłkiem woli, czuła odór potu, gdy będzie pod nią rwał się i skakał.

Każe sobie zrobić perski munsztuk i będzie panowała nad tem zwierzęciem. Do wysokich bucików każe przyprawiać małe, ale nadzwyczaj rżnące ostrogi. Będzie się ogier miał zpyszna!

— Witam panią! — zabrzmiał tuż obok, z za ramienia, głos Szczerbica.

— Witam pana, — odrzekła chłodno.

Teraz nie uczynił na niej żadnego wrażenia. Byłaby nawet zdolna przysiądz, że jest nierada z jego „przyczepki".

— Pani tu sama?

— Jak pan widzi. Spostrzegłam pana jadącego w powozie. Teraz zjawił się pan skądś z boku, czy z tyłu. Którędy pan?...

— Wyprawiłem te szanowne zwaliska, z któremi, jak pani widziała, jechałem.

— Ażeby nie spostrzegły, jak pan będzie lekkomyślnie rozmawiał... wprost na chodniku...

— Są to moje kuzyny. Pani się dziwi temu, że nie chciałbym, aby wiedziano o naszej znajomości. Byłoby to dla pani poniżające, gdybym musiał tłómaczyć... Bo przecie pani nie znają! Są pewne zwyczaje, których przełamać...

— Rozumiem. Panie, czy pan nie wie przypadkiem,

gdzie tu możnaby kupić konia pod wierzch, ale siarczystego dzikusa. Żeby to, wie pan, rżał, kopał doły kopytem, żeby był pyszny, z grzywą wzburzoną, rozbestwiony, z pianą u pyska. — Musi być kary, kary jak noc, z aksamitną sierścią, z małym łebkiem Oczy ma mieć koniecznie krwawe!...

— To dla pani taki potwór? — spytał Szczerbic ciekawie.

— Oczywiście.

— Ależ gotów jestem wyszukać!

— Nie prosiłam o wyszukiwanie. Prosiłam tylko o wskazówkę, dokąd się zwrócić.

— Czyż pani da sobie radę z załatwieniem takiej sprawy? Przyślę pani człowieka, który wszystko...

— Zastrzegam, że dziękuję nawet za radę, jeżeli pan chce wyświadczyć mi usługi. Nie potrzeba mi wcale „człowieka". Człowieka!

— Ależ!

— Nie mówmy już o tem. Pan długo jeszcze zostanie w tym Paryżu?

— Nie wiem. Zdaje mi się, że wyjadę. A pani, jeśli wolno zapytać?

— Zdaje mi się, że ja tu zostanę na stałe, — tu, lub gdzieś we Francyi. A może w Lozannie... Jeszcze nie zdecydowałam.

— Doprawdy? A do Warszawy... już nie?...

— Nie.

Szczerbic milczał przez czas dość długi. Nareszcie z wahaniem się zapytał:

— Przepraszam bardzo za natarczywość, ale tak chciałbym wiedzieć?...

— Co takiego?

— Wszak spotkała już pani pana Niepołomskiego!

— Nie.

— Dotąd nie! To dziwne.

— Rzeczywiście dziwne.

— Dziwne dlatego, że był u mnie w Paryżu niejaki pan Horst...

— Horst? — zawołała w popłochu.

— Horst. Jeden z tych wielkich fabrykantów, bogaczów. Spotykałem ich dawniej w towarzystwie. Teraz koło tego właśnie jakoś jest dziwnie kuso i cienko. Zdziwiłem się, gdy mnie zaszczycił swemi odwiedzinami, bo nigdy go nie estymowałem, a tu tembardziej, gdyż żyję na uboczu, w zupełnej ciszy...

— Cóż on mówił?

— Właśnie bardzo wiele mówił o pani.

— O mnie?

— Dopiero od niego dowiedziałem się, że to pani dobry znajomy. Rozpowiedział mi przedewszystkiem, że Niepołomski był w Warszawie...

— Kiedy Niepołomski był w Warszawie?

— Zaraz po naszym wyjeździe, w marcu.

— Po naszym wyjeździe, w marcu... — powtórzyła cichym, struchlałym, jak gdyby rozsiekanym głosem.

— Był u rodziców pani. Wtedy widział się z nim ów Horst i, niech sobie pani wyobrazi mój gniew, nagadał Niepołomskiemu, że pani wyjechała no... ze mną, jako... Pojmuje pani, co ten człowiek...

— Pojmuję.

— Wówczas Niepołomski, podobno, wpadł w straszną pasyę, rzucił się na niego. Zrobiła się burda. Za-

raz następnego dnia Niepołomski znikł z Warszawy i już go tam więcej nie widziano.

— Ach, więc... to... tak... — suchy szloch — śmiech. — I już go więcej nie widziano...

— Ów pan Horst wybrał się wówczas do Paryża, — mówił Szczerbic z szyderstwem, — żeby się osobiście i naocznie przekonać, czy prawdę powiedział Niepołomskiemu. Śledził mię, widać, długo, aż wreszcie strapiony przyszedł z zapytaniem o panią. Twierdzi, że działa w imieniu rodziców. Nie umiałem mu nic powiedzieć, odkąd pani zniknęła mi z oczu w Nicei, a plotek nie powtórzyłem.

Ewa szła teraz w zamyśleniu. Głowa jej była podniesiona, niemal zadarta do góry. Oślepłe oczy z dołu patrzyły na szczyty drzew. Usta się uśmiechały cudacko. Zachichotała głośno, obrzydliwie i tak niemiło, że Szczerbic aż się nieco odsunął.

— Wracając do konia... — paplała pośpiesznie, — pan mi pomoże! Przyśle pan takiego draba, który wskaże, gdzie to należy pójść...

— A dokąd mam przysłać?

— Dokąd? Hm! Place de la Nation 12. Trzecie piętro. A więc Łukasz Niepołomski był na naszem trzeciem piętrze, w mieszkaniu, w Warszawie?

— Tak mówił Horst.

— A Horst gdzie jest teraz?

— Wrócił już zapewne do Warszawy.

— Pan to napewno słyszał, że Niepołomski był w Warszawie, u nas w mieszkaniu?

— Tak, pani, słyszałem, — cicho rzekł Szczerbic.

— Niepołomski był w naszem mieszkaniu w Warszawie i tam mu Horst powiedzał, że ja zostałam

pańską kochanką i że z panem puściłam się zagranicę. No tak. To wszystko jest w porządku.

Poczęła cicho nucić: „Czarowna, cicha noc majowa, przepojona wonią bzu“!

Szczerbic mówił zająkliwie głosem głębokim i współczującym:

— Niech się pani uspokoi!...

— A pan... naprzykład... pan mógłby na to przysiądz, ale przed Bogiem, przed Panem naszym Jezusem Chrystusem, że Niepołomski był w Warszawie i to teraz, na wiosnę, kiedyśmy wyjechali, — że Niepołomski był w naszem mieszkaniu i słyszał od Horsta, że ja zostałam pańską kochanką i razem z panem wyjechałam zagranicę.

— Mogę na to przysiądz przed Bogiem, że powiedziałem pani szczerą prawdę, jakem ją słyszał, żem powiedział tak wszystko, jakem od tego Horsta słyszał. Niepołomski był w Warszawie, kiedy my stamtąd wyjechaliśmy. Horst mu powiedział, że pani wyjechała ze mną. Wówczas on znikł i już go tam więcej nie widziano.

— No! jak tak, to wszystko jest w porządku. O to przecie tylko chodzi. Czegóż się kłócić, spierać?

— Niech pani tak nie mówi!

— Ja nic. Jestem zupełnie, zupełnie spokojna. Bo przecież tutaj, prawda panie? żadnego piśmiennego dowodu na to, co pan powiedział, być nie może. Jakiż tu może być dowód na piśmie. Skądby tu wziąć taki dowód! Skąd wziąć, o Boże! Prawda, panie?

— O czem pani mówi?

— Mówię o tem, że i tak wszystko jest w porządku. O to tylko chodzi, czy rzeczywiście tak było.

Bo skoro tak było, to o cóż się kłócić, spierać?

— Czy pani wróci teraz do siebie?

— Ja? A tak, oczywiście.

— Możebym mógł odwieźć panią do domu? Pani tak pobladła...

— Nie, nie, nie! Och, nie! Teraz nie chcę być w domu, w pokoju, w mieszkaniu! Teraz za nic, za nic nie chcę być w mieszkaniu! Troszeczkę się przejdę. Tak tu przyjemnie... Tyle mi pan naopowiadał! Ten Horst poczciwina... On tam mieszka u nas. I pan taki poczciwy! Widzi pan, przypomniałam sobie swój własny pokoik, tam u nas... Mój ojciec jest bardzo stary. Bezsilny, rozdeptany, stary człowiek. Tacy ludzie, jak mój ojciec... Nietzsche mówi, że są tacy, którzy istnieją tylko gwoli służbie i pożytkowi ogólnemu i tylko po to istnieć powinni... Mój ojciec... I dopiero ten Niepołomski tam przyjechał! Nareszcie przyjechał. A tu mnie niema! I wtedy ten Horst poczciwina...

— Żałuję, żem to wszystko pani powtórzył...

— Och, nie! Wyświadczył mi pan wielką, wielką łaskę. Bo widzi pan, teraz się wykryła najważniejsza tajemnica. Teraz przynajmniej wiadomo, że Łukasz Niepołomski jest w porządku. Przynajmniej on jest w porządku! A oto tylko chodzi. Widzi pan: on zawsze był, jest i b ę d z i e w porządku!

Oczy jej zabłysły straszliwie, gdy szepnęła:

— Tylko ja jestem niezupełnie w porządku. Cha-cha!

W blizkości, a na uboczu od szlaku powozów była ławka między wielkiemi drzewami. Tam usiedli. Ewa końcem parasolki rysowała na piasku jakieś ogromne znaki. Pisząc je, pochylała się całem ciałem.

— Zdawało mi się przed chwilą, — rzekła w za-

myśleniu, a jakoś bardzo poważnie, — że jesteśmy w Łazienkach. Tak niedawno!

— Pani jeszcze pamięta to zdarzenie?

— Pamiętam. Ja mam dobrą pamięć. Właśnie przyszło mi na myśl jedno pytanie. Ale to zresztą...

— Co, co?

— Na to nie można poprostu dać odpowiedzi.

— Ja dam odpowiedź na każde pani pytanie!

— Nie, na to dać nie można.

— Niech pani spróbuje!

— Chciałabym dowiedzieć się bardzo prostej rzeczy: czy pan wcale nie wiedział o tem, że dajmy na to... Ale to darmo pytać...

— Dlaczegóż... darmo pytać!

— Uśmiech zapamiętały i drapieżny na jej ustach przemknął.

— Bo ja i tak panu nie uwierzę...

— Ale o co chodzi? Proszę!

— Czy pan wcale nie wiedział, że Łukasz Niepołomski ma przyjechać do Warszawy zaraz wówczas, w lutym, w marcu? Czy pan tego nie wiedział, gdy pan ze mną dobrotliwie rozmawiał w Łazienkach.

— Czy ja tego... Nie, nie wiedziałem? Daję na to moje nieskalane słowo honoru.

— A drugie pytanie...

— Odpowiedzi mojej również pani nie uwierzy.

— No, cóż tam... ja.. Drugie pytanie: czy pan wówczas miał zamiar... Ech, co to zresztą warto! Minęło!

— Proszę na wszystko!

— Czy pan miał zamiar już wówczas powiedzieć mi to, co w Nicei? Zresztą, — nie chcę słyszeć odpowiedzi!

— Dlaczego pani taka rozdrażniona!

— Nie jestem rozdrażniona! A może zresztą i jestem. Jeżeli jestem, to przecie tem lepiej.

— Dla pani gorzej.

— Ale dla was lepiej

— Dla was, to znaczy... nie wiem... Dla kogo lepiej?

— Dla was, dla paniczów, panów, panków.

— Jakoś to dla mnie zbyt tajemnicze. Nic nie rozumiem.

— Ech, rozumie pan! Tylko wewnętrznym rozumem, dyabelstwem rozumu. Wie pan, że Niepołomski ożenił się drugi raz?

— Niepołomski... drugi raz! Co pani mówi!

— Tak, tak — i to bardzo dobrze, bardzo bogato. Uzyskał rozwód i ożenił się w Genewie. Bardzo dobry zrobił wybór, bardzo. To człowiek z głową. Teraz pojechał ze swą nową, możnaby powiedzieć, trzecią żoną na ocean Indyjski, do Australii, na wyspy Borneo, Celebes, Jawa. Będzie prowadził studya naukowe. Pan wie, gdzie są właściwie wyspy Iles des pins?

— Co prawda — to nie wiem...

— Niepołomski będzie napewno na owych wyspach. Panują tam bowiem najdziwaczniejsze obyczaje, które wniwecz obracają nasze pojęcia towarzyskie. Na mieszkankach tych wysp będzie się mógł naocznie przekonać, czem jest moralność. A pan wie czem jest moralność?

— Nie wiem. Ale teraz rozumiem rozdrażnienie pani.

— Moralność, widzi pan, jest to wynalazek, rodzaj postanowienia obowiązującego wszystkich, rodzaj uchwały gminnej, czasowo przestrzeganej z gminnym pietyzmem.

— To wszystko być może. Ale pocóż mamy o tem myśleć i takiemi sprawami się trapić...

— Ja się też nie trapię niczem. Niczem!

— Gdybyż to tak było w istocie! Nie należy się trapić. Należy brać życie z jego strony świetlanej, słonecznej, jasnej. „Żyj — naśpisz się do syta w trumnie“— mówi mój ojciec. Cała mądrość życia, nie wiem jak tam dla kogo, ale dla mnie zawiera się w tej angielskiej piosence. „T o - m o r r o w t h e s u n m a y b e s h i n i n g a l t h o u g h i t i s c l o u d y t o - d a y...“

— Nie rozumiem nie tylko mądrości, ale nawet jednego słowa.

— Jutro może nam słońce zaświecić... — mówił Szczerbic cicho, głosem, który się ledwie z jego ust wymykał. Tchu brakło. Ewa spojrzała na niego z ukosa i spostrzegła wzruszenie. Sprawiło jej to satysfakcyę. Uśmiechnęła się ohydnie. Śmiertelna nienawiść, jak zbrodniarz, skradający się ku ofierze, chyłkiem prześlizgnęła się po jej twarzy. On znowu jął powtarzać swe angielskie przysłowie z pewnem upojeniem.

— Chodźmy stąd! — rzekła wstając porywczo z miejsca i idąc naprzód w głąb pustej, bocznej uliczki.

Szczerbic szedł obok w milczeniu. Gdy byli w głębi drzew i naokoło nie było widać nikogo, nieśmiało, trwożnie, prawie z rozpaczą usiłował pochwycić jej rękę. Wyrwała tę rękę natychmiast i zwróciła na niego piekielne, iście czartowskie oczy.

— Jeżeli pan ośmieli się... raz jeszcze!

Patrzyła mu prosto w oczy zezem odpychającym. Szczególniejsza przyjemność, rozrastająca się do rozmiarów radości, szerzyła się w niej, gdy widziała, jak jego gładkie, starannie wygolone, a w owej chwili pon-

sowe policzki drgają od ściskania szczęk, drgają boleśnie i wściekle, drgają raz wraz. Szukała w głowie sposobu, jakby postąpić, żeby te szczęki zaciskały się coraz szybciej i coraz szczelniej... Poszła znowu naprzód, jakby wcale nie wiedziała o tem, że on obok, nieco z tyłu idzie. Gdy zaczął mówić, zatrzymała się i zwróciła na niego bezlitosne oczy.

— Cóż pani chce zrobić ze sobą? Znowu odejść? Znowu gdzieś uciec?

— Zrobię, co zechcę.

— Nie, nie!

— Cóż pana to obchodzi, co ja ze sobą zrobię?

— Jużem mówił... Jużem... tam w Nicei...

— Ach... na górę?! Cha-cha...

— Nie, nie! Tylko nie odchodź! Na samą myśl, że znowu znikniesz, — szaleństwo! Teraz cię zobaczyłem i pomyślałem, że to Bóg mi cię zesłał.

— O, tak, Bóg panu sprzyja w zamiarach.

— Myślałem, że pojechałaś do Paryża, więc się tu przywlokłem. Ten Horst powiedział mi, że cię niema w Warszawie. Co chcesz, żebym zrobił? Powiedz! Niepołomski nikczemnie cię zdradził... Słuchaj... ożenił się z inną...

— Przedewszystkiem — ja nie jestem wcale dla pana jakaś t y...

— Jesteś dla mnie! Nie będę mówił inaczej... No, w tej chwili... Powiedz, co mam zrobić, żebyś mię nie opuściła. Zażądaj czego tylko chcesz.

— Jestem wolna. Staraj się pan o moją rękę. Kto wie?

Szczerbic zachłysnął się.

— No — i jakże? — nastawała.

— Dobrze, dobrze, doskonale! Ale jedno pytanie...

— Tysiąc pytań!

— Czy mogłabyś pokochać mię tak, jak Niepołomskiego? Odpowiedz! Mówisz zawsze prawdę, więc odpowiedz!

— Tego nie wiem.

— Tak, nie możesz powiedzieć, że mię kochasz. Chciałabyś sprzedać mi się za najwyższą cenę. Dobrze, — ja kupuję. Ale oddaj mi swoją miłość. Przysięgnij, że o nim zapomnisz.

— Nie zapomnę o nim nigdy, nigdy, przenigdy! I niech pan już do mnie nie mówi, bo pójdę!... Jeżeli pan ma zamiar jeszcze o tem...

— Muszę o tem mówić! Nie zapomnę nigdy twoich oczu, gdy przyszedłem do owej nory żydowskiej... tam w mieście, gdzieś mieszkała. Twoje oczy wówczas! Oczy, patrzące z nieba. Oczy zabite. Taka miłość, jak twoja wtedy, gdy wspomniał o Niepołomskim.

— Niech pan już przestanie...

— Pomyśl, czy nie lepiej...

— Cóż takiego?

— Jeżelibyś została moją żoną... Trzebaby przełamywać milion trudności... A gdybyś nią wreszcie została, to okazałoby się, że nie możemy żyć razem, bo ty kochasz Niepołomskiego...

— No, więc rozejdźmy się teraz...

— Życie świata mojego jest to życie, którego nie znasz... — mówił cicho. — Nie mógłbym żyć poza tym światem. Muszę żyć w kraju. Tam mam ojca, który włada majątkiem całej naszej rodziny, więc i moim. Mogę żyć, jak chcę, i robić, co chcę, ale dopóki jestem nieżonaty, dopóki jestem cząstką rodziny. Ożenić się bez woli

ojca nie mogę. — Wydziedziczy mię, albo ograniczy do minimum moją schedę. A pomyśl, czy mógłby się zgodzić na moje małżeństwo z tobą. Powiedz bez gniewu.

— Wygląda to tak, jakbym ja konkurowała o pana. Ja wcale o to nie stoję, żeby zostać pańską żoną.

— Jakie mój ojciec piastuje ideały, to ci scharakteryzują aforyzmy, które umiem na pamięć, bo je ciągle wygłasza i wypisuje w listach. Dobry to zresztą człowiek... „Chłop różni się od bydlęcia tylko tem, że ma dwie nogi“. „Tylko ludzie, posiadający własność, mogą czytać książki“. „Dbaj o siebie mój synu, bo Bóg daleko, a złodziej blizko“. „Je suis seigneur et je serais seigneur, a co przeciwko temu knuje hołota, to mię nic a nic nie obchodzi...“ I tak bez końca.

— No, — ale cóż to wszystko mnie obchodzić może? Niech pan słucha papy, a całość sama się złoży.

— Chcę powiedzieć, że ludzie stworzeni są do szczęścia. Wszyscy ludzie, — więc ja i pani. — Szczęście można znaleźć tylko w związku wolnym. Kocham cię, więc jestem twoją. Kocham cię, więc jestem twoim. Przypomnij sobie tylko, co w twojem życiu sprawiło pragnienie małżeństwa. Łukasz został złodziejem, a ty zabiłaś dziecko. Jakże byliście słabi! Nie śmieliście rzucić światu rękawicy. „Należy raczej zdruzgotać małżeństwo, niż dać się jemu zdruzgotać...“

— Ach, jaki pan jesteś wymowny! I cytaty z filozofów... Każdy z was, kiedy chodzi o przekonanie kobiety, ma w głowie i w ustach szeregi cytat. A ja panu powiem, że właśnie mam odrazę do filozofów i poetów. Natomiast w złości swej zacytuję panu doskonały aforyzm pańskiego papy. „Bóg daleko, a złodziej blizko“.

— Ja się na panią o to nie gniewam, choć to takie niegrzeczne i ordynarne.

— Niech mię pan nie oszczędza! Jestem zła, bardzo zła, smutna, nudna. Świat i życie wydają mi się, jako objawy tylko złego. Wszystko jest podłe. Podłemi i wstrętnemi są wszystkie nasze uczucia, żądze, cele, ideały...

— Czy te drzewa, co już tyle przeżyły i tyle czasu tu stoją, — także są podłe i wstrętne? Drzewa żyją wraz z człowiekiem. Są one podobne do jedynej sztuki, do muzyki. Budowle, obrazy, rzeźby, najcudniejsze objawy artyzmu żyją swem życiem własnem, być może, życiem tych, kto je z nicości utworzył. Tylko drzewa żyją życiem powszechnem, w którem i nasze życie się mieści. — Kiedy po latach witać się ze znajomemi drzewami, znajduje się w nich zmiany niemal takie same, jak w sobie. Wzruszenia nasze są w ich kształcie, zmianach i szumie.

— Drzewa!... Przecie to już tyle razy było... Lato, zielone drzewa i trawniki. Ach, jakie zielone! I będą zielone, gdy ja zgniję w dole. Żeby chociaż były dla odmiany niebieskie, fioletowe, karmazynowe. Trzebaby chyba udawać zachwyt, czyli wpaść w snobizm, a jak mówi Horst w „kołtunizm“, żeby coś w tym całym świecie odnaleźć. Niech zgaśnie i nie wstaje słońce! Nie, panie! — Czuję się wolną od wszelkiej blagi, udanych uczuć, skłamanych i umyślnie pozmienianych wrażeniek. Nie znoszę obłudy i podnoszenia uczuć, które nie zasługują nawet na to, żeby ich nagość słowem okryć. Wie pan — Paryż mię już zmęczył.

— Wyjechać...

— Tak, trzeba będzie...

— Pani mi powie, dokąd.

Ewa milczała dość długo. Rzekła spokojnie, otrzepując z pyłu atłasowy rękaw sukni:

— Nie.

— Dlaczego?

— Pan mi na nic nie potrzebny. I ja panu nie jestem potrzebna. To jest, — wycedziła przez zaciśnięte zęby, — byłabym potrzebna, przydałabym się, ale ja nie myślę...

Szczerbic boleśnie westchnął.

— Widzi pan, — prawiła z głębokiem przeświadczeniem, — wszystko oducza mię marzyć. — Chwilami zdaje mi się, że nigdy marzyć nie umiałam. Marzyć o przyszłości... Co to jest? Ja marzyłam o przeszłości... Żyję, jak pierwsze lepsze indywiduum na dwu nogach, o których tak stanowczo mówi ojciec pański. Trzebaby mi teraz jakiejś religii, którąby mi powiedziała, jak tu dalej wierzyć w cokolwiek, jak tu dalej żyć, kiedy się nie ma wiary w nic, a nadewszystko, nadewszystko wiary w siebie. Cokolwiek tknąć w duszy własnej, czy cudzej, to poza zasłonami tylko codzienna żądza i pospolity apetyt...

— Skąd takie myśli?

— Kto ma takie myśli, jak ja, ten nie powinienby już żyć. Mam nieraz wrażenie, że względem ludzi czemś głęboko, głęboko zawiniłam i że należałoby ich prosić o przebaczenie. Ale jak to zrobić, gdzie, kiedy. Opanowuje mię to szczególniej, gdy mgła, deszcz, wicher. Wtulam się wówczas w pelerynę i siedzę, jak zawsze, bez żadnego zajęcia. Myśli lecą...

— To tam, na Place de la Nation?

— Tam. Ach nie, nie tam... Już nie mieszkam w tem miejscu. Wracajmy! Ja żartowałam. Tu taka pustka, taka pustka obmierzła...

W mieszkaniu swem na Place de la Nation Ewa przepędziła lato. Kilkakroć w najgorętszych tygodniach, wyjeżdżała na wybrzeża bretońskie i rozbijała się w swych wykwintnych tualetach. — Wszędzie za nią włóczył się Szczerbic, — zdala, zdala.

Rzadko z nim rozmawiała, a progu jej mieszkania nie przekroczył ani razu. W jesieni po powrocie do Paryża bawiła się coraz wystawniej. Strwoniła już była w ciągu tego czasu około dziesięciu tysięcy franków. Miała pełne kufry sukien, stosy pudeł z kapeluszami, szuflady rękawiczek, najrozmaitsze kształty parasolek, walizy bielizny i fatałaszków modnisi.

Ginęła oczywiście w tem zbiorowisku elegantek, ale nie była zupełnie zapoznaną. Miała swój światek wielbicieli, którzy tracili napróżno czas i mienie, żeby dotrzeć do jej zacisza. Nadewszystko było dwu, którzy bardzo często, a niejednokrotnie z dnia na dzień, patrolowali w narożnej cukierni Beck'a, oczekując na jej wyjście. Skoro się ukazała, wlekli się za nią ordynarnie ulicami, dokądkolwiek szła. Jeżeli jechała omnibusem, jechali również. Gdy siadła do fiakra, zawsze przynajmniej jeden z nich towarzyszył jej, jak detektyw. Byli nad morzem, dopóki tam była, i wrócili do Paryża, gdy tu przyjechała. Nie zwróciłoby to wszystko jej specyalnej uwagi, gdyż była przyzwyczajona do lowelasów i ich manewrów, jak myśliwiec do natury i obyczajów zwierza.

Tymczasem twarz jednego z tych młodych panów uderzyła ją od pierwszej chwili, gdy go spostrzegła, i niepokoiła ją już stale.

Nie mogła sobie żadną miarą przypomnieć, gdzie ona tego człowieka widziała, ale żywiła w sobie bezwzględną pewność, że już raz doń przemawiała po polsku i to w okolicznościach straszliwych. Nie wiedziała wcale, o czem z nim mówiła, ale tkwiło w jej pamięci wrażenie ohydne i groźne. — Nieraz w nocy wynikały przed nią w ciemności oczy tego człowieka, oczy drapieżne, okrutne, srogie i, co do siły spojrzenia, — jedyne. Był to przystojny, prawie piękny brunet, o cerze smagłej, śniadej, z leciutkim wąsikiem nad rubinowemi wargami. — Ewa przemierzała myślami wszystkie swoje dni i im bardziej wczuwała się we wrażenie rozmowy z tym człowiekiem, tem trudniej było cokolwiek przypomnieć. Gubiła się gmatwała w domysłach i usiłowaniach. Doszła do jednego powzięcia, że to było w Polsce, na prowincyi i w najgorszych chwilach życia. Wspomnienie owo poprostu cuchło. Powiedziała sobie tedy, że to musiała być jakaś brutalna zaczepka w okresie ciąży, w dobie nieprzytomności. Na tem poprzestała, starając się, (oczywiście napróżno), o tem nie myśleć.

Nie znała się w Paryżu z nikim. Uczęszczała po dawnemu do teatrów, na operę, do kabaretów i teatrzyków na wszelkie widowiska i zabawy. Bardzo często była tem wszystkiem zmęczona, jak niegdyś ciężką pracą w biurze, u szwaczek, albo w cukierni. Ale już nie mogła przestać tak żyć. Musiała codziennie wyszukiwać sobie nowe zabawy, nowe podniety i za ich pomocą zużywać dzień.

W odwieczerza dżdżyste i słotne, kiedy Paryż sta-

wał się czarno-rudy i oślizgły od ciekłego błota, w godzinach, kiedy nie było gdzie iść, tłukła się w ścianach swego mieszkania i „była zamknięta w chillońskim lochu melancholii“. Zjawiały się w głowie złe myśli i ziewała wygasła próżnia wzruszeń minionych. Ażeby nie dać się „chillońskiemu świństwu“, układała plany nowego życia. Miała przed oczyma dwie zmory. Nie myślała o nich nigdy na seryo, gdyż o niczem nie myślała w taki sposób. Ale zmory stały u progu jej domu i każda myśl twórcza wiedziała o nich, że stoją.

Pierwsza zmora, — to była pewność, że Szczerbic wie o tem, co zrobiła z dzieckiem. Druga zmora była ta, że wkrótce, a przynajmniej kiedyś, wyszastają się pieniądze. Nie mogła ich nie rzucać, nie ciskać na prawo i na lewo, bo nie mogłaby wyżyć bez ciskania, ale drżała, licząc, wciąż licząc to, co zostało. Nieraz już snuło się w myśli marzenie, żeby szaleć coraz bezmyślniej, bujniej, wspanialej, prędko wydać wszystko i dojść do tego krańca, który gdzieś tam ukazywał się poza wszystkiem. Nie wiedziała jednak, co to za kraniec... I na myśl o tem, — wzdrygnienie ohydne. Gardziła niem... Znowu skupowała suknie, mantyle, kapelusze, buciki, Dent's gloves, najwyszukańsze pończochy, bieliznę, perfumy...

Poza dwiema zmorami stała u jej drzwi pewna konieczność, mglista, niejasna mgławica.

I oto pewnego dnia, kiedy przez okno wlewało się chmurne światło, mgławica nasunęła się przed oczy. Ewa siedziała na nizkim foteliku. Wysokie i szerokie okno sięgało do samej posadzki, a wychodziło na wielki, żwirowany plac de la Nation. Z tej wyżyny widać było na krańcach horyzontu mdłą linię lasu, skrawek pola. Ewa

podparła głowę obiema rękami i patrzyła w dal senną, mglistą, zadymioną. Nuciła lekką piosenkę...

Ciężkie powieki przymknęły się niepostrzeżenie i, gdy usta jeszcze szemrały melodyę, gdy oczy jeszcze widziały daleki szlak, gdy uszy słyszały łoskot i zgiełk uliczny, dusza patrzyła w krajobraz daleki, w rzeczywistość bardziej istotną, niż wszystko, co działało na zmysły. Jakże dziwnie uczuła się szczęśliwa! Och, tak... Mała, niziutka trawa... Traweczka, jak mech... Zmoczona wszystka wodą, obciążona nad miarę kroplami, które na wątłych piórkach leżą. Kępką samotną ścielą się ubożuchne, białe, górskie kwiatki. Około sosnowych pniów leżą brunatne place zeschniętych igieł. Na każdej gałązce i na każdej igle świeci się woda. Słońce przenika w szczeliny między gałęziami i na mokre, blade trawy kładzie urok niewysłowiony. Jakiż urok! Kształty igieł... Z czarnej ziemi wystają tu i tam pniaki drzew dawno ściętych. Teraz je dopiero ujrzała... Rozmyte przez niezliczone strumienie deszczu, pożarte przez zgniłą pleśń... Każdy z tych pniaków, — to chyba twarz... Lica straszliwe, przeklęte i odtrącone! Tylko dla nich to jasne słońce nie świeci, deszcz żywotwórczy tylko ich jednych nie pielęgnuje. Wiatr dla nich, — to niszczyciel. Tó te: łkanie tych pniaków nieme w samotni, głos, którego nikt nie dosłyszy!... To Vizzavona...

Z pod nikłej murawy wynurzają się okrągłe i podługowate kamienie, szare i centkowane barwiście, jak skóra żmii. Młody świerczek wyrasta z wilgotnej ziemi. Cienki, jak kwiat, jak delikatne pióro. Jasna jego zieloność wyrywa się z czarnoleśnej masy, wyciąga ręce blade i przezroczyste. Las zadumany, nieruchomy. Sino-

zielone mchy, jak delikatna osędzielizna, stroją pnie. Odziemki drzew stają się w słońcu seledynowe...

Aż oto nad szczytami drzew, w niebiosach objawiły się niewiarogodne kształty gór. Jesienne, świeżo spadłe śniegi okryły je od podnóża do szczytów. Pierwszy to raz wyszły z chmur czarnych, z mgieł gęstych, z deszczów ulewnych. Oczy witają się z nimi, jakby z obłoki wiosny, co spadły na zręby gór i rozsypały się na pochylniach przepaści, — a wrócić już powtóre na skrzydła wiatrów niebieskich siły nie mają. Chłód. Niemal zimno Taka cisza... Potok samotny, potok wieczny wlecze po ostrych kamieniach swój szum, swój szum...

Ocknęła się. Podniosła głowę.

Odraza! Przed oczyma — bure, fałdziste obłoki, jak gdyby wymiona olbrzymie, obciążone do pełnej miary, wlokły się ku wschodowi w dymach, tuż ponad dachami, raz wraz poganiane przez wicher.

Wędrowcy posępni, idący w swą własną drogę. Spłacheć rudej roli, tak daleki, że widzi się, jakoby chmura... Ta jego wkładka w horyzont nastręczyła si oczom i uporczywie, ościeniem nastawiła myśl o miejscu na ziemskim padole, gdzie spocząć wreszcie trzeba. Zmoczone dachy, nasiękłe wilgocią... Oślizgłe i odęte mury... Wiatr uderzył w szyby, — ni to pierś i skrzydła pierzaste, połamane kędyś w chmurach. Och, jakże wzdychał wiatr!...

Naraz z ciemnych i skłębionych mgławic — wyszła myśl niezłomna: niema innej rady, tylko wyjść za mąż za Jaśniacha. Bez niego niepodobna wracać do Warszawy. Jeżeli za niego wyjść, — to można wracać. On wszystko przebaczy: Wszystko wyznać! Ach, jemu wszystko wyznać! Niechby naznaczył pokutę, jakąby

chciał! Oddać mu resztę pieniędzy na te jakieś tam jego cele. Przyłożyć ręki do tego, co każe robić, przyłożyć ręki, ale tak, żeby martwe rzeczy poczęły chodzić, żeby kamienie wzdychały! Rzucić się jeszcze do nóg światu i przebłagać świat! Strasznie pracować... — wyszeptała z namiętną, z dziką rozkoszą...

A Szczerbic? Zadrżała, jak od zimna, i znowu ściągnęły ją dreszcze — Mógłby się mścić... Mógłby powiedzieć Horstowi. Horst Barnawskiej. Teraz tamte małpy nic jeszcze nic wiedzą. Ale czyżby Szczerbic był zdolny? Jeśli go podraźnić tem wyjściem za Jaśniacha, — może być zdolny. (Oni są zdolni do wszystkiego, jeśli im się nie oddać).

Gdyby zaś można mieć jego słowo honoru, — „nieskalane“, — gdyby przysiągł... Nazywać się — Jaśniachowa. Któż znajdzie? Zamieszkać w Krakowie, w Lozannie... Zerwać wszelkie stosunki z Barnawską, z Horścikiem i z tym... Szczerbicem Ale jakże z nim zerwać, kiedy on wie? Nie można wrócić do kraju, póki on nie da uroczystego słowa honoru. A jak zażądać, jakim sposobem zażądać? Kiedy zażądać?

Przymknęła oczy i rozważała przebiegle, kiedy zażądać. A wszakże od dawien dawna wiedziała, kiedy zażąda tego słowa honoru. Zacisnęła mocniej powieki i zwolna popadła w głuchy, cichy, pół-rozkoszny nie sen. Obrazy piękności, któremi mogła władać dowolnie, napełniły pokój... Dumanie stawało się nienasycone, nieposkromione, mocne jak szpada, idąca na przebój.

— Dobrze... — rzekła sobie nareszcie.

Westchnęła Oczy objęły daleki szlak lasu. Serce biło cicho, jak wiosło, co ledwie się porusza w mdlejącej dłoni.

Nagły dźwięk dzwonka wyrwał ją z sennego odrętwienia. Wstała z miejsca i, wyciągnąwszy przed się ramiona, zdusiła w piersiach krótki szloch. Concierge'ka, od której wynajmowała swe dwa pokoiki, podała jej list, przyniesiony przez czyjegoś lokaja. Ewa rozerwała kopertę i nie miała chęci czytać listu. Domyśliła się od kogo. Szczerbic pisał:

„W tych dniach wyjeżdżam do Warszawy. Może pani ma jakiekolwiek do kraju zlecenie. Załatwię wszystko z miłą chęcią. Czekam na łaskawą odpowiedź w kawiarni Beck'a na rogu placu".

Post scriptum opiewało: „Gdyby pani raczyła sama pofatygować się na chwilę do wymienionej kawiarni i ustnie polecić mi, co mam w Warszawie wykonać, byłbym bardzo wdzięczny".

Ewa przez chwilę z uśmiechem i przymkniętemi oczyma ważyła ten list na dłoni. Wreszcie rzekła do concierge'ki:

— Czy ów posłaniec czeka?

— Tak

— Proszę mu powiedzieć, że dobrze.

Gdy tamta wyszła, Ewa poczęła ubierać się — i to od stóp do głów. Bicie serca nie pozwalało myśleć o niczem, zastanawiać się trzeźwo. Tylko sprawa kostyumu Kładła na siebie wszystko najwykwintniejsze... Jakieś ciemne złudzenie, należące już do przepastnej krainy obłędu, czarowało, że to Warszawa, że to Łukasz przyjeżdża... Struchlenie cielesne tak znane, tak znane... A za niem stoi najgorszy ze śmiechów, najbezwstydniejsza z mądrości... Wszystko to razem... Prędko była gotowa i bez jednej myśli w głowie wyszła.

Szczerbic siedział w pustym pokoju wykwintnej cukierni nad kieliszkiem wina i gazetą. Ujrzawszy Ewę, przybladł mocno i nie mógł się zdecydować, żeby usiąść na swem miejscu

— Nie wiedziałam, że pan już jedzie... — rzekła bezmyślnie.

— Tak, pani. Już pojadę. Ojciec mię wzywa.

— Zostanie pan w Warszawie przez zimę.

— Zostanę. Tak, zostanę w Warszawie przez zimę. Zresztą... na wsi.

— Dziwnie się pan pokierował w tym roku: lato w Paryżu, jesień w Warszawie... Któż to widział?

— Rzeczywiście. Może w przyszłości poprawię się.

— Trzeba koniecznie.

Uśmiechnął się blado i z prawdziwie arystokratycznym wdziękiem ukłonił.

— Pani tu zostaje?

— Zostaję.

— Cóż mam uczynić w Warszawie?

— Gdyby to panu nie przyczyniło zbyt wielkiego kłopotu... Ale tylko w tym wypadku! Po pierwsze, — czy ojciec mój zdrów? Czy ma zajęcie? Co robi? Wszystko o ojcu.

— Rozumiem.

— Możeby można jakimś sposobem — i o matce. Ale nie od ojca... Może w ostateczności.... Choć — nie, nie!

— Oczywiście, że nie od Horsta.

— Niech pan za żadną cenę nie mówi Horstowi, gdzie ja jestem i co ze sobą robię. Owszem, gdyby go można jakimś sposobem wyprowadzić w pole...

— Dobrze. Nie będę się z nim widział, ale to zrobię. Obmyślę.

— Najważniejsza rzecz, to żeby mi pan przysłał adres ojcu dokładny, ale biurowy. Chcę do niego pisywać.

— Tak.

— Wszelkie o nim szczegóły byłyby dla mnie poprostu, poprostu...

— Mogę tedy pisać do pani według obecnego adresu?

— Czy może pan pisywać? No... tak. Choć to wszystko... Ach, poco my to mamy wlec, ciągnąć? Może... niech pan wcale nie zajmuje się tem wszystkiem!

Mówiła to już oschle i zimno, w sposób niemal obrażający. Szczerbic siedział bez ruchu, sztywno. Twarz jego była obojętna, oczy bez wyrazu. Cień wściekłości, wzdrygnienie szaleństwa przesunęło się po jego twarzy, ale natychmiast znikło, spędzone aktem woli.

— Więc pani do Warszawy teraz nie pojedzie?

— Ja do Warszawy? Chyba pan żartuje? Cóż ja tam będę?... Zresztą, jakżebym mogła tam jechać... — mówiła, wlepiając oczy w marmur stolika, — toż tam czeka na mnie...

— Kto?

— W miasteczku... — wyszeptała.

— Co takiego? — rzekł Szczerbic.

— Pan przecie wie!

Parsknęła udanym śmiechem. Raptownie umilkła i mówiła jednym tchem:

— Dopóki żyje ów żyd, nie mogę przecież wrócić!

— A on żyje, niestety.

— Pan wie, że żyje?

— Wiem Ale jest ta pociecha, że on będzie milczał, dopóki ja żyję.

Ewa znowu zachichotała niemądrze — i rzekła:

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

— Moja łaska nie jeździ na pstrym koniu.

— Doprawdy? A gdybym też tak zażądała dowodu, że ów żyd nigdy nie przemówi... To jest, że ón się nie dowie, gdzie ja jestem, co ja jestem za jedna?

— Dowodu? Jakiż tu można dać dowód?

— Muszę mieć poręczenie i to, wie pan, na piśmie.

Szczerbic spojrzał na nią uważnie i długo rozważał. Twarz jego drgnęła i bezgraniczna czułość, niezgłębiona litość zasłoniła jego oczy.

— Biedna sieroto! — jęknął z miłością. — Takie to radości zapełniają noce pani?...

— Co takiego? — odpaliła z udaną wyniosłością.

— Ot — nic. Tak sobie. Melancholizuję, smęcę rozmowę. Więc jakże to ma być pisany ów dokument, ów cyrograf?

— Ma być pisany przez pana, ma być stwierdzony honorowem słowem, że nigdy ów żydek nie dowie się, gdzie ja jestem. Że nawet w sądzie, nawet zaprzysiężony nic nie powie.

— A pani sobie tak poprostu sądziła, że on mógłby się dowiedzieć, gdzie pani jest... ode mnie? Dear me!

— Ech, ja tak tylko!...

— Nie, nie! Ja się nie gniewam. Dobrze, napiszę ów cyrograf. Mogę go napisać krwią z pod serca, że nigdy ani ów żydek, ani nikt inny nie dowie się ani jednego wyrazu o tem, że to pani tam była. Chce pani, żeby to teraz napisać? — mówił z uśmiechem.

Gdy to mówił, we drzwiach pokoju ukazał się adorator Ewy, piękny brunet. Stał na progu przez chwilę z oczyma, wlepionemi w rozmawiających. Gdy nareszcie znikł, ona rzekła z pośpiechem:

— Tak, teraz napisać!

— Chyba nie tutaj?

— Dlaczego?

— Jakże to tutaj układać?

— A gdzież?

— Niech pani pójdzie do mnie... — rzekł z prostotą.

Uśmiechnęła się łagodnie. Patrzył na nią spokojnym, wyjaśnionym wzrokiem. Widział za czarną wualką błękitne jej oczy i przecudowną półbarwę lic. Usta różane, włosy pozłocistemi pasmami spływały ze skroni. Była w owej chwili piękna, jak widzenie anielskie. Uczucie radości i rozpaczliwej tęsknoty, uczucie goszczące w duszy, uczucie z lat, kiedy jej jeszcze nie widział, gdy stał przed pewnym obrazem w starej pinakotece, czy w muzeum Brera... Jestże to Mary Ruthwen, żona van Dyck'a, czy widzenie dziewicy Leonarda da Vinci?

— Daje pan słowo?

— Już dałem słowo, że napiszę.

— Nie! Inne słowo.

— Daję... — tchnął przez łzy.

— Dobrze. Pójdę.

Jeszcze raz westchnął z głębi piersi, a raczej chwycił piersiami powietrze. Straszna radość, opanowana wszystką siłą ciała, przemknęła po jej twarzy. Zapłacił natychmiast za kieliszek wina. Wyszli.

Wiatr miotał co chwila sukniami i dużym, w tyle głowy związanym, wualem Ewy. Szła lekko, chyżo,

z niewymownym wdziękiem. Lekkomyślność i wesołość malowały się na jej twarzy. Szczerbic raz jeden podniósł na nią oczy: widział tylko uśmiech... Przyjął go do swego serca, jak płomyk ognia ofiarnego. Sennie, leniwie, mglisto myślał o tem, jak kształt jej postaci jest dziwnie niestały, pastelowo kruchy i zmienny, — jaka w niej jest przewaga przejść sferycznych z jednego organu w drugi, — jak zatracone w niej jest łamanie się jakiejkolwiek linii, jak niema prawie linii... Jest tylko boska całość, nierozdzielność, jedność, niby w ułamku posągu Afrodyty z Knidos, która została z jednem ramieniem i dziewiczemi piersiami, a jest sobą, wiekuistem bóstwem... Usiłował odgadnąć, na czem polega nieuchwytność wdzięku postaci Ewy. Bo piękno jej ciała było wieczne, bytujące poza namiętnościami ludzkiemi. Tłómaczył sobie sposobem szkolarskim, że poruszenia jej ciała odbywają się nie w zakresie jej linii prostych, lecz przedziwnie krzywych, zaokrąglanych w przejściach z jednego kierunku w drugi, z jednej płaszczyzny w drugą. Ruchy jej miały coś wspólnego z muzyką: zmienność i niespodzianą żywotność. Szli z ulic w ulice, skręcali w zaułki, mijali przechodniów, nic do siebie nie mówiąc. Nareszcie wkroczyli w dziedziniec, wylany asfaltem. Na środku był basen wodny, w którym od kropel deszczu marszczyła się ciemna wilgoć. Ewa szła w odrętwieniu. Obejrzała się kilkakroć, czy ich nie ściga brunet z cukierni... Dziwnie przykro uraził ją szelest kroków, gdy mijali dziedziniec. Został w oczach bluszcz, rozpięty na ścianie, i paskudnie śmiejąca się głowa fauna ponad basenem. Szczerbic szedł o pół kroku naprzód. Minęli jakiś korytarz i wstąpili na pierwsze piętro. Na odgłos dzwonka otworzył drzwi lokaj w czarnym fraku, Fran-

cuz, człowiek stary, gruby, z ogromnymi faworytami. Zgięty w pół, pomagał Ewie ściągnąć z ramion syberynowy paltocik. Szczerbic otworzył drzwi i wpuścił ją natychmiast do niewielkiego salonu. Stały tam skromne, czarne meble, pianino, szafka na nuty. Na ścianach były kolorowe miedzioryty angielskie z XVIII-go wieku. Nad kominkiem ogromna, pigmentowa, prześliczna reprodukcya Monny Lizy. Ewa usiadła na kanapce i natychmiast, z pośpiechem, zaczęła przeglądać tekę ze sztychami. Serce w niej dziwnie drżało i zimno nieznośne ścisnęło wnętrzności.

Pomimo tego rozstroju nie mogła nie poddać się urokowi dzieł artyzmu, które miały przed oczyma. Były tam prześliczne, można doprawdy powiedzieć, — boskie, — Surimona, japońskie kolorowe drzeworyty z pozdrowieniami, trzymane w barwach nikłych, a rozmaitych nieskończenie, były podobizny utworów Segantini'ego, Vatenabe, Gauttin'a, niektóre sztychy Goy'i i czupiradła Hogarth'a, dawne staloryty angielskie z Perditą, Musidorą, Georgianą Devonshire Gainsborough, z Nelly O'Brien Reynolds'a... Ewa trafiła na reprodukcyę „Źródła miłości" Segantini'ego i poczuła na widok tego cudu sztuki, że za chwilę zapłacze. Szczerbic siedział po drugiej stronie stolika i pomagał przewracać ryciny. Kiedy niekiedy wskazywał delikatnie na pewne szczegóły, na barwy srebra, wytłoczenia i połyski barw, jak gdyby logarytmy kolorów w drzeworytach Japończyków, tłómaczył, co znaczą napisy u Goy'i, Hogarth'a, Reynolds'a, Tomasza Gainsborough, Beardsley'a. Nie widziała go i nie mogła podnieść oczu. Bała się, że będzie, wskutek depresyi, oddychać szybko i że on to spostrze-

że. Ze wszystkich sił tłumiła rumieniec, który palił się i rwał na twarz z głębi ciała.

— Jakże napiszemy nasz cyrograf? — rzekł wesoło.

— Nie wiem, jak się to pisze... — mruknęła półsmutnie. — Widzi pan, chciałbym jeszcze kiedykolwiek być w Warszawie.

— Chce pani, żebym dał słowo, że nie zająknę się przed nikim o tamtej smutnej chwili? Czy tak? Że nawet w sądzie?

— Ja nie wiem, czego chcieć... Bałam się pana.

— I teraz jeszcze boi się pani?

— I teraz jeszcze.

— Przysięgam na Boga, na ten krzyż, na mego ojca, na pamięć matki, na mój honor, na tę moją prawą rękę, na moje nazwisko, że nigdy pani nie skrzywdzę!

— Już pan raz przysięgał. Ja nie wiem zresztą, poco to robię. To jest z mej strony głupie i podłe!...

— A teraz boi się pani jeszcze?

— Nie. Już o tem nie mówmy!

— Och, tak. O czem innem! Dobrze?

— Dobrze.

— A coby pani sprawiło przyjemność? Mój Boże, gdybym ja wiedział! To jest, właściwie, przecież wiem...

— Pan gra?

— Gram trochę... „sobie nie komu, swe nie cudze rzeczy..."

— Proszę mi zagrać...

— A jak znudzę?

— To też grać bardzo ładnie.

Usiadła głębiej w swem miejscu, zasunęła się w kącik. Szczerbic odwrócił krzesło, znalazł się przy fortepianie i począł grać natychmiast. Spłynęła melodya

przedziwna, przeszywająca, żałosna. Tony te spadły na Ewę niespodziewanie i wraz oplątały ją wszystką niepojętemi pętami. Czuła narzuconą bezsilność, jak gdyby jej związano ręce i nogi. Głos główny, głos żałosny, jak sztylet zamierzał się do ciosu i niby zdradziecka ręka odskakiwał przed uderzeniem. Zamieć tonów porywała na wysokość, pędziła wyżej i wyżej, kędy już niema tchu. Aż wreszcie — szczyt. Niebo rozwarte. Jasne śmieją się chmury. Ulga spływała w powiewach prześlicznej muzyki... Oto chwila, kiedy rozwiązuje się niemy język samotności i język niemych jej pociech, błądzących nad przepaściami. Jeszcze jeden, jeszcze jeden niedostępny gradus do najwyższego ołtarza, skąd ukojenie spada lekko, jak płatek zwiędłej róży po falach cichego wiatru. Ręka ojcowska, kojąca, miękka dłoń na czole. Łzy kapią na włosy nierządne, na oczy bezwstydne, na ramiona całusom męskim wydane, które on wyhodował w czystości. Cichy i mroczny wieczór w opuszczeniu i beznadziei. Lecz jeszcze radosne marzenie o przyszłych dniach drży w sercu. Prosi się serce ostatniem swojem uderzeniem: zabrzmij raz jeszcze, o melodyo miłościwa...

Lecz oto nagły cios! Głos niewiadomy, potężny i obcy wszystkiemu, co jest na świecie wybuch z rozgwaru tonów. Wszystko to, co jest w rosyjskiej duszy, a czego niema w żadnej innej, wszystko, co się zawiera w niewytłómaczalnem i jedynem słowie,—s w i r e p y j,— rzuciło się na duszę. Porwał wszystko i poszarpał wicher szaleństwa. Skurcz boleści wstrzymał serce w biegu. Wychynął z nicości jakowyś potworny dyalog rozpętanych gniewów. Dały się słyszeć wrzaski, pomruki i groźby potworów przeciwko samotnej duszy, trzęsącej się w pustce i pohańbieniu. Oto upadła już jej głowa i bez

sił leży. A i wówczas nie ustaje, lecz wzmaga się rozpacz. Lecą dźwięki! Nie, — to nie dźwięki. To promienie księżyca na ścianach izby w mieście dalekiem, to jęk ponocny, to płacz dzieciątka uduszony... To skarga rozpostartej ziemi, zdeptanej i skarżącej się głębinie, która pochłonie ją, jak innych pochłonęła... Ostatnie niedokończone nuty porwały świadomość i, zdało się, zniszczyły ją zupełnie.

Szczerbic przerwał na chwilę.

— Co pan grał? — zapytała.

— To? Niektóre miejsca z pierwszej części Symfonii patetycznej Czajkowskiego. Ale już dosyć!

— Nie! Jeszcze!

— Co grać?

— Jeszcze to!

— Nie chcę, nie mogę. Zagram pani takiego „Motyla“ Griega. Dobrze?

— „Motyla“ — cha-cha!

— Dlaczego się pani śmieje?

— Tak sobie... Przypomniałam sobie pewnego motyla. Był czas, kiedy byłam motylem. Czy pan uwierzy? Nie, za nic nie chcę słuchać „Motyla“. Tamto panie!

Gdy Szczerbic zaczął grać znowu allegro pierwsze i drugie tejże symfonii, cicho wstała ze swego miejsca. Idąc bez szelestu po dywanie, zbliżyła się do niego. Stała z tyłu, za krzesłem. Uczyniła to niemal bez wiedzy o tem, co robi, wbrew woli, ze wstydem, który jednak nie panował nad samowolnymi ruchami. To muzyka dźwignęła ją, kazała wstać z miejsca i iść ku fortepianowi. W locie błysnęła myśl, że nigdy Łukasz nie sprawił jej takiej rozkoszy, żeby dla niej samej grać, jak gra Szczerbic. Szczerbic zaś gra dla niej jedynej i mówi do niej

przez usta muzyki. Zdyszana, ponsowa od ognia wstydu stała, jak ciche widmo. Gdy przewinął się pewien akord przewodni, grający półodwrócił głowę. Głęboka radość świeciła się w jego oczach, jako samolśniący blask. Posunął po dywanie lekkie krzesło, wpobliżu stojące, i podał je Ewie. Usiadła. Musiała usiąść tak, jak stało krzesło: nieco za nim, a tak blizko, że ramieniem opierała się o poręcz krzesła. Począł znowu grać. Na twarz jego występował i gasł żywy ogień. Ewa zwolna, zwolna zsuwała się i podpadała pod władzę muzyki. Widziało jej się w marzeniu mocnem, jak rzeczywistość, że gdzieś w kraju jest wpobliżu traktu, gościńca, polskiej nasze drogi, zalanej garusem marcowego błota. Spostrzegła w gęstej mgle małą dziewczynkę, drobne dziecko opuszczone. Nogi jej w dziurawych trzewiczynach toną w błocku tak gęstem, że za każdym krokiem naprzód i w tył padają strzały i bryzgi. Sukienka na niej „szkocka“, chusteczka żółtawa na głowie. Wicher dmie. Ze starej, obłamanej, wyschłej topoli lecą liście. Co to za dziecko i czyje? Nawija się na usta, podpowiedziane przez muzykę, słowo najbardziej polskie: — sierota. Widok nędzy i tego smutku, któremu nic się poradzić nie może, sprowadził nieoczekiwany zwrot do gniewu i odepchnięcia, do wyniosłości i pogardy. Melodya powtarzająca się, kierownica marzeń, poczęła mętnieć, posunęła się w mglistość, zostawiając po swem odejściu niezwalczony zaród siły. Wszystko w melodyi tej stało się brakiem normalnego biegu, wszystko stało się bezwzględnem wyładowaniem innerwacyjnych stanów uczucia. Natomiast dała się uczuć ślepa i bezwzględna rozkosz namiętności. Ewa zacisnęła zęby, rozwarła powieki i brnęła w rwący a bezdenny nurt uniesienia.

Przejścia stały się coraz bardziej zrywane, przeistoczyły się w szarpaniny, w przeskoki, gdzie ginęły samoistne stany duszy. Wszystko to poczęło tworzyć tło przerażające, jak gdyby kratę, z za której raz wraz błyskają okrutne, dzikie, podłe i rozwścieczone oczy. Zdawało się, że serce nie zniesie tego nadmiaru napięcia, gdyż wszystko, co ma wybuchnąć, zrywa się w zaraniu, ni to westchnienie dziecięce, które pięść zbójecka dławi w maleńkich piersiach i ucisza na zawsze. Nasunęły się przed oczy Ewy asocyacyjnie jakoweś mętne obrazy i myśli nowe, niewiadome, obce od początku do końca. Widziała w pewnej chwili coś straszliwego, jakby błysk noża, który ma piersi rozedrzeć i wynaleźć serce ludzkie znikczemniałe.

Ach, z jakąż ulgą westchnęła, posłyszawszy w tej otchłani przecudny śpiew... W echu dalekiej pieśni, w tem tchnieniu odległej mocy ludzkiego żywota, jakiż to był wyraz niezgłębionej mądrości! Uśmiechnęła się z rozkoszą. — Połysk w oczach, zalanych łzami, i radość w sercu: wszakże to tylko morze tak wiosenną swoją pieśń śpiewa.

Szczerbic nie mógł grać dłużej. Głowa jego zwróciła się bezwładnie. Ręce przyczołgały się do rąk Ewy. Patrzał w nią rozszalałemi oczyma.

Nie odbierała mu rąk i nie mogła wydrzeć swego wzroku z jego oczu. Pod wpływem niespodzianego natchnienia zaczęła mówić cichaczem:

— Czy są takie grzechy ludzkiego życia, żeby już nigdy nie mogły być zmazane, zatarte, zgładzone? Czy są takie występki, których życie późniejsze już niczem, niczem zasłonić nie zdoła? Czy grzechy są niezniszczal-

ne na wieki, czy one są same w sobie, czy są urojeniami naszej duszy? Czy natura ludzka nie może stać się powtóre czystą, znowu taką, jak przezrocze dyamentu co do mocy i znowu tak żywą, tak śpiewającą, jak wody morza?

— Nie wiem, Ewuniu...

— Wszyscy nic nie wiemy.

— Ewuniu!... Czy mogę tak mówić?

— Możesz.

— A ty będziesz mówić do mnie, jak do brata?

— Dobrze! Ale jacy my ludzie, wszyscy jesteśmy strasznie biedni!...

— Ach jacy biedni! Każdy z nas, — to „mieszanina rośliny i upiora“, jak powiedział ten pyszałek, który sam, — żal się Boże!... Dlaczego byłaś dla mnie zawsze tak okrutna?

— Nie mogłam...

— Wszakże wiesz wszystko, czem ty dla mnie...

— Miewam nieznośne sny, częste widzenia w półdrzemaniu. Jestem tutaj, przypuśćmy, a widzę takie coś obce, nigdy nie spotykane, cudactwa, pejzaże, sceny. Gdyś grał, widziałam... We mnie nie wiele już jest rośliny. Daleko więcej upiora.

— Pocóżeś to ty wówczas zrobiła, pocóżeś ty to?... — wyszeptał.

— Czy ja wiem?...

— Tak mi ciebie strasznie żal!

— A nie można tak, żebyś mię sobie czemś obrzydził, żebyś we mnie dostrzegł coś wstrętnego, odrażającego, żebyś przestał... Nie można?

— Nie. W tobie jest moje wszystko. Wszystkie moje namiętności. W twej duszy jest to, czego ja nie mogę

poznać, a czego nie znam, bo jest tylko w tobie jednej. To jest wiecznie a niezmiennie nowe! We mnie tego niema ani cienia, a ja to jedno lubię, och, lubię do szału! Ty jesteś zupełnie, jak ta muzyka. Jak muzyka jest z zewnątrz, a jest moja własna, tak samo ty. Czy wiesz, że ja do samego siebie mam odrazę, nawet do swej miłości dla ciebie mam odrazę, a kocham twoją miłość dla Łukasza... Gdybyś mogła uwierzyć, jak kocham twoje kaprysy! Bo wtedy najbardziej, za tobą, już mi znaną, jest jakaś inna, znowu inna! Ja już nie żyję mojem własnem życiem, tylko żyję tem, co jest w twojem usposobieniu, w twojej wesołości, w twoim smutku, w twoich niespodziewanych zadumach. Wiem prawie zawsze, co ty czujesz. Ale tylko wówczas, kiedy uczucie już przyszło! Ale skąd przyszło? Przeczuwam, co zrobisz, i to w chwili najdziwaczniejszego kaprysu, dlaczego taki a taki kaprys porzucisz? Pragnę mieć w swej duszy wszystko, co jest w twej duszy, a wiecznie mam w duszy próżnię. Dlatego to, — poszepnął w uniesieniu, z uśmiechem, — ja strasznie kocham twoją zbrodnię. Gdy cię nie widzę, jakoś potwornie cieszę się i czatuję. Często postanawiam wyrwać cię ze siebie, zadać sobie h a r a k i r i ducha. Ale wówczas poczynasz, nie wiedząc o tem, nęcić mię, wabić mię... o, jak ta c a n t i l e n a...

Wydobył z klawiatury ów głos główny, przewodni, ów promień wodzący marzeń... W pewnej chwili cisnął go w pustkę klawiszów i znowu mówił:

— Uciec przed tobą, to znaczyłoby uciec przed sobą. Więc jakże cię mam znienawidzić?...

— Znienawidziłbyś mię, gdybym tu została na noc

— A ty nie kochasz, nie?

— Już mówiłam.

— I nigdy!

— Straszna jest władza grzechu. Dyabeł mię opatrzył błogosławieństwem, utulił, uciszył, tchnął we mnie ducha. Nigdy nie popełniaj takiego grzechu! Idę wśród świata pod cieniem szkarłatnych skrzydeł jego siły. Była taka jedna chwila w kościele, kiedy mię ten demon zgwałcił. Od wszystkiego uciekłam i ode mnie wszystko uciekło. Czuję się, jak samotny tułacz. Co tobie po mnie i co mnie po tobie? Chciałbyś odziedziczyć ten spadek po innym? Ty — po innym!

Szczerbic mówił w zadumie:

— Dlaczegóż nie zobaczyłem cię, gdy byłaś panną. Ach, gdybym cię zobaczył wówczas.

— Ty chciałbyś,—zachichotała z okrucieństwem,— ty... pierwszy chciałbyś mię posiadać, nieprawdaż?

Nagle zaskowyczał w obłąkaniu.

— Jeszcze go kochasz?

— Nie mów do mnie... — odrzekła, usuwając ręce i zakrywając niemi twarz.

— Niepodobna przepołowić duszy i niepodobna przepołowić ciała. Wy to jednak potraficie. Potraficie oddawać się jednemu, a innego kochać. Och, Boże!

Nie spostrzegła, kiedy obok niej ukląkł. Nie broniła mu, kiedy odjął jej ręce z twarzy i otoczył sobie niemi szyję. Skłoniła głowę i o jego skroń oparła czoło. Patrzyła mu w oczy cichemi oczyma. Głęboka ich objęła zaduma. Minęły długie chwile. Zaczęła mówić cicho i z duszy:

— A mógłbyś dla mnie być bratem? Mógłbyś? Byłbyś dla mnie braciszek Siżyś... Mówiłabym ci wszystko.

może tak samo, jakem niegdyś mówiła Łukaszowi. Tylko... żebyś... tego nie chciał...

— Ale usta, raz jeden usta! Twoje usteczka maleńkie, twoje usteczka różane!

— Nie mogę.

Niepostrzeżenie, szybko, nim się spostrzegł, sposobem podstępnym ujęła jego rękę i przycisnęła ją do ust z szeptem:

— Niech pan będzie dobry!

— Jemu oddałabyś się natychmiast, gdyby się tylko zjawił... Prawda?

— Tak.

— I jego kochasz, tak oto opierając czoło o moje czoło?

— Tak. Ale chciałabym ci powiedzieć o śmierci. Cobyś myślał? Mnie się wydaje, że bywają wypadki, kiedy śmierć nie jest oparta na błędzie myślowym. Wydaje mi się, że może być konsekwentnym i moralnie słusznym czynem. Może nawet być kwintensencyą etyki!...

— Śmierć, — to znaczy, — samobójstwo?

— Mniejsza o to! Codzienna moralność wyklucza taką śmierć z zakresu postępowania etycznego. I, o ile ją sądzi, jako przeciętny wypadek, to ma nawet racyę. Ale z drugiej strony, ze strony moralności „przeciętnego indywiduum..." Jeżeli ktoś wie, że zdradził wszystkie swe siły duszy, jeżeli wie, że zabrnął w cuchnące szuwary, a jest choć odrobinę, — do licha! — moralnym szlachcicem... Przecie jest w człowieku coś własnego, jak gdyby stary ryngraf rodzinny, co czasem zostanie najostatniejszy z bankrutami...

— Jeżeli taki człowiek umrze... Mój miły i dobry panie!.. Jeżeli taki człowiek umrze... Niemasz dla ko-

biet na świecie przebaczenia. Grzech woła. Wszystko się plącze, owija się wokoło ciała, jak nieskończenie długie badyle błotnych grzybieniów. Na wierzchu nenufar uroczy...

— A czy nie zdarzyło ci się czytać żywota Maryi Egipcyanki, pisanego przez biskupa Sofroniusza? Ja chowałem się w gimnazyum jezuickiem, więc takich rzeczy wchłonąłem bardzo wiele. Jest w tej cudownej baśni miejsce, gdzie święty starzec Zosimas czeka w dniu Zmartwychwstania nad brzegami Jordanu, by udzielić Maryi, która dziko żyje w puszczy, świętej komunii. Włożył w koszyk kilka fig suchych i palmowego owocu, nieco soczewicy w wodzie moczonej. Święta wychodzi z puszczy i po drugiej stronie rzeki stoi w jasności księżyca...

— A czy ty jesteś... Zosimas? Marya Egipcyanka zgładziła grzech swój, przez czterdzieści lat nago i w dzikości leżąc na pustyni, w upale i na mrozie, w płaczu i rozpaczy. A teraz wszystko jest tak podłe! Ja byłam czysta. A teraz jestem brudna, nikczemna, łotrzyca, szelma, obwalona dookoła grzechami. I nigdy już tamto nie wróci! Nie mogę już być czysta, bo nie mogę wybrnąć, nie mogę dać sobie rady! Powiedz, co ja mam zrobić?

— A gdybyś... postanowiła nigdy nie wychodzić zamąż i nigdy, nigdy... Nigdy nie być niczyją! Czy mogłabyś zrobić to dla mnie, żeby nie być... ani jego, gdyby do ciebie wrócił?

I cóżby ci z tego przyszło? — (W myśli poprzysięgła sobie: — Dobrze... Jak najszybciej, jak najszybciej wyjść z Jaśniacha!)

— Ja żyłbym tak samo. Bylibyśmy tak, zdala od siebie, jak ów Zosimas i Egipcyanka. Dopóki...

— Dopóki co?

— Aż może przyszłaby miłość...

— To tylko podstęp z twej strony... — rzekła, uśmiechając się blado. — Mówisz, że mnie już kochasz od dawna cieleśnie. Chcesz czekać na chwilę, gdy zapomnę Łukasza — i tobie oddam się cieleśnie. Nic więcej w tem niema. Zresztą ja... gdyby wrócił i kazał, musiałabym być posłuszną, bo ja...

Nachyliła się ku niemu i z zamkniętemi oczami, sponsowiała niespodziewanie, dała świadectwo prawdzie:

— Bo ja go kocham.

Po chwili dodała ze spokojem:

— Ale on już nie wróci i nic mi nie rozkaże. Więc co? Mogę być twoją ślubną siostrą.

— Ale przysięgnij!

— Nie będę już nikomu przysięgała. Wszystko, coby mię z tobą łączyło, byłoby jednostronne. Tylko tak: moja dobra wola i moja zła wola. Chcesz?

— Tak nie mógłbym ci wierzyć. A myśl, że ty możesz być z innym, odbiera mi rozum!

Ewie przyszła do głowy szatańska myśl, żeby mu powiedzieć, jak to w Montreux spędziła pół dnia w łóżku z człowiekiem prawie zupełnie nieznajomym. Mały uśmieszek chybotał się na jej ustach. Ale odrzuciła tę myśl, jako niepraktyczną. Drapieżne marzenie, że teraz będzie posiadała zupełną władzę nad Szczerbicem, jak zapach narcyzowy snuło się wokół jej zmysłów. Szepnęła z cichą pasyą:

— A ty przysięgniesz, że nie zbliżysz się do żadnej kobiety, ale do żadnej — nigdy?

— Przysięgnę!

— Że wszystkie twe namiętne myśli, wszystkie sny, wszystkie zmysłowe obrazy będą należały do mnie?

— Przysięgnę!

— A na co przysięgniesz?

— Na co każesz!

— Jak poprzednio: na Boga, na krzyż, na honor, na nazwisko?

Uśmiechnął się. Chciał coś wyrzec i nagle umilkł na długą chwilę. Usta poruszyły się i nie mogły wydać słowa.

— Co? — szepnęła łaskawie.

— Nic... Pewne cudne słowo, pewne złudzenie...

— Jakie?

— Dans le veritable amour c'est l'âme, qui enveloppe le corps. Mówi ten Nietzsche, że jest to najbardziej wstydliwe słowo. Może ono ogarnie nas i ciebie odkupi!

Nagle wstał z klęczek i w obłąkaniu krzyknął:

— Ewo! A gdzie ty byłaś, dokąd pojechałaś z Nicei?

Parsknęła opryskliwie:

— Byłam na Korsyce.

— Z kim?

— Z poetą Jaśniachem.

— Czy byłaś jego kochanką?

— Nie.

— Czy mówisz prawdę?

— Mówię, co mi się podoba.

— A powiedz to jedno, wyznaj przed moją duszą, czy całowałaś jego usta, czy jego usta? — żebrał, wpijając się w nią oczami.

— Nie całowałam go w usta.

— Wspomniałaś mi niegdyś, że mogę starać się

o twoją rękę. Ja dowiedziałem się o twojej wyprawie. Portyer z hotelu Suisse powiedział mi, dokąd pojechałaś. Byłem tam. Mieszkałaś z tym człowiekiem.

— Mieszkałam obok niego. Pokoje nasze były obok...

Oczy jej zaszły mgłą. Usta jakoś przedziwnie drgnęły. W tem drgnieniu ust, miłość Szczerbica zawisła, jak w pętlicy, i konała. Ewa mówiła, patrząc w próżnię z pogardą:

— Ta wasza rozpusta! Wszystkobyście zrobili dla tej rozpusty! Dla tej krótkiej, potwornej chwili zabilibyście przenajświętszą czystość miłości! Ohydni rozpustnicy! Tylko Jaśniach...

— Dlaczegoś wówczas uciekła? Pocoś to zrobiła?

— Nie zrobiłam wówczas nic złego. Zaręczam panu hrabiemu. Gdybym wówczas została w Nicei, byłabym zrobiła daleko gorzej. Ach, puść mię już! Pójdę do domu.

Szczerbic oparł głowę na jej rękach. Czuła, jak drżenie tajemne po nim przebiega. To drżenie przejmowało ją wstrętem, ale zarazem budziło w niej samej dreszcz namiętny. Myślała z politowaniem, jaki on jest słaby. Czuła, że nic na ziemi nie będzie w stanie uciszyć w nim tego wstrząśnienia, tylko to jedno, gdyby mu się oddała. Patrzyła w zamyśleniu na jego śliczne włosy. Wola jej wahała się na prawo i na lewo. To chciało jej się odepchnąć tę głowę bezsilną, wstać i wyjść. To znowu podpływał impuls nieokreślony, żeby pieszczotliwie zapuściła palce w pachnące włosy. Dała się unieść ostatniemu. Szepnęła cicho:

— Siżyś...

Uśmiechnął się.

— Już pójdę.

— Wrócisz do swego domu?

— Tak.

— Cóż tam będziesz robiła?

— Tak sobie, jak zawsze. Będę rozkładała i składała smuteczki swego życia.

— To lepiej zostań u mnie jeszcze z godzinę. Będę ci grał Griega... Chcesz... „Wiosnę?“

— Nie. Już nie chcę muzyki. Twoja muzyka otwarłaby drzwi do tamtego pokoju. Ty tam śpisz, prawda? Bądź szlachcicem!

Namyślała się przez chwilę głęboko, wkońcu rzekła:

— Powiedz... przebaczasz mi wszystko?

— Wszystko!

— I ja tobie. Już pójdę.

Wstała. Podawszy mu prędko rękę, wysunęła się za portyerę. Poszedł za nią. Narzucił na ramiona palto i sprowadził ją za rękę ze schodów. Na ulicy przywołał fiakra i pomógł wsiąść do powozu. W ostatniej chwili, kiedy podawała mu dłoń na pożegnanie, zapytał:

— Czy bardzo znudziłaś się u mnie?

— O nie!

— A czy przyjdziesz jeszcze?

— Przyjdę, przyjdę z pewnością.

— Kiedy przyjdziesz, siostro?

— Choćby jutro.

— O tej samej godzinie?

— O tej samej.

Wsunął się na sekundę do powozu i szukał w ciemności jej ust z cichym, głuchym szlochem. Odchyliła go dobrotliwie a silnie. Ścisnęła mu rękę. Gdy zeskoczył i gdy karetka się potoczyła, przez mgnienie oka doznawała jakby przetrącenia i paraliżu duszy. Miała

widzenie żywe o tem, co musi być w chwili śmierci. Ujrzała w ciemnościach duszy swej uśmiech Łukasza, uśmiech ówczesny, gdy coś jej żywo mówił, o czemś przekonywał, a przekonawszy, zbliżał się na palcach i zamykał usta pocałunkiem. W jednem teraz olśnieniu uczuła wszystko szczęście miłości i niezgłębioną otchłań jego utraty. Jęknęła. Za chwilę wszystko minęło. Fala olbrzymia nakryła sobą i wypełniła przepaść. Został tylko dziwny szum w uszach, zemdlenie serca i szczękanie zębów.

Pociąg kuryerski gnał w stronę Wiednia. Była późna, jesienna, wietrzna i dżysta noc. Między Salzburgiem i Wiedniem kuryer ten miał się zatrzymać tylko kilka razy. Podróżnych było bardzo niewielu, to też Ewa zgłaskała dostępniejsze od bawarskiego serce austryackie zapomocą małej korony i sama była w przedziale. Rzeczy wysłane zostały do Wiednia już dawniej. Ze sobą miała tylko małą, ręczną walizkę.

Jechała teraz do Wiednia, (a właściwie do Kaltenleutgeben), żeby odnaleźć Jaśniacha, który w tym zakładzie, według zebranych informacyi, przebywał, — i doprowadzić do skutku swoje względem niego zamiary. Gdy Szczerbic opuścił Paryż, Ewa mieszkała tam jeszcze blizko dwa miesiące. Czasami odbierała listy z Warszawy od tego „ślubnego brata". Zarówno wówczas, gdy był w Paryżu i gdy u niego często, nieraz do późnej nocy bywała, jak i w tych listach łączyła ich czysta i górna ekstaza, w której napozór nie było nic zmysłowego. Nie była kochanka Szczerbica. Nigdy nie ucałował jej ust.

Parę razy tylko miał szczęście dotknąć ustami jej ręki. W listach nie prosił nawet o widzenie się, o przyjazd do Warszawy, o spotkanie na ziemi. Lubiła jego listy i tęskniła za nimi. Częstokroć tęskniła za nim samym. Szczególniej za muzyką... Gdyby ją sprawiedliwy sąd badał o to, czy kocha Szczerbica, nie mogłaby potwierdzić, ale nie mogłaby i zaprzeczyć stanowczo.

Teraz dążyła, żeby zostać żoną Jaśniacha i być wierną ślubowi czystości, zawartemu ze Szczerbicem. Postanowiła przemienić się w miłosierdzie i w pracę bez granic...

Znużona nieprzerwaną jazdą z Paryża, spała na skórzanej kanapce. Zasypiając, pamiętała o tem, że ma na sobie w zamszowej torebce, ukryte na piersiach, dwadzieścia kilka tysięcy franków, więc kładła się do snu w taki sposób, żeby leżeć na piersiach. Pociąg, lecący nadzwyczajnie szybko, kołysał ją do snu. Spała twardo. Ujrzała w zwidzeniu olbrzymie komnaty, grubo pomalowane wapnem, izby bez podłogi olbrzymiej wysokości, wysypane grubo żółtym, suchym piaskiem. Ściany były nagie, jednolite, białe bez końca i chropawe od suchego wapna. Szła z trudem po stopniach zasypanych piaskiem i oto dowlokła się wreszcie do drzwi tak olbrzymich i wysokich, jak ściany. Ujęła dłonią okrągłą gałkę, która miała służyć za klamkę, i z przerażeniem spostrzegła, że zarówno te drzwi, jak klamka były wapnem powleczone Uchyliła drzwi i ujrzała z odrazą serca pustą izbę, ale pustą w sposób niewypowiedziany. Doznała uczucia śmiertelnej boleści, która tylko we śnie nawiedza ludzi. W tej pustce izby było uzmysłowienie nicości, która jest treścią śmierci. Zimno przeszyło ją do szpiku. Co mogło być w tej izbie? Czemu tak straszną jest jej pustka?

Czemu ta pustka tak okropną się wydaje? Siła odrazy i przerażenia nie dała spoić się wrażeniu w jakąkolwiek odpowiedź. Ewa coprędzej przymknęła drzwi i poszła w innym kierunku. Trafiła na inne drzwi niemniej wysokie, weszła do sieni i poczęła wlec się po schodach, wyżłobionych w piasku, po schodach niezmiernie stromych wysokich, jak drabina. Znowu ogarnął ją popłoch, zawrót głowy i mdłość. Poczęła wołać o ratunek, krzyczeć przez sen długo i przeraźliwie.

Gdy się o tyle o ile zaczęła budzić, strach się zwolna — zwolna zmniejszał, ale niepokój był w stopniu bardzo znacznym. Oczy miała zamknięte, choć już nabierała świadomości, że owe straszne izby i schody, — to sen...

Ulga nareszcie odświeżyła jej serce. Oczy odemknęły się nieco. Leżała tak samo, jak się była układła piersiami na poduszce. Półuchylonemi oczyma z radością patrzyła na szlak ceraty chodnika, którą wybita była podłoga przedziału, i powtarzała wciąż w duszy że, dzięki Bogu, to sen. Nagle spostrzegła nogi... lakierki...

— Jakiś jegomość tu siedzi... — pomyślała, nie mogąc jeszcze podnieść się i otrząść z męki sennej. — Wszedł drab, kiedym spała... Podły konduktor go wpuścił... I jak tu teraz wstać? Pewno mam nogi odkryte do kolan, bo zimno.

Wspomniała, jakie też ma na nogach pończochy i czy jedwabna jest podszewka u sukni, którą miała na sobie. Podniosła niepostrzeżenie oczy i z pod rzęs usiłowała spojrzeć na nowego pasażera. Ale, zobaczywszy jego twarz, zdrętwiała na nowo owem sennem zdrętwieniem, które ją dopiero co, przed chwilą opuszczać zaczęło. Na-

przeciwko, w kącie drugiej ławki przedziału, siedział młody brunet, który ją ścigał wszędzie w Paryżu i nad morzem.

Czytał książkę i zdawał się najmniejszej na Ewę nie zwracać uwagi.

Ona przymknęła oczy i z całej siły powstrzymywała bicie serca. Sen i widok tego człowieka na jawie złączył się teraz w jedną elipsę zdumienia. Coraz silniejsze bicie serca zmusiło ją do nagłego powzięcia zamiaru, że za żadną cenę nie zostanie z tym jegomościem w jednem coupé. Postanowiła wysiąść na pierwszej stacyi, gdzie się pociąg zatrzyma i skoro się tylko zatrzyma. Drżały w niej wnętrzności i serce, gdy miała się ruszyć a czuła, że już musi, musi podnieść ręce. Szybkim gestem ogarnęła nogi suknią i usiadła na swem miejscu ze skutecznem usiłowaniem nie zwracania najlżejszej uwagi na towarzysza. On również na jej ruchy nie patrzał. Czytał jakiś romans francuski, rozcinając karty długim sztyletem korsykańskim.

Ewa dojrzała ów nóż. Znała te „koziory" i lubiła się nimi bawić w Ajaccio. Wiedziała, że jest tam z boku napis: M o r t e a l n e m i c o, a z drugiej strony: V e n d e t t a C o r s a. Wszystko w tej chwili działo się z nią w sposób jak gdyby przewidziany oddawna, wyroczny i niezmiennie logiczny. Każde przelatujące, przemykające się chyłkiem uczucie, wrażenie i przywrażenie było poniekąd dawno gdzieś zapisane, jako prawny paragraf. Impuls odwagi... Spojrzała wprost w twarz tego człowieka z wyzwaniem i pogróżką. On ani myślał na nią patrzeć! Czytał spokojnie swą książkę i widać było na twarzy, że żywo zajęty jest treścią. Ewa doznała zawo-

du... W tej samej chwili od jednego razu i w całej pełni przypomniała sobie, gdzie widziała tego draba. Stanęła jej w oczach nędzna cukierenka z podłogą, grubo wysypaną mokrym piaskiem, bilard w ciemnej izbie, usługująca dziewczyna — i figury dwu dandysów. Toż to ci sami! Oto jest ten, który ją wówczas zaczepił. Jakże go mogła zapomnieć. Skąd on się wziął w Paryżu? Czemu ją śledził i co tu robi? Czy to jest lowelas, czy też jaki szpicel... Lecz i nie lowelas... Cóż więc za jeden? Co on zamierza z nią zrobić? Bo on z nią zamierza coś zrobić, on ją ściga!

Dreszcz przeleciał, dreszcz innego jakiegoś porządku, jeszcze nigdy w życiu nie doświadczany. Zmierzyła okiem odległość między sobą i walizką, która leżała przykładnie na górnej półce, — właśnie nad głową bruneta zatopionego w lekturze. Rozważała wszystko zapomocą kombinacyi szybkich, jak błyskawice, w jaki sposób wysiąść z wagonu tak, żeby tego nie spostrzegł. Jak wysiąść? Nie mogła zostawić walizki, gdyż tam miała paszport, papiery, listy Łukasza i Szczerbica, notesy, rachunki, zresztą niezbędne sprzęty podróżne. Czekała n chwilę szczęśliwą, siedząc bez ruchu, z przymkniętemi powiekami, ale nie spuszczając z oka lowelasa ani na chwilę. Obserwowała jego figurę, ubranie, sposób bycia Był w istocie bardzo zgrabny i przystojny, widocznie silny. Miał na sobie nowiuteńki r i d i n g c o a t z atłasową podszewką najmodniejszego kroju, świeżą i wykwintną bieliznę, ładnie i modnie zawiązany krawat. Syberynowe palto wisiało obok. Na białej karcie książki i na jasno-żółtej okładce Plona wyraźnie odrzynały się duże ręce w ciemno-brunatnych rękawiczkach...

Ewa zrozumiała sobie teraz te ręce. Jakże je mogła zapomnieć?...

— Zrozumiałeś to nareszcie, — miotała weń myślami, — że trzeba na te racice włożyć rękawiczki, że je trzeba zakryć, ty, felczerze z miasteczka, aktorze prowincyonalny, pomocniku pisarza gminnego, któremu laury okolicznych endeków ze dworów spać nie dawały, — ty, piszczyku od szwindlarza bankiera, subjekcie z drogeryi, laborancie z apteki, ależ nie! ty kelnerze, kelnerze z knajpy, otwartej do czwartej rano!

Nagła myśl, myśl nowa i zupełna ogrzała jej głowę, omotaną lodowatymi dreszczami. Dosłyszała kroki konduktora. Przywołała go. Senny Schafner ze swą latarką w ręku wsunął głowę do przedziału. Widać było, że się wstydzi, ale widać było również, że został opłacony przez tamtego... Ewa łamaną niemczyzną, z wtrąceniem mnóstwa wyrazów francuskich, pytała go, czy niema w pociągu przedziału dla dam. Konduktor tłómaczył jej, że owszem, jest taki przedział, ale już zajęty przez trzy panie, które śpią...

— To trudno, — rzekła, ale ja muszę przejść do przedziału dla dam! Pan mię przeprowadzi, panie konduktorze.

Brunet, czytający książkę, ocknął się ze swego zajęcia lekturą i, jak się zdawało, z trudem i niechęcią słuchał, o co rzecz idzie. Rzekł do Ewy po polsku:

— Jeżeli to ja przeszkadzam pani w tem coupé, to je natychmiast opuszczę. Wszedłem tu, gdyż nigdzie nie znalazłem miejsca.

Nie odpowiedziała ani słowa, jakby obok niej nie było nikogo, jakby nie słyszała wcale, że w tem miejscu ktokolwiek mówił. Pośpiesznie zebrała swe rzeczy, wa-

lizę, futerko, kapelusz i wysunęła się z przedziału, starannie zamykając drzwi za sobą. W korytarzu włożyła futro, naciągnęła rękawiczki i, gdy konduktor uchylił drzwi ciemnego przedziału, w którego zaduchu chrapały jakieś wiedźmy, wślizgnęła się tam. Przez pozostawioną szparę we drzwiach obserwowała korytarz. Korytarz był zupełnie pusty. Młodzieniec nie wyszedł za nią z przedziału. Widziała płomyk świecy, chwiejącej się od ruchów pociągu, słyszała turkot i zawodzący jęk wagonów. Postanowienie jej było nieodwołalne. Chciała jednak, żeby konduktor nie dostrzegł, kiedy wysiądzie Nerwy drżały w całem ciele. Jakieś powiewy uczuć... Walizeczkę miała przy nogach. Wszystko gotowe. Pociąg leciał, wzdychając, leciał, leciał... Nareszcie długi i przeszywający świst rozdzielił ciszę jakby na dwie połowy. Gdy pociąg zwalniał biegu i stawał, Ewa wychyliła się z przedziału i znowu zbadała korytarz. Nie było nikogo. Przemknęła się, jak upiór, na palcach, ku drzwiom w drugim końcu korytarza w stosunku do tamtego przedziału, zsunęła się ze schodków i chyżo pomknęła w noc i wicher. Nim pędem dobiegła do stacyi słabo oświetlonej, już jej pociąg gwizdnął i odszedł. Nie wiedziała, gdzie jest, jak się nazywa to miejsce. Czuła niewymowną radość, że odtrąciła tego człowieka. Jeszcze łamało jej duszę senne widzenie i w ocknieniu widok tamtego. Stacya na której się znalazła, była prawie pusta. W bufecie świeciło się i kilka ciemnych figur żłopało tam piwo W salce klasy drugiej zastąpił jej drogę portyer jakiegoś hotelu, proponując swoje usługi i karetkę. Nie pytając jak się ów hotel nazywa, poszła za portyerem, który jej formalnie wyrwał z rąk walizkę. Za chwilę jechał

w ciasnej landarze o dzwoniących szybach, śmiejąc się do rozpuku ze swej przygody, a raczej przygody „tamtego“. W głębi karety, na wprost drzwiczek wejściowych, było wprawione lustro. Ewa zobaczyła w niem swą potwornie powykręcaną twarz — i znowu roześmiała się z całego serca. Była znużona i bardzo rada, że za cenę straty części biletu wyśpi się przynajmniej i wypocznie doskonale. Wszystko w niej teraz uspokoiło się. Ręce bolały, nogi ciężyły, jak po fizycznem strudzeniu.

Karetka kręciła się po rozmaitych zaułkach, turkotała po brukach uśpionego miasta, aż nareszcie stanęła. Portyer z tryumfem wydostał Ewę z wehikułu i z wielkiem dzwonieniem intromitował ją do sieni hotelu. Nie śmiała jakoś zapytać, jak się nazywa miasto, w którem jej nocować wypadło. Szła posłusznie za ładniutką Stuben-Maedchen, która ją prowadziła na piętro po schodach, wysłanych grubym dywanem.

Hotelik był mały, ale czysty, cichy i bardzo, widać, solidny. Za chwilę Ewa znalazła się w dużym pokoju z aksamitnymi meblami starego fasonu, obwieszonymi wyrobami szydełkowej roboty. W głębi stało łóżko żelazne z mosiężnemi gałkami. Zapłonęła elektryczność, zasyczał piecyk kaloryferu. Pokojówka starannie i długo przyrządzała pierzyny, wygrzewała kołdry i poduszki. Załatwiła wreszcie wszystkie swe sakramentalne, niemieckie czynności i, złożywszy życzenie dobrej nocy, odeszła.

Ewa siedziała przez czas pewien, patrząc bezmyślnie w żar lampki elektrycznej. Bawiła ją ta przygoda i radowała nadzieja snu. W hotelu i za jego murami panowała zupełna cisza. Jeszcze przez chwilę słychać było

gwar przyciszony, stąpanie kroków po dywanie korytarza — i znowu wszystko ucichło. Tylko monotonny szept w kaloryferowych rurach...

Poczęła rozbierać się pośpiesznie. Przygotowała sobie świecę, zapałki — i co tchu zrzucała suknie. Była już tylko w bieliźnie, tyłem do drzwi zwrócona, kiedy posłyszała, jakby szelest otwartych drzwi. Sądziła, że to pokojowa wchodzi po coś jeszcze, ale, wstydząc się swego negliżu, nie chciała odwracać głowy, dopóki tamta nie spełni czynności i nie wyjdzie. Nie słysząc jednak jej kroków, rzuciła okiem w stronę drzwi i skamieniała na miejscu. Brunet z przedziału kolejowego stał obok niej. Stał o krok, jak widmo. Zanim zdołała pomyśleć, otworzyć usta, potężnym ruchem ramienia wymierzył w jej odkryte piersi cios olbrzymiego noża.

— Ani słowa! — wyszeptał.

Została tak z otwartemi ustami i rozwartemi oczyma. Patrzyła w niego, we wszechmocne, straszliwe jego oczy. Dech zamarł w piersiach. Nogi się zgięły. Wicher potężny zapchał płuca i nie dał odetchnąć. Nie zdziwiła się też, gdy ją chwycił za gardło, rzucił na łóżko, przywalił sobą i spytał:

— Gdzie masz pieniądze?

Wskazała oczyma na piersi. Zerwał zamszową tasiemkę, szarpiąc ją kilkakroć, jakby chciał urwać razem z głową ofiary, i cały worek z pieniędzmi schował do bocznej kieszeni swego surduta.

— To wszystko? — spytał.

— Wszystko.

— Jeżeli wydasz parę z gęby, jeżeli piśniesz, zabiję na miejscu!

Wycharczała:

— Zabij, zbóju...

— Będziesz krzyczała?

— Będę.

Wtedy znowu zdusił jej gardło straszliwą swoją dłonią.

— Będziesz krzyczała?

Skinęła powiekami. Dwa pazury podsunął pod dolne szczęki. Ciemność osaczyła źrenice.

— Nie będę... — jęknęła.

— No to leż spokojnie i czekaj.

Lewą ręką, nie zdejmując strasznej prawicy z gardła Ewy, począł rozbierać się w sposób niesłychanie pośpieszny i wprawny. Zrzucił w mgnieniu oka palto, żakiet i kamizelkę...

— Chcesz dobrowolnie? Czy mam siłą?

Zwinęła się, jak żmija, wyprężyła w kabłąk, wyrwała mu z rąk i dopadła zębami jego ręki. Ale zanim zdążyła powtóre chwycić dech w piersi i poprawić ukąszenie, wydać krzyk, już ją ponownie powalił i zdusił. Wpół stojąc, wpół klęcząc nad nią, wciąż rozbierał się szybko. Czyniąc to, zaczął sapać i bełkotać głosem, szalejącym z namiętności, podśpiewywać w obłąkaniu i zachwycie:

— Choćbyś się nie wiem jak opierała, to musisz, ptaszeczku, musisz! Musisz! Och, musisz!.. Czekam ci ja dawno na ciebie... Czekam ci ja latami... Ani tu w Europie, ani tam w Ameryce, ani tam na morzu, ani nigdzie przenigdzie nie mogłem cię zapomnieć... Będziemy się, dziecko, kochali ze sobą... Już ode mnie, — skomlał żałośliwie, — ptaszeczku, nie ucieczesz, już mi się nie wyślizgniesz, jużeś ty, cudo, moje...

Dławiąc się, ostatnim tchem wykrztusiła:

— Puść!

— Dasz się?

— Puść!

Rozgiął nieco i rozwarł palce.

— Ktoś ty jest? — łkała.

— Na cóż ci to wiedzieć, kto ja... Jestem twój pan i basta. Słyszysz? Tak będziesz mówiła jutro rano w hotelu i wszędzie w drodze, że jestem twój mąż. Słyszysz?

— Słyszę.

— Razem pojedziemy?

— Razem.

— No, widzisz. Popatrz że się na mnie! Brakuje mi to czego? Czegóż ty się, dziecko, tak męczysz? Pobawimy się tutaj, a jutro we świat! Ile masz pieniędzy?

— Dwadzieścia dwa tysiące franków... — stękała w obłąkaniu.

— No, i to dobre. A kwit na rzeczy, coś je wysłała do Wiednia, gdzież jest, w tym saczku?

— Tak.

— No, to i dobrze.

Schwyciwszy chwilę właściwą, kiedy na mgnienie oka odjął z jej gardzieli ręce, skoczyła piorunowym ruchem w bok, wydarła się i do drzwi z krzykiem...

W tej samej chwili porwał ją, zwinął w swych stalowych dłoniach, zdławił i bezsilną położył na łóżku.

Straciła przytomność. Gdy się ocknęła, była już pod nim, we władzy jego potężnych, dzikich, rozkosznych uścisków.

Obudziła się z namiętnego omdlenia, z półsnu. Dźwignęła się, wsparła na łokciu? Oczy miała zawleczone szarą mgłą.

Nie mogła nic dojrzeć, nic spamiętać. Myślało jej się, że to już nastała śmierć. Więc to jest owa tajemnicza śmierć, „tajemnicze misteryum śmierci..." Ktoś do niej mówił tak dawniej... A teraz już była śmierć. Stała się śmierć — i jest cisza. Wątły brzask wsącza się do numeru przez zapuszczoną storę. Na owalu lampki elektrycznej połyskuje światełko.

Patrzyła na nie w zamyśleniu o czemś dalekiem, dawnem, pełnem uroku. Gdzież podziało się życie? Kto ona jest? Gdzie jest?

Nie mogła tego dociec. Miała na sobie lekki sen, jakby sen ptaka, który, śpiąc, wydaje okrzyki, porusza głową, a nawet, jak słowik, nuci półgłosem. Lekkiemi poruszeniami, pochyleniami, zakrętami poczęło jednak kształtować się przemyślenie nocnego przeżycia. Nareszcie drgnęła w głowie percepcya.

To nie jest śmierć. Jest to poranek w hotelu...

Poczęła miarkować sny i przedstawienia. Ujrzała tego człowieka. Uderzyło ją to, że on śpi, czuwając. Patrzyła na to, jak śpi, czuła jednak, że nawet we śnie wie o wszystkiem, wie nawet o tem, co ona w tej chwili myśli, co zamierza czynić, co knuje. Śpi także, jak ptak dziki...

— Musi wiedzieć wszystko, gdyż inaczej zginąłby natychmiast... — myślało jej się sennie. — Ludzie schwyciliby go natychmiast, zgładziliby go jak wściekłego psa... To też on w każdej chwili swego życia musi na nich czatować, podchodzić ich, gdy się nie spodziewają...

Zdjęła ją jakaś szczególna trwoga wobec jego potęż-

nej męki wiecznego czuwania. Rozkosz cielesna, rozjątrzona przez niego, jeszcze żyła w sennem ciele. Skądś, z głębi ciała znękanego pieszczotami wywinął się uśmiech i ozdobił usta, napęczniałe od pocałunków. Schyliła się niepostrzeżenie i tajemny, powietrzny pocałunek złożyła na zmysłowych ustach śpiącego. On nagle rozwarł oczy i uśmiechnął się.

Otoczyła go nagiemi ramionami i odegnała sen pytaniem:

— Bałeś się też we śnie, żebym cię nie zabiła teraz, jakieś tak spał?

— Co się miałem bać! Już mię teraz nie zabijesz. Bo i za co?

— No, któż może wiedzieć? Gdybym cię też przebiła, — a chociażby długą szpilką od kapelusza. Taką szpilkę wbić w serce...

— Ech, — mruknął, ziewając, — zgniłabyś w kryminale za mężobójstwo. Prawo-by cię nie minęło, moja rybko. Prawo jest wszędzie.

— Prawo prawem, alebyś już nie ziewał, tylkobyś ty gnił i to nawet nie w kryminale, tylko w glinie dolnoaustryackiej. Masz szczęście.

— A żebyś wiedziała, że mam. Moje serce znajome z żelazem. Żelazo ci się po niem ślizga, jak po krysztale. Zobacz, jeśli chcesz...

Odsunął koszulę i pokazał olbrzymią, siną bliznę na lewej piersi wzdłuż żeber. Odsunął wyżej i pokazał pod obojczykiem szwy i zrosty.

— To ty jesteś nożowiec, rzezimieszek? — spytała ciekawie.

— Co tobie, sikoro, do tego, kto ja jestem? Jestem wielki pan i tyle!

— Kawaler Gredin du Chateau-Lapompe.

— Dobrze, dobrze! Jakiż to pan może tak znać świat, jak ja? Byłem w Ameryce, byłem na wojnie transwalskiej, jechałem na statku, coprawda, jako palacz z Władywostoku do Tryestu. — Znam Paryż, Londyn, Kalkutę i Ladysmith...

— Coś ty tam robił?

— Chodziłem za wojną. Bo gdzie się wilki gryzą, tam jest zawsze co zbierać... Wiesz ty o tem?

— Ja też od razu przypuszczałam, że ty musisz być szpicel...

— Szpicle nie miewają takich pieniędzy, jakie ja mam. A ja mam pieniącha. Chcesz wiedzieć? Gram w karty, gram w ruletę, jeżdżę, wracam, znowu wyjeżdżam. Zupełnie, jak hrabia Szczerbic...

— Szczerbic!.. — drgnęła. — A ty znasz Szczerbica?

— Ja znam wszystkich, którzy mi są potrzebni.

— Tak... Powiedz mi jednakże, bo jestem strasznie, strasznie ciekawa... Prawda, że ty jesteś były... felczer?

— Felczer! — zachichotał, — wściekłaś się, czy co u dydka? — Ja — felczer?

— No, — a nie kelner z podłej restauracyi w jakim Radomiu, albo Suwałkach?

— Na złość i nie kelner.

— A jak ci na imię?

— Zgadnij!

— Nie zgadnę. Jakieś imię... Wicek, Wojtek, Walek... Powiedz prawdziwe. Może jakie lepsze. Czasem bywają furmańskie imiona dosyć solidne.

On leniwie przeciągnął się, ziewnął swobodnie, — przez chwilę patrzał w sufit, wreszcie, przymrużywszy oczy, rzekł z cynicznym uśmieszkiem:

— Na imię mi Łukasz.

— Patrzcie! Już miałam jednego kochanka Łukasza. A to ci się udało, to ładne imię.

— Doprawdy? A gdzie się też chowa ta kruszyneczka, co ci ją to tamten Łukaszek na pamiątkę zostawił?

— Daleko się chowa, daleko. U jednej starej babci, u dobrej babuleńki, we wioseczce za góreczką...

— Za góreczką, za wysoką...—nucił, kiwając głową.

— E, to ty jesteś znający detektyw... Ale skądże ci przyszło pytać się o takie ta babskie sprawunki?

— Tak sobie. Zdawało mi się, że ty może je prędzej gdzie frygniesz, choćby w dół pierwszy lepszy, bo to się ognistym panienkom przytrafia... Ale skoro powiadasz... Ty się mało bawisz, wiesz ty o tem? Chciałaś niby to w Paryżu i tu i tam, ale czyż to była zabawa? Sumienie cię burżuazyjne stargało, jak siarczyste womity. Niech-że cię nie znam!!

— Mnie zabawa nie bawi.

— E, bo nie umiesz. Zabawa zabawie nie równa. Widzisz, jak ja cię poduczę...

— Mnie się zdaje, że ty mało, bardzo mało wiesz o zabawie.

— Dlaczego, ko-kotko?

— Bo jesteś przecie wielki ryfa z małego miasteczka, gruboskórne drągalisko w cienkich kortach, szuja rodzima...

— E, widzisz, ale ja mam znowu to, czego wielu nie zna nawet, powiedzmy, po łebkach.

— Ciekawam, co to może być...

— No, — oczy. Ja ci od razu przejrzę wszystko

do samiutkiego dna. Mam takie oczy, jak te promienie Iks.

— To widać wy wszyscy, bandyci, macie takie oczy, bo skąd wy już nie kradniecie i czegoście nie splugawili! Powiedz-że mi choć swe bandyckie imię.

— Imię i nazwisko. Poczekasz, zanim usłyszysz. Już się ta o nie dopytywał niejeden dygnitarz, boby so szczęście rodziny ufundował, żeby się dowiedział. Strasznie są ciekawi, jakim się też herbem pieczętuję. Tobie nie powiem, bo jakem wspomniał o tym robaczku, co to u babuleńki, to ci tak zaraz ślipeczki błysnęły!...

— No?

— Jak cię życia nauczę, życia naprawdę, to ci ta może i odkryję moją tarczę rodową. A teraz bądź do czasu ciemna, jak tabaka w rogu.

— Widzisz, jak się zdradzasz, żeś dotąd flirtował tylko z pokojówkami i praczkami.

— Niekoniecznie. Kokotami bywają rozmaite. A ja mam tę właściwość, że mówię prawdę w oczy, co nas, panów, bardzo często cechuje. — Dziecko takim ludziom, jak my, niepotrzebne. — Ja żyję dla siebie i ty żyj dla siebie. Dziecko niech niańczy matołek, co siedzi na ziemi, ma warsztat, kopyto w łapie, łóżko, pierzynę. A ja jestem po to, żebym chodził. I ty to samo. My jesteśmy wędrowcy.

— O mnie nie decyduj.

— Nie? A mnie się zdaje, że tybyś już nie usiedziała na miejscu. Powiedz-no mi, czybyś usiedziała? Czy to nie lepiej kochać się z każdym ładnym chłopcem, który w oko wpadnie, z silnym, ze zdrowym, — jeździć po krajach, hulać, grać, włóczyć się, używać, ciągnąć za sobą blondynów i ogorzałych, — niż siedzieć z jednym,

który ci po dwóch latach obmierznie i któremu ty obmierzniesz, znosić jego fochy, nudy, choroby?... Zachodzić w ciążę i rodzić, rodzić?... Co, jak myślisz?

— To moja rzecz, jak ja myślę.

— No, oczywiście. Ja ci tam nic nie narzucam, oprócz siebie rzecz prosta. Biorę od człowieka zawsze, tylko to, co mi jest potrzebne, a zresztą, rób sobie, człowiecze, co chcesz, i myśl sobie, co chcesz....

— E, to ty jesteś filantrop!

— Dziecko... — mruknął ponuro. — Nienawidzę bachorów! Poco ja mam cackać bachora? Nie mam czasu. A znowu wiem dobrze, co to jest życie bachora bez rodziców. Małe to, słabe, nie da jeszcze rady starym draniom. Nie poradzi nożem, nie dosięgnie. A bez noża, jakże człowiek wyżyje? Depce to każdy, kto ma nogi, bije każdy, kto ma ręce, klnie na nie każdy, kto rusza żuchwami. Ja mam zostawić po sobie bachora, drugą taką skopaną, poparzoną psinę, jaką byłem sam! Poco? Mało to tego mrowia ludzkiego? Zobacz Londyn, Chicago... Przecie człowiek, — to odrażająca padlina. Ile tego jest! Zobacz na wojnie! Kadłuby bez łbów, wyrwane bebechy, potargane kikuty... Żeby tak mamusia zobaczyła — fiu!.. I prawda. Musi wojna trzebić toto armatami, boby się pożżerało. I żeby choć pożżerało!.. Ale się, sobacze, gniotą, duszą, zasmradzają jedni drugim miejsce i strawę, zarażają się chorobami, — i dopiero, powiada, wszystko się odbywa według prawa. Socyologia, powiada, tak, socyologia, owak... Takie prawa... Dam ja ci, sobaczy synu, prawo...

Ewa słuchała na pozór obojętnie... Ale w głębi drgnęła w niej dusza do tych słów, jak dzwon szarpnięty.

— Toż to jest prawda, co ten nikczemnik mówi... — myślała. — On ją uwalnia od win. On ją rozgrzeszył.

Rzekła niedbale:

— Dobrze, dobrze filozofie z pod czarnej topoli. — Używać... A kiedy i używanie, włóczenie się i tam dalej, — i to wszystko się znudzi.

— A nieprawda! Już co to, to nieprawda. Patrz na wielkich panów. Nic nie robią, tylko obdzierają świat z jego majątku i używają, a nigdy im się nie nudzi. Dlaczego? Bo znają sposób na zabawę, umieją zachować porządek w używaniu.

— A ty nigdy nie nudzisz?

— Nie, blondynko, ja się nigdy nie nudzę. — Nie mam na to czasu. Mam, widzisz, milion rzeczy do zrobienia. Jestem wciąż w ogniu. Jakże mi się ma nudzić? Naprzykład wczoraj... che — che... Wziąć cię z pola, z wagonu, taką dużą, wolną, bogatą pannę... taką ładną... i trzymać cię dziś rano tu, w tem łóżku, razem ze wszystkimi pieniędzmi, — jak myślisz? — na to trzeba mieć łeb na karku, a w nim milion myśli.

— Pewnie, przyznaję. Ale między wami, obwiesiami, pewnie wielu jest takich, którzy potrafiliby tak samo pastwić się nad bezbronną kobietą. — Cóż to tak nadzwyczajnego? Mogłeś mię zamordować. Gdyby mi pękła jakaś żyłka w gardle, lub w płucach, kiedyś mię dusił, jużbym nie żyła. Gdzieżbyś podział trupa? Złapaliby cię. I cóż za spryt twój. Powiedz-no, a ty ciągle tak żyjesz?

— Czasami spoczywam po całych tygodniach. Ale jak przyjdzie na mnie, to zaczynam grzać i wtedy miesiącami!

— A nie boisz się, że z tego wszystkiego zostanie cztery ściany?

— No... cztery ściany, to cztery ściany. — Nie lubię o tem ględzić. Ja nie wikary. To i ty będziesz kiedyś leżała w jeszcze węższych czterech ścianach, a przecież o tem ciągle nie myślisz.

— Owszem, myślę.

— Ja już byłem w tych ścianach, to wiem, co w nich jest.

— Byłeś?

— Czym był? Zobacz...

Odsunął brzeg rękawa i pokazał na rękach dziwne znaki poprzeczne. Oczy jego stały się głucho-głucho zadumane. Uśmiech nieopisany, jak połysk tajemniczej wewnętrznej potęgi, wypełzł na wargi, gdy samemu sobie, podśpiewując, mówił:

— Wagonik — da — wagonik zakratowany... Machorka... dziegieć... Stukają kolby sołdackie. — Pieresyłuszka... I wyślizgane deski nar i miliony wszów i miliardy pluskiew... Brodiagi, doliniarze, żydy, bandy pajęczyniarzy, dzikie chłopy koniokrady, zbóje nocne, tam gdzieś zamyślony arystokrata szopenfeldziarz albo klawisznik. Długie — oj — długie noce! Paraszka pachnie... Etap... p u t' — d o r o ż e ń k a, p u t' — d o r o ż e ń k a... Da jak cię raz ucapi, da poratunku niema...

— Powiedz-że za co!

— Nie powiem. A może kiedy, jeśli zobaczę, że my się naprawdę pokochali ze sobą...

— A dawno cię puścili?

— Puścili... Już się ta nacieszysz wolnością, jak cię stamtąd wypuszczą. A w o l n a j a w o l u s z k a pachnie, oj, pachnie! I warto za nią łba nadstawić. Lubisz ty morze?

— Och, lubię! Jeśli jest co na świecie, cobym jeszcze lubiła, to chyba morze.

— Ale, mewo moja, — ocean?... Wielki — głęboki! Tamten ocean! Jak przyjdzie tajfun w szyi La Perouse i pocznie ludzkie pudło do piekła i do nieba frygać! A w niebie bure obłoki, jak te myśli szalone tęgiego człowieka! A nad nimi mewy we wichrze! Wiesz ty... Pojedziemy razem we światy. Z tobą — we światy! Pojedziesz?

— Pojadę.

— Bo widzisz ja mam udział w jednej kopalni w Klondycke. Ale trza pieniędzy. Te twoje dwadzieścia tysięcy, — to kropelka w oceanie. Trzebaby kilkakroć sto tysięcy. Wówczas możnaby sztucznie poderwać całą sprawę szwindlami, wydrzeć wspólnikom akcye, samym zacząć grzać, — i miliony. Jest taki jeden, coby to zrobił... Straszny to drań, ale on jeden jedyny. Cóż kiedy teraz goły, jak bizun amerykański. Trzaby zebrać pieniądze szybko, oj szybko! Z Wiednia na Tryest, na morze Czerwone, na Celebes, na Sumatrę... Są tam

— Tak, są. Jest wyspa Nowa Zelandya... — szepnęła, uśmiechając się czarownie.

— To nie po drodze, to daleko...

— Tak, to daleko.

— Do Wiednia! Trzeba jechać!

— Jakże ty myślisz zdobywać te pieniądze?

— Jak zdobyw

— Giełda, co?

— A ta... Saha — giełda... Czy ten Szczerbic ma pieniądze? — spytał niespodzianie.

— Skądże ci to do głowy przyszło?..

— No, tak, ciekawość. Gra on w karty?

— Zdaje się, że gra.

— A nie widziałaś, żeby tak dużo przegrywał, wygrywał?

— Nie myślę, żeby on grywał z byle kanalią w karty. W ruletę to grywał.

— Co, ruleta! Ruleta — to dla mopsików strzyżonych i kózek angorskich, żeby się czemś wzruszały. A ty mówisz dobrze po francusku?

— Cóż za skoki myślowe! Mówię po francusku.

— A po angielsku?

— Nie umiem ani słowa.

— A możebyś się tak nauczyła?

— Od razu, w parę dni, co?

— Bo ja, uważasz, potrzebuję. To, że mówisz dobrze po francusku, uwolni mię od łajdaka.

— Od kogoś z przyjaciół?

— No, jest taki. Ja niby to bełkocę ułamkami wszystkich języków, ale na grandę rozmówić się nie umiem po prawdzie żadnym. A tymczasem interesy wymagają szczegółów. Czasem to nawet warszawskiego kłapania, co licha, zapominam. Teraz ciebie zrobię swoją prawą ręką. Bo, rozumiesz, będziesz moją żoną.

— Z lewej ręki.

— Wszystko jedno. W Wiedniu zmajstrujemy paszporty.

— Wszystko to dobrze, ale co ja zyskuję na tej spółce? Jeśli ciebie złapią, z jakiejże racji ja mam odpowiadać za twoje łotrostwa?

— Mnie nikt nie złapie. Ja z katorgi wyszedł, jak gronostaj.

— Powiedz-no mi, jakim sposobem wszedłeś do mnie wczoraj?

— Mam numer tutaj obok. Wszedłem tuż za tobą.

i opowiedziałem się, jako twój mąż. Służąca wyszła od ciebie, a ja za nią, skoro się tylko zsunęła ze schodów, nimeś drzwi zamknęła.

— To spostrzegłeś, jakem wyskoczyła z wagonu?

— Che, kokeszko, nie takie ja sprawy odstawiał!

— A cóż ty zrobisz ze mną potem, potem?

— Nic się nie martw, — wszystko będzie, jak złoto. Myślisz sobie może, że postąpię sobie z tobą, jak to ten znawca...

— Co za znawca?

— E, był taki jeden. Jechał do Europy, gdzieś na wschód, w Rumunię, w Bułgary, na Odesę, do Niżnego, bałamucił młode dziewczyny, Słowianki, Greczynki, Żydówki, Rumunki, Czeszki, Niemki, wszystko jedno, byle tylko nie była starsza nad dwadzieścia lat, żenił się oficyalnie i każdą z oblubienic wywoził w świat. Brał tylko posażne i to grubo. Pożył sobie z każdą sześć, siedm miesięcy, a jak mu tylko zaczęła grubieć w pasie, spuszczał a to strychninką, a to arszeniczkiem, jak mu serce dyktowało. Mieszkał — to w Buenos-Ayres, to w San Francisco, to w Kairze, to w Bombayu. Chłop się nażył. Innej kobiety nie używał, tylko panienki i to, co najpierwszy sort. Nareszcie go moraliści przydybali. Do światła go! No — tracili go elektryką. Na stołeczek, mosiężny cylinderek na główkę. Drwił sobie do ostatka z tych wszystkich drabów, ze szpiclów, sędziów i tym podobnych oprawców. Majątek cały, a uciułał z posagów swych żoneczek grzeczną sumkę, bo milion z górą dolarów, zapisał na stypendya dla wynalazców, na cele dobroczynne, na zasiłki dla ludzi, którzy po przyjeździe do Ameryki nie mają z czego żyć i zdychają z głodu. Punktów napisał w testamencie ze czterdzieści. A musiała

hołota spełniać wszystko co do joty, tak jak rozporządził. Bo według prawa wszystko zrobił — cha-cha...

— Gdzieś o tem czytałam... — ziewnęła, — w jakiemś piśmidle. Ty to z gazety, co? Wyczytałeś i powtórzyłeś, żeby mię nastraszyć. Patrz, kobieto, jakie to z nas bywają demony! I z taką to przyjemnością rozpowiadałeś. Malowało się na cyferblacie uczucie grozy... Bywasz jednak śmieszny, mój dymisjonowany katorżniku. Na demona się nie zdałeś. Prędzej już mógłbyś być tym, jak to tam... szopenfeldziarzem...

Mówiła to lekceważąco, ale w gruncie rzeczy była tem opowiadaniem rażona. Czuła je głębokiem tętnem serca. Złowieszcza rozkosz marzenia o takiem życiu, o olbrzymiej wolności ponad ludźmi, ponad wszelkiemi prawami, wbrew wszelkim ustawom, wśród wiekuistych niebezpieczeństw w kulcie samowładnych zmysłów — odchyliła się na mgnienie przed duszą, trzymała ją w blasku swoich źrenic i w swoich orlich szponach.

W tej samej chwili dokonało się inne miarkowanie, tak piorunująco chyże, że zachwiało całą istotą. — Nareszcie wygaśnie miłość dla Łukasza! — Spostrzegła to i drgnęła z dzikiego upojenia. Przejdzie na drugą stronę tej sprawy ducha. Nie kochać go! Rozgrzeszona będzie z grzechu zabójstwa! Niema już potrzeby spowiedzi przed nim! Straszliwa moc rozpusty z tym człowiekiem nieznanym, rozpusty rozpasanej i prawdziwie zwierzęcej wyrwała z duszy i z cielesnej powłoki duchową miłość.

Cicho, sekretnie pochwalała tę rozpustę nocną, która nareszcie jej duszę uzdrowiła, wyzwoliła, oblała zimną rosą spokoju. Podziwiała siłę rozpusty cielesnej, władzę jej niezwalczoną i znalazła, że ona jest dobrem, po-

nieważ niweczy okrutne i beznadziejne misteryum miłości. Wiecznie a rozpacznie o tem dawniej wiedziała, że ostatnią myślą, która w jej chorym mózgu zagaśnie, to będzie myśl o Łukaszu, że ostatniem uczuciem, które w niej zamrze, będzie tęsknota za nim. Zżyła się z tymi pewnikami, jak z losem! A teraz, — zdrowa jest, silna, pełna życia, a on z niej znikł bez śladu. Niegdyś w szczęściu wierzyła, że na świecie są tylko dwa serca. Później, w niedoli, przyszła do pewnika, że zostało jedno serce, w którem on panował, jak Bóg w świątyni. A teraz otoczyła ją nowa sfera życia.

Ujrzała, że tamte wiary, to są „kopczyki popiołu...“ Ów cichy, drogi, tak mądry, szlachetny, który stał przy niej w dzień i w nocy, — teraz nareszcie odejdzie. Troski co go szarpały, nadzieje, które go niosły, i wszystko jego, a własne, teraz będzie obojętne. Czy mu teraz dobrze, czy źle, gdzie jest, — wszystko już jedno. Gdyby, leżąc na ziemi, wzywał pomocy, już nie odwróci ku niemu głowy. Jeżeli umarł, — Bóg z nim. Jakowaś bezgraniczna w duszy pogoda...

Cha-cha!... Mówił niegdyś, że wlała światło w jego mroczną duszę. Szli razem na szczyty gór, gdzie wybrane dusze z rodu ludzkiego wiecznie się w szczęściu weselą. Teraz to wszystko stało się „kawałem“ w tłustym sosie, witzem z przeszłego życia... Precz z życiem minionem! Szukać jutrzejszego dnia!

Miesiące zimowe upłynęły w Wiedniu. Ewa i jej „mąż“, Antoni Pochroń, zajmowali mieszkanie na trzeciem piętrze w olbrzymim, nowym domu. Ponieważ

mieli do rozporządzenia windę, nie czuli wcale tego, że mieszkają dość wysoko. Właściwie Pochroń odnajmował tylko dwa pokoje od dużego lokalu doktora Bandla. Pokoje te były wprost prześliczne. Ogromne okna, obramowane białym marmurem, wychodziły na zaciszną uliczkę. Poziom jednego z tych pokojów był nieco wyższy, niż poziom drugiego. Oddzielały je szklane drzwi, które można było otwierać tak szeroko, że tworzyło się z tych pokojów ogromną salę dziwnego a uroczego kształtu. Ściany obu saloników powleczone były klejową farbą barwy nikłej, która czyniła wrażenie delikatności. Tam i sam przemykał się złotawy gzemsik, albo siny rąbek, po to tylko, zda się, żeby za sobą oczy w przestwór pociągnąć. Kilka wązkich luster w skromnych ramach przerywało ciągłość powierzchni ścian. Bawiły oko skromne, lekkie meble nowego kształtu. Blaty stolików były ze lśniącej, jakby alabastrowej masy. Nogi ich były okute w metal, co im nadawało cechę wykwintnej prostoty, czystości i siły. Wszystko w tem zaciszu było biało złociste. Nic nie naprzykrzało się i nie raziło. Ani inkrustowana, lśniąca buazerya, naśladująca barwą drzewo osiczyny, ani powściągliwy ornament drzwi, którego potrzeba tłómaczyła się sama, ale obecność nie była prawie widoczną, — ani szlak ze stylizowanych kwiatów nasturcyi, ani owe drzwi do alkowy ze rżniętego misternie szkła, zajmujące całkowitą niemal wysokość ścian od sufitu do posadzki. Ewa zajmowała alkowę, izbę na podwyższeniu z oknami, wychodzącemi na uliczkę. Drugi pokój był rodzajem salonu. Tam na sofie sypiał Pochroń.

Był to salon nowoczesny i cudaczny, jak ... ztą

wszystko w tym domu. Częstokroć drzwi z „salonu“, prowadzące do mieszkania doktora Bandla, otwierały się i liczna, huczna kompania gości przepływała z lokalu do lokalu. Bywali tam najrozmaitsi ludzie: Niemcy, Węgrzy, Żydzi, Polacy, Czesi, Kroaci, Rumuni... Ów doktór Bandl był z zawodu lekarzem, ale praktyką zajmował się niezbyt gorliwie. Był niby dziennikarzem. Mówiono, że jest politykiem. Szeptano, że będzie kandydował z jakiejś tam kuryi. Jednakże i artykułów dziennikarskich nie pisywał. Rządził w prasie rozmaitych odcieni. Miał nieustające interesy na giełdzie, w parlamencie, na Herrengasse, w ministeryach, namiestnictwach, ambasadach, biurach rządowych, w klubach stronnictw politycznych, słowem wszędzie.

Miał zawsze dużo pieniędzy.

Był to przystojny Niemiec, południowiec. Żywe jego oczy, świecące, jak brylanty, za szkłami binokli wrżniętych w orli nos, usta, usta ponsowe, policzki tryskające rumieńcami zdrowia, zaznaczona już a prawie piękna łysina, brzuch, który ze wszech sił usiłował zamaskować, i ukryć w wykwintnych kortach, — wszystko to było dla Ewy odrażające oddawna.

Od pierwszego spotkania wiedziała, że ten frant będzie na nią polował i czyhał. Z początku nienawidziła go i broniła się wzgardą, jak sztyletem ostrzonym na wszelki wypadek. Później poprzestała na biernej odrazie, widząc, że Pochroń dobrze jej, (własności swojej), pilnuje.

Bawiła się w ciągu tej zimy. Poznała uczty nocne u Sachera i w innych drogich restauracyach, siłę szampana, władzę pieniędzy, na których rozkazy są niezmierne składy towarów i praca mieszkańców olbrzymiego

miasta. Jakże lubiła teraz patrzeć, gdy roje najrozmaitszych ludzi biegają i pracują, pracują sprawnie, płynnie, mądrze! Lubiła pasyami lustrować składy na Kaertnerstrasse, badać ich głębokość w ziemi, w piwnicach w szafach ogniotrwałych i skrytkach, oświetlonych elektrycznością, sondować zasobność w schowaniach, wpuszczonych w mury. Jak w Paryżu skupowała mnóstwo sukien, bielizny, rękawiczek, obuwia, pończoch, halek, gorsetów, kapeluszy, drobiazgów, cacek ostatniej mody i smakołyków ostatniego pomysłu. Polubiła ordynarność zabawy, płaskość i ostrość dowcipu. W mdłym, błękitnawym dymie u Ronachera, wobec szerokiej sceny, pełnej błazeństwa, akrobatyki, baletu, tresowanych zwierząt, trywialnych kupletów, wśród publiczności, złożonej z prostytutek i poczciwych klemp-mieszczanek czuła się doskonale. Siadywała najczęściej gdzieś w purpurowej loży, otoczona bandą mężczyzn.

Lubiła błąkać się samopas po ulicach, kiedy z okien pełnych szychu, świecideł i ogromu towarów sypie się elektryczne światło, kiedy po bruku asfaltowym szeleści krok milionowego tłumu. Była wówczas radośnie zgubioną w zbiorowisku. — Czasem wtedy na serce jej wracała się cicha, ciemna, uboga Warszawa. Ale nie było to marzenie przykre.

Przeciwnie, — było w niem wyzwanie i ekscytacya.

Poznała mnóstwo nowych ludzi. Zrazu nie mogła pojąć, co się koło niej dzieje, co to za osoby schodzą się u Bandla, ucztują z nim w zamkniętych gabinetach knajp, tłoczą się do lóż w operze i teatrach, szachrują szeptem, kręcą się wśród klubów parlamentarnych, grają u niego w karty, wydzierają sobie majątki, stanowiska, władze

i kobiety. Włosy stawały na głowie i bezsenność rozwierała w ciemności powieki. Lecz z czasem wszystko zobojętniało, stało się znośnie wstrętne, tak samo, jak oczy, binokle i brzuszek Bandla.

Przywykła do ludzi, zjawisk i rzeczy. Był jej obojętny sam Pochroń i jego zmysłowa miłość. Obojętne było życie obecne, przeszłe i przyszłe. — Nie znaczy to wcale, żeby się czuła źle.

Było to życie liszki na liściu, wypijanie pokarmu, wygrzewanie się w słońcu.

Gdyby teraz Łukasz zjawił się wobec niej ze swą nerwową, niecierpliwą rozpaczą, ze swymi żalami, rozkazywaniem i nagłymi przeskoki od złorzeczeń, gróźb, klątw do próśb, unizeń, całowania śladu jej stóp, — wypchnęłaby go chyba ze swego pokoju i zatrzasnęła za nim drzwi z piosenką wiedeńską na ustach. Zwolna wygasał w niej ten Łukasz, wygasał, jak ogień, — żarzył się, — leżał, jak węgiel parzący w popiele... Teraz już stygnie. — Już go niema. Nie czuła już w sobie ani strasznej rozkoszy ducha, — miłości, — ani przerażenia wobec spełnionej zdrady. Spokojna pustka, — nic więcej. Pustka ta była jak ziemia w podwiośnie, nie okryta ani jedną trawką, leżąca spokojnie pod ciepłem słońcem.

Ewa mogła teraz patrzeć w przepaść swych grzechów. Nie czuła do nich wstrętu, jak w Paryżu. Ziewała na ich widok Pojmowała ohydę grzechu rozpusty, ale nie mogła zdobyć się na nic, coby z niej mogło wyrwać.

Nad wszystkiem panowało jedno pragnienie: nie dopuścić do siebie wspomnień o miłości, nie dać im nigdy zapanować w duszy. Nie pożądać z ducha, nie kochać sercem, nie płakać za minionym uśmiechem najdroższych ust, za brzmieniem głosu. Trwać tylko, trwać w spo-

czynku zapomnienia. — Nie czuć w sobie serca, gdyż bez serca jest dobrze, a z sercem straszliwie.

— Zdradziłeś mię, — mówiła teraz w głębi siebie, — ty pierwszy mię zdradziłeś. Szłam za tobą na koniec świata. Tobie pierwszemu oddałam bezsilność moich nóg i tobie pierwszemu otworzyłam drzwi duszy. Gdy mi tamten powiedział, że mię zdradziłeś, szalałam sama jedna. A teraz zdradziłam cię i znalazłam spokój. Należę teraz do innego, a ty jesteś dla mnie czcze i puste imię!

Częstokroć brała do ręki listy Łukasza, (zamknięte już zresztą wraz z listami Szczerbica w biureczku Pochronia), i czytała je od początku do końca, żeby się w stanie swej mocy utwierdzić, przekonać się, że nic w tych listach niema, nic a nic. Dziwiła się, jakim sposobem tyle dawniej pod temi samemi literami czytała! Nie było już zapachu, który dawniej odurzał aż do utraty zmysłów...

Pewnego razu, w czasie takiej lektury, znalazła była na dnie szkatułeczki, gdzie listy leżały, — trzy zeschłe róże. Zeschłe na szczęt... Przypomniała sobie ich dzieje i przez chwilę bawiła się niemi, ważąc je w palcach. A dzieje róż takie były...

Za dawnych dni, gdy mu już była ofiarowała swe ciało, a miał wkrótce do Włoch wyjechać, nastąpiła między nimi gorąca sprzeczka. Leżała wówczas w łóżku. Był u niej wtedy w pokoiku, z oknem zasłoniętem ponsowym szkłem, gdy leżała w łóżku. (Umyślnie wtedy rozebrała się w dzień, udała chorą, żeby go o naznaczonej godzinie przyjąć w łóżku). Przysłał jej później trzy róże ciemnoponsowe. Gdy, wyszedłszy z domu, chyłkiem kupował w sklepie te róże, sądził że będą źle przyjęte i że nadal będzie się gniewała. Tak jej to wyznał.

Nie widzieli się długo, całą noc i dzień następny

i znowu noc... A gdy wreszcie byli razem, dowiedział się z najwyższem, z szalonem szczęściem, że dobrze były przyjęte róże.

„Nieoporne“ róże uschły na piersiach, między piersiami.

Leżały przez całą noc w tem miejscu, które tak kochał, — gdzie serce bije... Prosił wówczas o te róże gorąco. Jakże gorąco!!! Chciał, żeby mu je darowała jako najcenniejszy skarb, znak wznowionej miłości. Prosił o nie i później wielekroć, w chwilach łaski, mając możność całowania jej w usta! Dla jakiegoś powodu, gdy była mowa o tych różach, stawała się wstydliwa, usta jej żarzyły się, jak nigdy przedtem i nigdy potem. Były, jak żywy i ruchliwy ogień.

Sama to czuła. Mówili do siebie wtedy, że chcieliby mieć dziecko. Oczy jego zapalały się od ognia jej ust. Wyznawali śród płomieni najskrytsze myśli.

Nie dała mu wówczas przez zapomnienie upragnionych róż. A teraz... Jakże mu zwrócić tę jego własność, kiedy nie zna jego adresu? Zmięła je w palcach, pokruszyła na proch i rzuciła na ziemię w to miejsce, gdzie Pochroń stawiał swe pantofle nocne.

Pochroń przywłaszczył sobie listy Łukasza, (i Szczerbica), trzymał je u siebie. Często je przy niej czytał i zaopatrywał w komentarze. Oddała je bez żalu.

Miała jeszcze pragnienie, żeby mieć sprawę ze Szczerbicem.

(Mieć sprawę, — znaczyło teraz walczyć z nim i pokonać).

Właściwie nic jej złego nie zrobił, a była względem niego usposobiona nienawistnie. Możnaby powiedzieć, że jeżeli jeszcze czuła cokolwiek poza zmysłowością

i żądzą dosytu, to była właśnie duchowa nienawiść do Szczerbica. On to, — czuła, — przestrzelił Łukasza. On ją tym swoim strzałem wydobył z domu i oddał w ramiona Łukasza. On ją zgubił, wcale o tem nie wiedząc. Nie pocałował jej ust, a zepchnął ją z krużganku kościoła na podwórze lupanaru. Gdyby nie to, że ją zepchnął, możeby ją był spotkał i pokochał czystą miłością, taką miłością, jaką ona kochała Łukasza. („Dans le veritable amour c'est l'âme, qui enveloppe le corps").

A chciała być kochana czystą miłością przez Szczerbica.

Krążyć z nim w zaświecie sztuki, chodzić z nim ręka w rękę po schodach muzyki... Och, nienawidziła Szczerbica i marzyła nieraz tajemnie, żeby go zepchnąć, zepchnąć z krużganku kościoła, z najwyższego gradusa jego przecudnej, wyzwolonej muzyki na cuchnący bruk lupanaru!

Z osób, które poznała czasu pobytu w Wiedniu, dwie zainteresowały ją bliżej. Ponieważ instynktownie i odruchowo nienawidziła żydów, których u Bandla bywało mnóstwo najrozmaitszych, (a przedewszystkiem giełdziarzy, madziarskich patryotów, tak zwanych publicystów, bankierów, jakichś pośredników i spekulantów, znających się na wszystkich ludzkich sprawkach, wreszcie oczywistych oszustów), — więc z rozkoszą zwracała uwagę na rodaków. Pewnego wieczora odezwał się do niej u Ronachera po polsku jegomość szczupły, niemal chudy, wygolony i wystrzyżony tak dalece, że głowa jego była gładka i okrągła, jak kościana gałka. Pracując usilnie myślami, Ewa przypomniał sobie, że to ten człowiek siedział swego czasu razem z Pochroniem w cu-

kiereńce dalekiego miasta, kiedy to do chorego Łukasza przyjechała. Był-to Płaza-Spławski, który zresztą nie używał oficyalnie hrabiowskiego tytułu.

Ubrany był w jakiś czarny, beżowy kostyumik i buciki pochodzenia rosyjskiego, („s a p o g i b u t y ł k a m i“), których cholewy były skutecznie ukryte pod nogawicami spodni.

Kołnierzyka koszuli jakoś nie było widać za stojącym kołnierzem kurteczki, — może zresztą przez oryginalność. Płaza-Spławski miał wybite lewe oko. To oko było zasłonięte dwiema powiekami, które nie schodziły się całkowicie. Przez tę szczelinę biaława martwa masa przezierała, jak spokojna pustka. Dół, w którym, jak w więzieniu bytowało owo oko, przerośnięty był kilkoma szwami, idącymi ku brwiom i w kierunku nosa. Drugie oko patrzyło i pilnowało spraw świata za obadwa.

Płaza-Spławski był małomówny. Jego twarz sucha i jakby wyrżnięta z kości była zawżdy nieruchoma, spokojna, zimna i bez uśmiechu. Trudnoby nawet było wyobrazić sobie na tej twarzy uśmiech. Możnaby powiedzieć, że uderzały w niej wyżłobione rysy smutku, gdyby nie to, że ów smutek był tak specyalnego rodzaju. Drzemała w tej fizyognomii jakaś niewesoła a groźna rozwaga, czujna baczność wielkiego rozumu, która wątpi o wartości przedsięwzięć. Z paru wzmianek Pochronia Ewa domyśliła się, że to Spławski właśnie nosi niezbyt polskie zawołanie d r a n i a. W istocie, okazało się później, że razem byli na wojnie transwalskiej, razem prowadzili interesy w Klondycke i innych punktach globu. Płaza-Spławski był poddanym francuskim, „obywatelem Rzeczypospolitej“.

Do jakiej narodowości sam się zaliczał, tego nie de-

klarował publicznie. Mówił najlepiej po francusku, ale równie chętnie posługiwał się językiem angielskim, rosyjskim i niemieckim.

Bandl nazywał go ironicznie „kapitanem". Jakaś karyera wojskowa musiała w rzeczy samej poprzedzić inne epoki życia Płazy, gdyż w pewnych okolicznościach wspominał o Tonkinie, o Kochinchinie, jako o miejscach, które dobrze zna, oraz lubił patrzeć na wojsko. Słabo ożywiał się, gdy mówiono o rzeczach wojskowych, i coś jak powiew współczucia łagodziło wówczas surowość jego twarzy.

Obecnie Płaza-Spławski był w niedostatku. — Nikt nie przychodził mu z pomocą, czy też on od nikogo pomocy przyjąć nie chciał, dość, że żył w okrutnem, bezgranicznem poniżeniu. Na przyjęciach u Bandla nic nigdy nie jadł, nie pił i nie palił. Jeżeli tam bywał wśród wystrojonych giełdziarzy, to widocznie tylko za interesami. Mieszkał w tak nędznym hoteliku, gdzieś w bocznej uliczce od Mariahilferstrasse, że Ewa ze drżeniem wkroczyła tam, kiedy szukała go razem z Pochroniem. Pamiętała tę chwilę. Korytarzyk był tak wązki, że tylko jedna osoba mogła się tamtędy przecisnąć. Słabo pełgał gaz i nie rozpraszał mroku.

Na lewo były tapetowane, nizkie drzwiczki w tapetowanych ścianach, niewidzialne wejścia do nizkich numerów. Na prawo ściana ślizka, oklejona papierem. Macając w ciemności, świecąc sobie zapałkami, znaleziono wreszcie drzwi do numeru g r a f a Płazy-Spławskiego. Pokoik jego był mały, brudny, jak ścierka, z zakurzonemi oknami. Na łóżku leżały poduszki w czarnych poszwach z falbankami i wyświechtana kołdra z seledynowego jedwabiu. Cały ów pokoiczek, jak na urągowisko,

wysłany był grubem, czerwonem suknem. — Płaza-Spławski stał na środku pokoju, gdy Ewa weszła w towarzystwie Pochronia. Jakże straszną w swym nieruchomym spokoju, jak posępną i złowieszczą wydała się wówczas Ewie jego ciemna twarz!

Niby to uśmiechnął się na widok damy... — Nie zawstydził się, gdy z przerażeniem patrzyła na potworne aksamitne firanki, podwiązane bajecznie sutymi sznurami, na portyery, dyndające u drzwi. Rzekł do niej po francusku:

— Pani! Pozwól mi mieć nadzieję, że będę kiedyś miał szczęście przyjąć cię w otoczeniu bardziej godnem twojej piękności...

Nie wiedząc czemu, polubiła wówczas tego hardego a milczącego człowieka. Dziwiła się jego kostyumowi tak bardzo letniemu, jak na ostrą zimę, kurteczce z guziczkami okrągłego kształtu. — Patrzyła później z potrójna ciekawością na stosunek Płazy do Bandla, spasionego, optymisty i zatopionego w używaniu, który rżał, jak ogier, z radości, patrząc na kostyumik „kapitana". Był to stosunek zimny, ale bynajmniej nie uniżony. Przeciwnie, Bandl, Pochroń, a nawet inni patrzyli z najżywszą uwagą w zdrowe oko Płazy-Spławskiego.

Drugim gościem z ojczyzny był pan Nycz, starzec tak piękny, że, pomimo swych lat sześćdziesięciu pięciu, mógłby budzić zachwyt w szesnastoletnich dziewuszkach. Oczy miał błękitne, marzycielskie, wesołe, łatwowierne, oczy — uśmiech. Wąs bujny, bielusieńki, osłaniał lubieżne usta, srebrna czupryna, jak dyadem, ozdabiała czoło. Trudnoby było wykomponować piękniejszą figurę na prezydenta rzeczypospolitej, ministra, czytającego mo-

wy tronowe, głównego sędziego, albo szwajcara w Monte-Carlo.

Był to jednakże tylko nauczyciel języka francuskiego, syn emigranta, nieszczęśliwego emigranta polskiego... d'un malhereux emigré polonais... Teraz od kilkunastu lat mieszkał „we Widniu“, tęskniąc zbolałem sercem do „nieszczęsnej ojczyzny“, której wcale nie znał i do której nigdy się nie kwapił, aczkolwiek nikt mu nie bronił przebywać dowoli pod jej słomianym i dziurawym dachem.

Nycz dawał lekcye synom posłów, magnatów, członków izby panów, ambasadorów i t. d. Był tak dobrze wychowany, gładki, przyjemny, wesoły, obfitujący w anegdotki i anegdoteczki, że lubili go wszędzie nie tylko uczniowie, pobierający lekcye języka, ale i ojcowie, tudzież matki.

Nycz bywał wszędzie i wszystkich znał. Osobliwie pilnował „tradycyi narodowych“, zachowania w nieskalanej czystości wszelkich jedzeń ściśle „narodowych“, „święconego“, strucel gwiazdkowych i t. d. O wszystkiem wielkiem na świecie mówił z prostotą wesołą, niemal biblijną. Nie można powiedzieć, żeby kłamał kiedykolwiek, aczkolwiek nie poczytywał kłamstwa za występek. — Pauvre patrie, do której wzdychał „we Widniu“ od lat tylu, była jego istotną miłością.

Cieszył się z tryumfów różnych leaderów i speakerów „koła“ i poczytywał owe tryumfy oraz najrozmaitsze krętactwa i szprynce za zwycięstwa „narodu“. Słowo „naród“ wymawiał z emfazą najzupełniej francuską.

Nycz ubrany był zawsze tak wykwintnie, że mógł istotnie wchodzić do każdego salonu. Odbył liczne po-

dróże po Europie w towarzystwie rozmaitych paniczów i to tak wysokiego stopnia, że mniejsi pankowie mile widzieli tego ustosunkowanego guwernera, który jednak z naciskiem i stale zaznacza, że jest demokratą. Cóż dopiero mówić o dorobkiewiczach i bankierskiej swołoczy..

Nycz wiedział mnóstwo rzeczy, bywając w świecie sposobem poufałym, jadalniowym i buduarowym. Nik tyle nie mógł od niechcenia bąknąć o gwałtownych sprawach tego świata, co on właśnie. Śmiejąc się, baraszkując, dowcipkując, patrząc w oczy z dziecięcą prostotą zaawansowanego emfizematyka, taką nieraz wyziewał wiadomość, że później cały sztab Bandla miał o czem szeptać przez godzinę. To też ani Bandl, ani Pochroń, ani nikt z gości nie skąpił poczciwemu gawędziarzowi pożyczki, drobnego „pompnięcia“ dziesiątki, dwudziestki, a nawet pięćdziesiątki guldeniąt, kiedy się przymówił. A miał tę wadę, czy słabostkę, nałóg czy odruch, że lubił pompnąć.

Czynił to w sposób tak dobroduszny, zabawny, jasny i dziecięcy, jakby brał z pudełka „gościnnego“ Bandlowskie cygaro.

Ewa polubiła go od razu i pasyami. Przypominał jej poniekąd ojca. On również, „kochał się“ w Iwi, jak ją z angielska nazywał. Mówili sobie po imieniu, no i oczywiście pożyczali sobie nawzajem dziesiątki i dwudziestki w okolicznościach karnawału. Nycz brzydził się kompanią Bandla, brzydził się również i Pochroniem. Ilekroć ostatniego widział w „towarzystwie“, śmiał się otwarcie, a jeśli nie wypadało tego czynić zbyt głośno, ruszał wąsami, nie mogąc powstrzymać swej uciechy. Pochroń śmieszył go swemi manierami, językiem, wszystkiem, co czynił... Inna rzecz z Płazą. Tego szanował w dziwny

sposób i wielokrotnie naradzał się z Ewą, czyby nie można mu, (rodakowi!), posłać coś z ubrania. Ewa odradziła.

Skończyło się na oddziaływaniu pośredniem, zapomocą Pochronia, w celu poprawienia kostyumów hrabiego. Na niczem się to jednak skończyło, gdyż Płaza i nadal chadzał po Wiedniu w swej kurteczce i bez paltota.

— Iw... — szeptał Nycz Ewie pewnego razu, — jak ty możesz, nieziemska, bawić się z drabem takim, jak ten Pochroń. Ty, tak anielsko piękna z nim w łóżeczku — hélas! Przecież to jest drab, un brigand!

— Wcale nie, papo, wcale nie! Nie znasz Pochronia. To złote serce.

— Serce? Być może! Któż mówił o sercu? Nie o sercu, nieziemska... Zresztą, co do jego serca... voyons...

— Marzysz, papo?

— Posłuchaj, radzę ci, rzuć go! Ja to czuję... on śmierdzi krwią.

— No, więc cóż z tego? Wszyscy śmierdzicie.

— Tego nie możesz mówić! Przesadzasz, egzagerujesz! Skądże wszyscy? Ja naprzykład...

— Jakaż na to rada?

— Dam ci radę! Zrób, wiesz, jak owe dzielne niewiasty w l'Assemblée des femmes Arystofanesa, albo, jak Lizystrata.

— Jakże to?

— Powiedz sobie, ale, jak one, pod przysięgą, uważasz pod przysięgą: „S'il me prend de force, je n'eleverai pas mes pieds au plancher, je ne ferai rien que de mauvaise grace et avec froideur...“ Zaręczam ci...

— Ach, ty staruszku, safandułko czupurna, czupiradełko cacane...

— „Staruszku!" Albo poprostu odepchnij go... i ten...

— I co?

— No i weź już lepiej — mnie!

— Ciebie? Nie mogę, ale, wierz mi, tylko przez wzgląd na twoją reputacyę. Straciłbyś lekcye. Stałbyś się niemożliwy w salonach, bo byłbyś, pojmujesz — niemoralny...

— Mais quoi! Niktby nie wiedział! W najgłębszym sekrecie.

— Ba! Kiedy ja jestem, ja jestem już jawnogrzesznica.

— Moglibyśmy osiąść w pewnym hoteliku... to jest... Ja, naprzykład... Przecież ty mię lubisz?

— Och, czyż możesz pytać? Ty jesteś moja stara małpeczka, miłe ojczyste kretynię, kochany Bandlowski szpicelek. Ale, widzisz, Pochroń, to człowiek, który ma w ręku sztylet włoski.

— Iw!... Jakże mię dotknęłaś... Nigdy się tego po tobie nie spodziewałem...

— No, jesteś przecie nauczycielem języka francuskiego, synem nieszczęśliwego emigranta?

— Nie o to! Ale powiedziałaś słowo... Powiedziałaś? — prawda. Bo może się przesłyszałem... co?

— No, wchodzisz wszędzie, gawędzisz, jesz obiady, zimne przekąski, á la fourchett'y, wysłuchujesz, co mówią, wywiadujesz się zresztą od lokajów, od różnych sługusów i za pożyczone dziesiątki szepniesz to czasem po pańsku, gdy jesteś w dobrem usposobieniu, od niechcenia... Ale ja cię przecie bardzo lubię...

— I to ty, ty mówisz mi takie rzeczy! Boleśnie mię zraniłaś.

Ewa gładziła ręką siwe, srebrne włosy. Rozprostowywała palcami groźne zmarszczki na czole. Pozwalała pięknej, arystokratycznej ręce błądzić po swej postaci Uśmiech wracał znowu na usta dobrotliwego staruszka i wieczna pogoda gościła znowu w błękitnych oczach.

Pewnego popołudnia, w marcu, Pochroń zażądał od Ewy, żeby z nim poszła do mieszkania Płazy-Spławskiego.

— Do tego hoteliku, — spytała, — gdzie on mieszka?

— Oczywiście, do tego hotelu.

— Nie pójdę! Po co ja tam jestem potrzebna?

— Musisz iść. Nasze interesy absolutnie źle idą.

— Czy absolutnie, czy nie, — wszystko mi jedno. Nie idę!

— Kiedyż musimy się naradzić... Co to za dziwactwa!

— Nie pójdę do tej nory. To wstyd ostatni dla kobiety wchodzić na schody takiego hotelu.

— Kiedyż to są przesądy damskie i nic więcej. Interes wymaga, więc niema i nie może być kaprysów.

— Niech tu przyjdzie Płaza, jeśli interesy wymagają! Cóż to nie ma nóg i swoich rosyjskich butów?

— Widzisz, dziecko, ma i on swoje kaprysy. Hrabia, — uważasz, — sobacza dusza. Magnat bez koszuli i z guziczkami, morowa jego, zatracona!... On do mnie nie raczy. Zdechnie z głodu, a nie raczy! A, widzisz, jakbyś ty przyszła do niego, to mu to sprawi grubą frajdacyę...

— Kto ma pójść ze mną?

— No, ja.

— Będziesz przez cały czas rozmowy obecny?

— To zależy. Może tak wypaść, że będę musiał pc co wyjść na chwilę. Trudno wszystko przewidzieć, cc z interesu wypadnie. Czasem trza papieru, atramentu...

— Ty... szubrawcze, szubrawcze, szubrawcze! — mówiła przez zaciśnięte zęby, spłoniona cała od stóp dc głów, patrząc na niego przez ramię.

— Troisz sobie Bóg wie co, romansowa heroino, a nie wiesz wcale, o co chodzi.

Zaśmiał się ohydnie i mruknął:

— Ten Płaza ma wstręt do kobiet, możesz być o niego zupełnie spokojna. Znam przecie jego azyatyckie przyzwyczajenia. Amator kwaśnych jabłek... No, wię idziesz?

— Oczywiście, że idę, choćby dlatego, żeby ci pokazać, jakiś ty szubrawiec i jak drwię sobie z twoich planów!

Tegoż dnia nad wieczorem, udali się obydwoje do wiadomego hoteliku. Ewa musiała znowu z najgłębszą odrazą wstępować na schody, wymalowane białą farbą, iść aż na drugie piętro, ujrzeć swój wizerunek, odbity w szerokiem, tandentnem lustrze o pluszowych ramach... Minęła ciemny korytarz, w którym mrok zgęszczał się coraz bardziej, skręciła na lewo. Grozą i drżeniem przejął ją znowu widok czeluści. Szła na palcach wązkiem przejściem... w głębi, daleko, żarzył się płomyk gazowy w koszulce przepalonej i na pół rozdartej. Dziwaczny kształt i ponury kolor tego płomienia ściskał serce. Prawa ręka ślizgała się po wilgotnej ścianie, oklejonej tapetami, lewa dotykała małych drzwi, poza któremi sły-

chać było głosy, rozmowy, śmiechy, piski rozpustne, szepty, jęki... Było tak ciemno, że Ewa nie widziała Pochronia, idącego o krok przed nią. Wzdrygała się od strachu... Nareszcie otwarły się drzwiczki do numeru Płazy-Spławskiego, nareszcie światło...

Ewa czuła się bardzo źle w tem miejscu. Nie mogła złapać tchu. Nigdy jeszcze nie miała tak jasnego wyobrażenia o niewoli swojej, jak w tym momencie. Gdyby tak mieć w ręku sztylet, z jakąż rozkoszą uderzyłaby w nienawistne plecy Pochronia! Zabić tego złoczyńcę!

Weszła do pokoiku Płazy-Spławskiego. Tamten stał, jak poprzednio, tyłem odwrócony do zakurzonego okna. To obmierzłe okno, dochodzące do samej podłogi, znowu nasunęło uczucie odrazy, dało zmiarkować głębokość upadku. Usiadła na krześle tyłem od okna i spoglądała w zapstrzony oleodruk, wyobrażający Stellę Fornarinę. Wrażenia swoje usiłowała przykryć wesołością. Zrobiła jej dużą, och, dużą przyjemność obecność w tej jamie Stelli Fornariny...

— Panie hrabio, — mówił Pochroń, — musimy naradzić się i zdecydować, co robimy dalej. Toż to miesiące, miesiące upłynęły! Trzeba jechać nareszcie. Kiedyż my pojedziemy?

— Radź pan... — mruknął Płaza.

— Wiemy wszyscy, że z takim kapitałem, jaki mamy w ręku, niema wcale o czem myśleć.

— Nie myśl pan... — mruknął tamten.

— Więc co?

— Ależ to nie jest odpowiedź!

— Ja nie mam pieniędzy.

Obadwaj patrzyli sobie w oczy. Pochroń zwiesił

głowę. Po chwili znowu ją podniósł i wlepił oczy w twarz Płazy.

— Bandl? — spytał ostatni.

— Nie ma żadnego, żadnego sposobu! Bandl co tylko mógł...

— Ja wyjadę sam... — rzekł zimno Płaza-Spławski.

— I co pan poradzisz bez pieniędzy?

— To moja rzecz. To się okaże. Nie mogę czekać, aż wam z nieba spadnie milion.

— Ostatnia nadzieja, ostatnia myśl, to jest ten Szczerbic.

— Szczerbic?! — zawołała Ewa, szczerze zdumiona

— No, oczywiście. Gdyby go się wciągnęło do interesu... Przecie pisał do ciebie, że gotówby sprzedać wszystko w Europie i jechać do Ameryki. Właśnie i my mamy tę samą myśl. Niechby sprzedał wszystko i wstąpił do naszego interesu. Moglibyśmy zrobić miliony!

Płaza milczał obojętnie, patrząc na Ewę swem martwem okiem.

— Któż to ma się podjąć wciągnięcia Szczerbica w nasze interesy? — zapytała z szyderstwem.

— Pani, — rzekł Płaza-Spławski ze spokojem.

— Oczywiście, że ty! — dorzucił Pochroń.

— No, to zanotujcie sobie, panowie przemysłowcy, w swoich notesach grubemi literami, że ja ani palcem nie kiwnę...

— Mówiłem, że to będzie z korowodami... — rzekł Płaza do Pochronia.

— Dlaczego nie miałabyś przyczynić się do wspólnego dobra? — spytał Pochroń łagodnie. — Powiedz tylko! Czytałem jego listy, pisane do ciebie. Ten człowiek zrobi wszystko, pójdzie, jak dziecko za ciastkiem.

Jeśli tylko zechcesz, sprzeda cały majątek i pojedzie za tobą do Ameryki.

— A cóż ja z nim mam począć? Bo wy to pewno już wiecie...

— No... Gdyby chciał wstąpić do interesu... Mogłabyś z nim pojechać, jeśli zechcesz.

— A ty na to przystaniesz z miłą chęcią... Jakiś ty dobry!

Ognie wewnętrzne uderzyły w serce. Dziwna rozkosz marzenia o wydobyciu się. Pomysły lecące jak tabuny koni. Płacz w piersiach, zduszony powrozami przebiegłych myśli...

— Tiens... Cóż tedy ja mam robić?

Płaza-Spławski skręcił powoli cienkiego papierosa, zapalił go i mówił w spcsób decydujący, jak dowódca:

— Napisałaby pani do tego Szczerbica list, wzywający go, żeby do pani przyjechał tu do Wiednia. Niech wszystko, co ma, spienięży, albo tak ułoży, żeby można zaciągać na to wielkie długi. Niech pożyczy tam na miejscu na swe posiadłości nieruchome, jeśli nie ma gotówki Bo gotówka być musi. Wyłoży mu pani, że pojedziecie do Ameryki robić pieniądze w Klondycke. Tu można będzie Nycza na niego napuścić, żeby mu rozdął imaginacyę w kierunku potrzeby wielkości, że to dla Polski... Pani napisze entuzyastycznie avec passion, avec tendresse...

— No i cóż jeszcze?

— Gdy przyjedzie, według mego przekonania, musi go pani pociągnąć ku sobie wszelkimi środkami, ale zarazem trzymać w oddaleniu, żeby się męczył potężnie, a nie mógł odlecieć.

— No i jeżeli tego wszystkiego nie zechcę?...

Płaza-Spławski zamilkł, a Pochroń podjął niejako dalszy ciąg:

— Musisz, bo w przeciwnym razie wydam cię, żeś zabiła dziecko.

— Głowę sobie zaprzątasz głupstwami i głupstwami mi grozisz. To nieprawda. Gdzie masz dowody?

— Ja mam na ciebie dowody, ani się spodziejesz, jakie!

— Ktoby tam w sposób podobnie ordynarny walczył z kobietą! — rzekł niecierpliwie Płaza. — Czemużby pani, nie miała się zabawić z tym Szczerbicem? Czemu? Czyżby pani, że tak powiem, kochała obecnego tu kawalera Pochronia? Jeżeli pani Szczerbica nie znosi, no to...

— Właśnie, że go nie znoszę.

— Ale on panią kocha. To podobno przyjemnie odbierać hołdy, gdy się nie kocha. Tak słyszałem.

— Cóż z tego, że on mię kocha. Przypuśćmy, że mię kocha.

— W takim razie... — rzekł Płaza, uśmiechając się przeciągle, — sądzę, że mogłaby pani dla dobra przyjaciół to uczynić, że w swej górnej świetlicy przyjąć hołdy hrabicza polskiego. Powinien za taką łaskę zapłacić milion. My, szlachta polska, znani jesteśmy z tego, że płacimy za piękne łaski ze szczodrobliwością niewiarogodną. Powinien oddać wszystko, co ma, a że za to, przypuśćmy, zobaczy tę cou de cygne et les épaules d'albâtre... Gdyby zaś zamierzył siłą zdobyć, gdyby się ośmielił zanadto, wówczas jest bardzo łatwy sposób którego powinnyby się nauczyć koniecznie nasze panie. To się bardzo szeroko praktykuje dzisiaj na wschodzie. Sam na sobie, niestety, doświadczyłem... Dość jest wbić

w ręce wyciągnięte, w twarz zbyt natrętnie śpieszącą ku pocałunkom, koniec strzykawki Prawatz'a, nacisnąć tłok ruchowy... W strzykawce jest płyn, znieczulający na chwilę...

— Cóż to za płyn znieczulający?

— Małoż to płynów znieczulających? Jakikolwiek.

— I wówczas na pierwszy znak, dany przez panią, wbiegną przyjaciele i wybawią panią od natarczywości natręta.

— To z jakiegoś romansu ordynarnego pisarza zjełczały pomysł. A gdybym ja tak o tym pańskim pomyśle zechciała powiedzieć komuś na zewnątrz, przypuśćmy: pierwszemu z brzegu komisarzowi policji?

— Komisarzowi policji? — cicho szydził Płaza-Spławski. — I cóż mu pani powie?

— Że pan jesteś właścicielem strzykawek, których jeszcze nie nauczyły się używać nasze damy...

— Strzykawek? Ja pani pokażę przyrząd, bo przecie to najniewinniejsza sztuczka, za której pomocą ja codziennie zastrzykuję sobie arszenik.

Wstał ze swego miejsca i wydobył z szuflad ohydnej komody małe niklowe pudełeczko. Otworzył i pokazywał Ewie szklany przyrząd z niklowym tłoczkiem i błyszczącą, platynową igłą.

— Widzi pani, jak to się naciska. Dawniej, we wspaniałem średniowieczu, kiedy jeszcze żył kult twardości i porywczości człowieka, kiedy nie byli jeszcze przywaleni zniewagami drapieżny mężczyzna i zmysłowa a piękna kobieta, — napaść męską trzeba było odpierać giętym, falistym sztyletem. Teraz takie narzędzia można widzieć tylko gdzieś w M u s e o n a z i o n a l e boskiej Florencji. Dziś, gdy świat jest wyszukanie moralny, trze-

ba się bronić w sposób wyszukany. Niech moralista biedzi się nad wyszukaniem dowodów odpierającego ciosu! Napastnik nie może wydać ani jednego okrzyku, nie wykona ani jednego ruchu. We wnętrznościach jego nie będzie śladu tak łatwej do wynalezienia „trucizny“. Nie będzie w ciele rany. To też nikt nie może udowodnić winy.

— Więc, — otwarte karty! Jeżeli nie spełnię, czego żądacie, to co mię czeka?

— Och, zaraz, dziecko, wszystko brać tak tragicznie!... — mówił Pochroń. — Widzisz, w jakiem jestem położeniu. Musimy dostać pieniędzy, musimy! Nawet, pod sekretem mówiąc, dłużej w tym Wiedniu nie można popasać. A Szczerbic ma bezużyteczne miliony! Sama mówisz, że go nienawidzisz, a on się w tobie kocha! Tak to świetnie się złożyło... Od twojej woli, od twojej łaski wszystko zależy. Wezwij Szczerbica! Będziesz się z nim bawiła, jeśli zechcesz, odtrącisz go, jeśli zechcesz. Nikt ci w tem nie przeszkodzi... — szepnął jej tuż nad uchem.

Ewa poczuła w piersiach brak tchu, w głowie radosny szum. Gorące marzenie, żeby ich wszystkich oszukać, oszukać tych wszystkich drabów i Szczerbica, — wyrwać się, wydobyć z matni... Mieć znowu pieniądze! Odebrać im podstępem pieniądze, które jej siłą wydarli!

— Cóż wy mi za to wszystko obiecujecie? — Ja mam dostarczyć wam setki tysięcy Szczerbica, a gdzie są moje własne pieniądze? Słuchaj ty, Pochroń, kolejowy bandyto, gdzie są moje własne pieniądze?

— Czy myślisz, że ja ci chcę skonfiskować Ewuś? Ja? Pomyśl tylko! Zobaczysz, ile ja ci w Ameryce oddam za te marne dwadzieścia tysięcy, — niech się tylko interes znowu zacznie!

— Znam ja już wasze interesy. Szanowny pan hrabia do świetnych doszedł kostyumów i do bajecznie egzotycznych bucików, prowadząc niezrównane azyatyckie manipulacye.

Płaza-Spławski patrzał na nią nieruchomemi oczyma. W pewnej chwili jego zdrowe oko przesunęło się, jak szyldwach, tam i z powrotem.

— Ewka! daj pokój, daj pokój... — zawołał Pochroń. — Czego drażnisz człowieka!

— Mam już was dosyć! Wy mnie drażnicie!

— Nie krzycz, bo tu za ścianą ludzie mieszkają, a ściany cienkie... — szepnął Pochroń, ściskając ją za rękę powyżej łokcia.

Dawno już nie widziała w jego twarzy takiego wyrazu. Obmierzły strach obleciał ją znowu, strach znieczulający, jak chloroform.

— Czy pani napisze do Szczerbica? — spytał Płaza krótko.

— Nie napiszę! — odrzekła w szaleństwie oporu.

— Trzeba koniecznie... — szepnął cicho, — nie może być inaczej.

Wstał zwolna, wydobył ze swej komody papier listowy, widocznie przygotowany, — arkusik angielski, nasycony zapachem perfum koniczyny, kopertę, markę, — przysunął pióro i atrament.

— Proszę napisać. My przeczytamy, i jeśli będzie dobrze, wyślemy.

— To wy macie chętkę przeczytać to, co napiszę do niego.

— Tak, my to przeczytamy. To dla nas nie list miłosny, lecz sprawa finansowa... — rzekł Pochroń, zamykając drzwi na klucz.

— Drzwi zamykasz, ty finansisto? — zaśmiała się dziko.

— Zamykam, dzieciątko moje.

— To dla nastraszenia mnie? Zamykaj drzwi, łotrze, włóczący się po świecie! Myślisz, że się przerażę i spełnię, co mi każesz?

Płaza-Spławski odsunął się pod okno, oparł plecami o róg szafy, — i skinął na Pochronia. Ten momentalnie chwycił Ewę za gardło i zdusił po swojemu. Pchnęła go pięścią gwałtownie, ale bezskutecznie. Zaczął ją prać po twarzy. Policzki strzelały głośno na cały pokój. Bił póty, aż ją zupełnie zamroczyło. Gdy wreszcie przestał, gdy ciemność w jej oczach poczęła rzednąć, — zapytał:

— Napiszesz?

Spojrzała na jego twarz. Nie mogła mówić. Skinęła przecząco głową. Płaza-Spławski stał skromnie pod oknem, poziewając nerwowo. Pochroń wymierzył jej cios w twarz tak mocny, że ciemność natychmiast wróciła. Jednocześnie chwycił ją za obadwa ramiona i począł trząść z wściekłością i taką siłą, że głowa jej latała bezwiednie wtył i naprzód.

— Pisz, ścierwo! Pisz natychmiast! Nie wyjdziesz żywa. Pisz, bo zabiję, — mówił z dzikim spokojem.

Puścił ją. Otrząsnęła się. Usiadła przy stoliku tuż pod oknem. Poczęła się w mózgu jakaś myśl, żeby na głowę skoczyć w to okno potworne. Ale przez ciemność, która ją jeszcze ogarniała, dostrzegła tam figurę Płazy-Spławskiego. Znowu ją Pochroń zacznie bić w twarz, w ogniem palący policzek! Ujęła w palce pióro i poczęła pisać w szale duszy. Czuła dziwnie, że ona jest szatan, a z ramion jej wyrastają dwa olbrzymie szatańskie skrzy-

dła, — Płaza i Pochroń. Skrzydła te wznoszą się nad jej ramionami, gdy pisze... Pisała szybko, niby dyktando:

— „Mój ukochany! Jestem w Wiedniu. Z radością, z uniesieniem myślałam o zobaczeniu go, nie uświadamiając sobie dlaczego. Od chwili, jak jestem tutaj, wiem dobrze, co to znaczy. Wszystko tu jest Tobą, marzeniem o Tobie. Od chwili przyjazdu wypełnia mię całą myśl o Tobie, o Twojej miłości, o wszystkiem, cośmy przeżyli. Jak cudowne są te wspomnienia! Jak niewymownie piękną byłaby rzeczywistość, gdyby można było zobaczyć się teraz, chodzić razem po kątach tego miasta! Jestem zachwycona Wiedniem. Od kilku lat nie widziałam tak pięknej zimy. Po nocach księżyc jaśnieje. Wczoraj byłam na wycieczce, niestety, w bardzo licznem towarzystwie. Jak mogłam, tak uciekałam od ludzi, aby iść tylko z Tobą, bo w ciszy zdawało mi się, że zbliżam się do Ciebie, że razem jesteśmy. Tam w Zgliszczach może ładnie, ale dla mnie czyż jest tam miejsce? Czy Cię kiedy jeszcze zobaczę? Czy nie przyjedziesz teraz do Wiednia za mojej tu bytności? Całuję Twoje usta najmilsze, jak te kwiaty wiosenne, które leżą przede mną które przyciskam do ust, do oczów. Kocham Twoją dusz najdroższą. Twoje oczy smutne...

Czy podobnaby było pogodzić się z myślą, że nie zobaczę Cię tak prędko? Najdroższy mój, przyjedź! Siżyś, Siżyś!... Zobaczysz, jak kocham Ciebie, jak strasznie tęsknię. Nie mam teraz zamiaru wyjeżdżać z W.. ale może nastąpić inna jaka ewentualność. Żyję wspomnieniem ostatniego widzenia się, tęsknię i marzę o nowem Proszę na wszystko, napisz zaraz (poste restante, moje imię), czy przyjedziesz zaraz, żebym nie czekała napróżno. Jasny mój, dobry, najmilszy, jedyny, —

jestem Twoja. Kiedyż znowu będziemy razem, jak w Paryżu? Pamiętasz? Ewa.

P. S. W tej chwili myślę, że gdybyś sprzedał wszystko, co tylko posiadasz, gdybyś pożyczył, czy inaczej, (Nicea), dużo, dużo, to moglibyśmy uciec stąd na zawsze i zakosztować innego jakiegoś życia. Żyć dla siebie gdzieś w Ameryce, dla siebie tylko. — Siżyś! Zbieraj, co tylko masz, i przyjeżdżaj, przyjeżdżaj! Czekam".

Napisała adres mieszkania, datę. Wówczas Pochroń wziął list z jej rąk, przeczytał go kilkakroć i oddał Płazie-Spławskiemu. Ten podsunął kopertę. Napisała adres dużemi, grubemi literami i patrzyła obojętnie, przyłożywszy szklankę do palącego policzka, jak Pochroń zaklejał kopertę i nalepiał markę pocztową.

Po chwili wyszła z nim.

Przesuwając się przez ciemny i wązki korytarzyk myślała, w jaki sposób dać znać Szczerbicowi, że na niego uknute zamach. Nic nie zrozumie. Otrzymawszy dwa sprzeczne listy, nic nie zrozumie i właśnie przyjedzie.

A jeśli on nie przyjedzie, to już niema ratunku. Zabiją jej duszę ci ludzie. Uczuła w piersiach żądzę widzenia Szczerbica i powzięła myśl:

— Ucieknę z nim, gdy przyjedzie, i zaraz go rzucę... Ucieknę z nim do kraju i tam go rzucę. Oni za mną do kraju nie przyjadą. Boją się wracać do kraju.

Coś, niby gorący powiew Warszawy, ucałowało jej twarz. Niby to daleki gwar rodzinnego miasta posłyszała za ramionami. W szlochaniu, rozrywającem dekę piersiową, słowa niezrozumiałe, dźwięki polskie.

Wyszła na ulicę spokojna już i cicha, pełna zwierzę-

cej roztropności. Pochroń szedł obok niej z elegancyą i wielkomiejskim szykiem. Uśmiech był w jego oczach i pensowych ustach. Gdy przeszli na Ryngi i mijali jedną z najwykwintniejszych restauracyi w śródmieściu, rzekł:

— Możebyśmy się napili po kieliszku wina, co, mała? Zmęczyłem cię, dziecino. Chcesz, Ewuś? Tokaju, co?

— Nie wiem, czy przełknę. Ścisnąłeś mi gardło. Jeszcze nie mogę dobrze oddychać.

— Bo zawsze z tym twoim uporem! Rozpieścili cię moi poprzednicy!... No, ale nie gniewa się już kociak, nie gniewa?

Uczuła radość, że już jej przebaczył. Ciepło w ramionach, szum w uszach... Spojrzała na niego oczyma, pełnemi gorzkich i gorących łez. Niepostrzeżenie ujął jej rękę i ścisnął ją w swojej ogromnej prawicy. Szept niewyraźny jego pięknych ust zapalił w jej żyłach ogień.

— A może od razu iść do domu? Co? Ewuś? Jakaś ty dziwna, mojaś ty! Nie, lepiej wypijmy po kieliszku wina. Nie rozumiesz tego, że przecie to dla naszego wspólnego dobra. Jeśli dobrze pójdzie sprawa z tym Szczerbicem, jeśli się dobrze spiszesz, to wiesz ty?! Ale jeśli dobrze wszystko według planu zrobisz... Wiesz ty, ptaku?!

— Co, o czem mówisz?

— Jeśli zapragniesz, ściągniemy ci tamtego twego faceta.

— Jakiegoż znowu faceta? — pytała, jak przez sen.

— Niepołomskiego.

— Niepołomskiego... A tak, takie nazwisko... Jakto ściągniecie?

— To samo napiszesz do niego, a my już w tem, żeby przyjechał na wskazane miejsce. Podetrzemy pod niego gdzieś ta na Cejlon, zatrzymamy się w jakim Bombayu...

— No i cóż z tego?

— Myślisz, że nie przyleci? Rzuci tę swoją spódnicę i na skrzydłach przyleci. A to samo chłop teraz z grubym pieniądzem... — szepnął głosem pełnym straszliwej zadumy.

Ewa poczuła w mózgu niepojęte, niewiarogodne wzruszenie. Miała złudę, że z głowy jej wyfrunął ponsowy motyl i, migając raz wraz skrzydłami, jął tańczyć w oczach... Jeszcze raz, jeszcze raz mignął... Znikł.. Pośpieszne dreszcze raz za razem siekły ciało lodowatymi rzemieniami.

Zygmunt Szczerbic chodził wielkimi krokami po dwu pokojach, stanowiących w Zgliszczach jego mieszkanie. Okna z tego mieszkania na piętrze pałacu wychodziły na park i ogrody. Wiosna owiała park. Wczesna kwietniowa pora spełniła już nad młodemi brzozami obrzęd obłóczyn. Stały lekkie i cudne w wonnych wiatrach, kołysząc się gibkiemi strzały pniów. Na tle ich listków, jakby na tle kotary ze złotogłowiu, świeciły żółtym połyskiem okrągłe kule nierozwiniętych liści klonowych, które dopiero co z czarnych prętów wytrysły. Rude jeszcze były akacye i czarne aleje lip. Młode sosny tryskały z za brzóz ciemną i potężną zielenią. W głębi, daleko, osobno rozpostarła się w przestworzu wierzba nadwodna. Olbrzymia, niby las, wybuchała, jak zwały jasnego dymu. Ciemna zasłona alei lip martwej i czar-

nej zdawała się po to tylko istnieć, żeby wierzba mogła ukazać wszystką moc swego uroku. Była też urocza, urocza nad wszelki wyraz... Wielki jej pień ssał wodę ze strumienia, przepływającego wskroś parku. Czarne gałęzie przeszywały wybujałe zwoje miękkich liści, pijąc mgły ranne i połykając deszcz wiosenny. Szczerbic zanurzył oczy, duszę i niemal usta w ten widok rodzinny. Nawinęła mu się na wargi piosenka owa nieszczęśliwej:

Sing willow, willow, willow...
Sing all a green willow must be my garland...

Wpobliżu stał sad. Pnie wybielone wapnem dźwigały się z miękkiej, zoranej i spulchnionej ziemi. Na prawo w górę biegła ulica czereśniowa. Stare drzewa o rozsadzistych pniach, o szerokich koronach kwitły przedwcześnie. Pręty były osypane mleczem kwiatu tak szczelnie, że stanowiły obłe mufki kwiatowe. Zapach przesycał powietrze. Wśród czereśni, w białej ich nawie, niewysłowionego pełnej powabu, huczały pszczoły. Ostatnie promienie słońca, promienie gorące i pełne ognia, poganiały pszczelną pracę. Słychać było nieprzerwany ton tej muzyki, wzruszającej serce do wydawania najtajniejszych uczuć.

Szczerbic chodził po swych pokojach, szarpał się w sobie i decydował. Dnia tego otrzymał list Ewy. Skoro go tylko przebiegł oczyma, zdecydowany był wszystko sprzedać, zastawić, odstąpić i lecieć na jej rozkazy. Już dzień cały przeżył z tym listem. Chwilami napadał go omam, że to jest sen. Skądże przyszła ta rzeczywistość? Skąd ta zmiana, straszna w swojej rozkoszy? Tu, do tych pokojów, gdzie w próżniactwie, odosobnieniu i przy ic[illegible] prześnił zimę, myśląc o Ewie dzień [illegible], zjawił się list ów, jakby ona sama, uchyliwszy

drzwi, zajrzała. Wraz z rozkoszą wiosny przyszła, jak w Paryżu przychodzić zwykła... Och rzucić już ten dom tęskny, te drzewa, kołyszące się, jak łan olbrzymi! Tam, w dole, strumień... Ciche łąki, — za parkiem wzgórza leśne i okrągłe pagórki roli... Daleko w lesie granatowym szlaki brzóz... W lesie tym gliniaste parowy, zapadłe odludzia, szczeliny w głębi gleby, wysłane suchymi liśćmi buków i dębu, ciemne, o skarpach z iłu łożyska... Ileż to razy brnął tam późną jesienią i w zimie śnić, że idzie nie sam, lecz z Ewą, wybierać miejsca, gdzieby mógł być z nią, umieszczać ją w najcudniejszych samotniach... Toczył tam rozmowy szczęśliwe, bawił się z nią i cieszył jej widziadłem. Ileż to razy patrzył ze swych okien w ten obraz! Obraz ten, to wizerunek tego, co w duszy cierpiało dla Ewy. Ileż to razy mówił oczyma ukochanej wierzbie wyrzut dziecinny, a bolesny nad wyraz, że nigdy jej nie ujrzą oczy Ewy. Nigdy nie będzie miał prawa pokazać jej ze swych okien tego drzewa... Tak, nigdy. A oto teraz to nieme drzewo rzekło do niego: — więc idź!

Zostać tu w próżniactwie wiejskiem, w napoły zwierzęcem pożeraniu owoców pracy całej czeredy ludzkiej? Pędzić dni wśród nędznych plotek, wśród maltretowania wszelkiego stopnia parobków, wśród pogardzania wszystkiem, co jest dokoła, wśród jedzenia i picia, jako zajęć jedynych szlachcica polskiego?...

Lecz oto zalśniły lekkie liście, a ich zakołysanie wydało znak: — nie chodź! Zostań tu, gdzie pielęgnowałeś o zmroku smutek. Będziemy z tobą w szelestach naszych powtarzać i pielęgnować żal twego serca, będziemy w cieniach uroczych, pod modremi skrzydły gałęzi chować, jak skarb, twoją tęsknotę. Wszystko, co nam po-

wierzysz z sekretu duszy, zostanie jej dochowane. Zostanie na wieki, bo drzewa pamiętają wszystko... I jeszcze znak: — nie chodź! Nie szukaj samego szczęścia i nie bierz go rękoma. Nie patrz na szczęście pod światło!

Jakoweś czujne nasłuchiwanie imało się duszy. Ogarniało go coraz silniej, coraz mocniej. Jeszcze chwila i usłyszy w syku i lekkim poświście wieszczący głos. Zbierał swe myśli, pakował wszystkie kombinacye życiowe jakby do próżnej walizki. A jednocześnie słuchał i słuchał... Otworzył okno. Cichy wieczór. Przejrzyste niebo. Miękkie, wilgotne obłoki tak harmonijnie złączone z nawałą młodziutkich liści. Serce dziwnie drgnęło w piersiach. Znowu ów tkliwy poszum brzóz, wilgotny poświst sosen...

Szczerbic wyszedł z mieszkania, minął dziedziniec brukowy i kroczył olbrzymią lipową aleją, prowadzącą ku traktowi publicznemu. Niejasne, niedające się chwycić wolą uczucie, uczucie bolesne, straszne a wszechmocne w swojej rozkoszy rozpychało piersi. Rozpiął surdut, kamizelkę i szedł naprzód, naprzód... Przymykał oczy, gdyż zdawało mu się, że Ewa siedzi pod jednem z tych drzew, że jest w tej alei płacząc cicho... Łzy płyną z najdroższych jej oczu, łzy spadają na jego serce i przeszywają je igłą boleści... Obejrzał się z przedziwnem uczuciem. Obejrzał się na wsze strony. Czuł, że musi walczyć. Strach niepojęty! Mrok z pól... Szelest liści...

Wyciągnął w przestwór ramiona...

Po bezsennej nocy w wagonie, podekscytowany, z twarzą piekącą od świeżego umycia w hotelu, pełen nie-

pohamowanej ekstazy wewnętrznej, Szczerbic wynalazł już po przybyciu do Wiednia ulicę Ewy i widział na własne oczy dom, w którym mieszkała. Była to ulica mało uczęszczana, (choć sąsiadująca z Ringami), poboczna, szczelnie zasłonięta przez budowle o wielu piętrach, ciemna i cicha. U jej wylotu na dosyć obszerny plac, z którego widać było św. Szczepana iglicę o kolorze pajęczyny, — budowano dwa wielkie domu. Rusztowanie zajmowało w tem miejscu obadwa chodniki. Chcąc te budowle wyminąć, trzeba było chodzić po zdeptanych deskach, otaczających parkan.

Do jednego z tych parkanów Szczerbic docierał stale, defilując po ulicy. Była dlań dziwna, gwałtowna, niewysłowiona poezya w zgłębianiu tej ulicy, gdzie mieszkała Ewa. Wpatrywał się w domy, jak w żywe twory przyrody. Jakże były dlań niewysłowione oblicza tych murów, które widywał w ciemnych swoich snach! Miał w kieszeni napisany i zaadresowany list, ale go jeszcze nie mógł oddać ekspresowi... (Nie do zniesienia była tęsknota, nie do wytrzymania furya wewnętrzna, ale były to zjawiska już poznane). A jeśli posłaniec przyniesie odpowiedź, że Ewy niema, że wyjechała, że umarła?.. Wrócić do stanu wygnańca w Zgliszczach, do nicości i łaknienia duszy na puszczy tęsknoty, wrócić do beznadziei, stać się znowu skazańcem odtrącenia, czekać znowu na chwilę miłosierdzia, — co minuta go wyczekiwać, a nie usłyszeć nigdy! Och, lepiej chodzić tam i z powrotem, tam i z powrotem po tej ciemnej, dalekiej mistycznej ulicy... Mijają ludzie nieznani, ludzie obcy... Oczy wpatrują się w każda twarz, podczas gdy wzburzone serce wie dobrze, że ta twarz, — to nie czarujące lica Ewy. Mijając jej bramę, spoglądał chyłkiem w podwórze.

W głębi były oszklone drzwi, prowadzące na piętra. Tam na tych piętrach wysoko... mieszka Ewa...

Wejść! Zadzwonić! A jeśli niema, jeśli niema? Jeśli umarła? Jakże wrócić? Tam, w Zgliszczach mógłby był trwać jeszcze w swym celibacie, w swem znieczuleniu na wszystko... Teraz tamto zostało zburzone. Trucizna sączy się w rozdętych żyłach, dusza gore piekielnym ogniem. Wrócić do nędzy w Zgliszczach? Nie zobaczyć Ewy? Nie zobaczyć?

Przymykał rozpalone oczy, zaciskał wargi i szedł po tej ulicy tam i nazad, tam i nazad... W ogniu źrenic widział ją, senne marzenie... O, czarująca! Szary płaszczyk, szary irys w ręku, ledwie rozkwitła róża przypięta do piersi. Ujrzeć ją jeszcze! Tylko ujrzeć! Paść oczyma u jej stóp i wznieść się jak dym na jej cześć! Westchnąć, objąwszy wzrokiem jej postać, zamknąć rozżarzone oczy! Pojąć ją, pochłonąć znowu wszystkiem jestestwem!

W pewnej chwili dał sobie do rozwiązania tezę: byt nasz — to sen. Alboż nie snem jest ów przemarsz po chodniku tajemniczej ulicy? Myśli wzbiły się nad powierzchnię rzeczywistości i utonęły w niezwykłem dociekaniu. Myślenie stało się błędne, ale chyże, jak pęd skrzydeł jaskółki nad toniami ciemnego jeziora. Jeżeli kiedy musnęło powierzchnię rzeczywistości, to poto tylko, żeby jeszcze bardziej błędnie i niedościgle szybować! Azali cielesną żądzą jest miłość? Czyż nie pragnę tyl[illegible] ślubin jej duszy z moją?

Ob[illegible] rusztowania, otaczającego nową budowlę, mieśc[illegible] podrzędny szynk. Stawali tam ubodzy ludzie, robotnicy, w[illegible] ele dziurawych butów, posłańcy.

Gawędzili głośno, wstępując w progi spelunki. W ich tłumie Szczerbic, jak we śnie, dostrzegł ekspresa. Przycisnął natychmiast ręką bijące serce, wydobył zesztywniałymi palcami list — i pokazał go posłańcowi. Ten obtarł wąsiska po piwie i, odczytawszy adres tak blizki, słuchał uważnie wskazówek, że ma list oddać według adresu i przynieść odpowiedź tutaj właśnie na róg ulicy. Wnet pobiegł cwałem.

Szczerbic zatrzymał się teraz i czekał z zimnym spokojem. Posłaniec długo nie wracał. Uczucia, myśli, pragnienia, wszystka wola, — była teraz ogłuszona od nagłego ciosu. Wrzały w głębi i czaiły się w swych kryjówkach.

Nareszcie ów człowiek wrócił. Miał w ręku bilet, szary, kratkowany sekretnik. Szczerbic zobaczył ten kolor zdaleka i powitał barwę zdaleka... Szary kolor... Spokojnie zapłacił nader grube wynagrodzenie i spokojnie oddarł karbowany brzeg papieru. Przeczytał bez żadnego zgoła uczucia:

„Dobrze. O godzinie jedenastej u mnie“.

Była dziesiąta rano. Miał sporo czasu. Poszedł przed siebie. Błądził po rozmaitych zaułkach Wiednia. Nic teraz nie wiedział. Jakiś werset Nietzschego: „Najnielitościwiej dręczą nas i zginają niewidzialne ręce...“ Jedno jedyne pewne, — to nazwa ulicy, numer domu i numer mieszkania. Reszta, — to nicość, martwa i potworna zgnilizna.

Kwadranse wlokły się opieszale...

Gdy wreszcie umieszczony w pewnym gmachu zegar miał wybić jedenastą, Szczerbic poszedł w swą ulicę. Nic już nie widział i nie słyszał. Jednym tchem wbiegł na schody. Mijał piętra. Jakże płonącem sercem, jak

gwałtownemi oczami poznał, pokochał i pochłonął duszą te schody! - Napisy na drzwiach, kształty okien, barwa stopni, skręty poręczy... Stanąwszy przed drzwiami, zatrzymał się i marzył. Złudzenie niosło go, jak gdyby przez zgliszczański park. Szum drzew w sercu...

Nacisnął guzik dzwonka i słuchał jego drżenia. Uśmiech potworny rozwarł mu wargi i szept oszalały kołysał się na nich. — Toż to ja do Ewy dzwonię....

Posłyszał kroki — i poznał, że to ona idzie do drzwi. Krótki zgrzyt... Zobaczył ją. Cofnęła się szybko z przedpokoju do saloniku na prawo. Opuściła go nareszcie furya niepokoju. Szedł za nią w weselu, tylko w weselu, w jakowymś śpiewie ciała. Zamknął za sobą drzwi i podniósł oczy. Stała w głębi pokoju i przypatrywała mu się czujnemi oczyma. Szczęście jego natychmiast potknęło się o ten wzrok. Wnet wszakże przemógł się i zbliżył. Widział, że usta jej są w pewien, przedziwnie okrutny, sposób zaciśnięte, z oczu nieprzebłagany wyraz zionie, ale nie mógł powstrzymać szaleństwa. Nie wiedział wcale o tem, że podnosi ręce, że ją niemi otoczył, przygarnął do swego serca, że usta swe, palące się od ognia, zatopił w jej ustach. Oddała mu pocałunek zimnemi wargami. Żałosne jej oczy, niepojęte, zdumione i wysłane dokądś w przestwory wciąż weń patrzały. Nie mógł mówić. Bełkotał tylko, jak niemowa, wargowe sylaby. Przemknęło jedno zaledwie poślizgnięcie czasu, — a oto utracił już uczucie szczęścia z racyi ujrzenia Ewy. Przeciwnie, — staczał się w przepaść rozpaczy z tego powodu, że była tak zimna, że miała usta tak nieczułe, a oczy takiego pełne mroku. Nie broniła mu, gdy ukląkł przy jej nogach i gdy kładł usta na piersiach, a przecież wciąż czuł się pokrzywdzonym. Coś zaczęła

mówić. Długo te wyrazy szarpały się z jej piersi. Nareszcie:

— Byłeś mi wierny?

— Tak. Byłem ci wierny.

— A jesteś jeszcze?

— Jestem.

— Pojedziemy do Ameryki?

— Dlaczegóż do Ameryki?

— Bo tu nie chcę.

— Dobrze. Gdzie zechcesz, gdzie każesz.

— A masz dużo pieniędzy?

— Mam ze sobą wszystko, co posiadam.

— Jakto?

— Zrobiłem z braćmi taką umowę, ustąpiłem im bez zysku dla siebie, — no, ze stratami, — udział w majątku, w fabryce, w naszym domu komisowym...

— Więc ile możesz mieć wszystkiego?

— Ewo, czemu o tem teraz chcesz mówić?

— Muszę teraz o tem mówić...

— Dlaczegóż musisz?

— Bo teraz całe życie mam ci oddać. Całe życie... Mam ci oddać całe życie...

— Jeżeli chcesz wiedzieć, to tak... Mam kilkakroć sto tysięcy rubli. Trudno mi zliczyć dokładnie, bo to bracia przekażą na banki. Dowiem się dokładnie w naszym banku.

— Zmień to wszystko na gotówkę. Czy to można? I jedźmy jutro, pojutrze... Dobrze?

— Och, dobrze! Ale czemu wszystko na gotówkę?

— Chcę koniecznie. Muszę te pieniądze mieć w r...

— To niebezpiecznie...

— Wszystko jedno, ja muszę. Boję się, że mię porzucisz, jak tamten. Was trzeba siłą trzymać.

— Mnie siłą nie potrzebujesz. Tamtego kochasz jeszcze? — spytał, wstając z ziemi i wdzierając się na nią, sięgając do ust i patrząc w oczy.

— Nie! — krzyknęła boleśnie. — Już go nie kocham! Słyszysz? Słyszysz, co mówię? Słyszysz? Podłego, co mię porzucił i zepchnął w przepaść! Nie, nie kocham! Zapomniałam nareszcie tego szelmę, co mię wydarł ze świata, od mego ojca... Ciebie kocham... — szepnęła.

Oczy jej stały się dzikie i jakby ślepe. Drżała całem ciałem. Łkanie głuche przebiegło w śmiech.

Szczerbic rozglądał się po mieszkaniu. Zgadła jego zamiary i zaprzeczyła ruchem głowy. Była blada. Oczy miała zamknięte, usta zsiniałe. Cichaczem szeptała:

— Dam ci znać, kiedy masz przyjść. Na całą... noc... Chcę, żebyśmy nareszcie... bez tych... ubrań...

— Ewo! Ewo!

Zbliżył usta do jej ust i poił się rozkoszą jej oddechu, szałem zatapiania źrenic w jej oczy... Rozpalił nareszcie jej usta, wydobył na policzki krwawy rumieniec. W pewnej chwili, odchyliwszy głowę, spojrzał i przeraził się, gdy spostrzegł jej straszny uśmiech. Chciał zapytać, skąd to potworne widmo na jej wargach, ale uśmiech znikł. Spytała niespodziewanie:

— To ty przestrzeliłeś Niepołomskiego, prawda?

— Ewuniu!

— Powiedz, wszak to ty go przestrzeliłeś!.. O tu. Ja znam dobrze to miejsce: głęboka, sina blizna, jakby dwie wargi stulone maleńkich, dziecięcych usteczek. Ja znam... Słuchaj! Na mych piersiach tak samo, jak on. Chcesz?

— Ewo!

— Nie! Wtedy dopiero... w nocy... Napiszę.

— Napiszesz?

— Chociaż... dlaczego i poco mam pisać — cicho znienacka jęknęła. Nie umiem zdać sobie sprawy z tego, czy mam napisać, czy nie. Myśl o tobie jest we mnie jeszcze silniejsza, niż dotychczas. Ale przecie szaleństwem jest żyć tak, jak ja żyję. Wszystko jest sprzecznością, zabijaniem własnego ja. Żyję po to tylko chyba, żeby w pełni zaznać, czem jest brutalność i trąd życia.

— Co ty mówisz? Nic nie rozumiem, co ty mówisz?

— Dawniej pragnęłam być człowiekiem, a teraz już z tego drwię. Chcę właśnie wyrzucić poza siebie to wszystko, co było zadatkiem na człowieka, by mieć tem drastyczniejszy obraz istoty życia. Wszystko jest wstrętne i podłe, skoro może istnieć taki ból, jaki już widziałam. Żyję tylko wspomnieniem tego i nie mam już ani chwili zapomnienia.

— A żebyś ty mi chciała wytłómaczyć, co to znaczy! Gdybyś mi tylko zechciała powiedzieć prawdę. Jabym ci wszystko wytłómaczył...

— Niema na ziemi nic „pięknego“, nic „szlachetnego“. Wstrętną i cuchnącą od brudu jest ludzkość. Niema żadnych wzniosłych „dążeń“, niema nawet pustki, bo jest na miejscu pustki zło bezgraniczne i chaos.

— I ty to mówisz, która sama jesteś dobrem, prostotą i porządkiem. W tobie wszystko jest ścisłe, dokładne, dociągnięte i dostrojone. Bóg mieszka w twem kobiecem sercu. Niebiosa są w twoich łaskawych oczach. To we mnie tylko wszystko jest łamkie, sypkie, lecące za wiatrem...

Ewa nie słuchała. Jej rozpalone oczy patrzyły w kąt

pokoju. Przez chwilę Szczerbic sądził, że dostała pomieszania zmysłów. Mówiła nie do siebie, mówiła do Szczerbica, ale mówiła dla samej siebie:

— Żyć można, jak komu wygodniej. Można być nieuczciwym, można być nizkim, można być wszystkiem, czem kto chce, byleby znaleźć chwile i godziny zapomnienia. Nie myśleć i nie cierpieć! Cały bowiem tragizm jest w tych wyrazach Poza nimi wszystko jest dozwolone. Wiem, że tak mówić może tylko człowiek lichy, ale ja właśnie chcę być taką. Wszystko jedno, — byleby tylko uniknąć męczarni. To jedno, że się sobie nie wydziera nędznego życia, jest już wyrokiem. Ale... wszystko jedno...

Szczerbic słuchał, klęcząc u jej nóg. Głowę swoją podparł jej dłonią i nic innego nie czuł, prócz nieskończenie rozkosznego pragnienia, żeby posiąść tę cudną dziewczynę. Gdy siedziała nieco pochylona, w zapomnieniu o sobie, linia jej piersi cudownie zatoczona nad linią łona, jak w posągu Afrodyty z Knidos, stała się obrazem najwyższej piękności.

— Niema pojęć — lepszy — gorszy — bo wszystko jest bezwzględnie złe, a nadto wszystko jest bez wartości. No, — a ja będę żyła dalej. Dlatego się, mój panie, nie umiera czystą, żeby kiedyś zdechnąć brudną. Nieść przez całe życie ohydę, „przystosowywać się do okoliczności“ w miarę zagłuszenia tego, co chciało żyć.

— Posłuchaj mię... Czy tu niema fortepianu? Zagrałbym... dla ciebie Griega. Pamiętasz naszego Griega?

— Niema tu nic... Gdybym mogła, stworzyłabym wielkie dzieło: hymn na chwałę złego i nieszczęścia. Umarłabym wówczas spokojnie, gdybym mogła wyrazić cały ból i grozę życia. Słyszysz: — grozę życia. Oprócz

mnie jednej nikt tego stworzyć nie potrafi, a ja nie mogę. Jestem głupia, pospolita jędza. Któż zdoła stworzyć obraz złego, któreby było tak potężne, jak jest zło samo? Nikt!

— Słuchaj, Jasna! Pojedziemy do Ameryki, na półwysep Florydę, w lesiste puszcze Newady, albo Montany, w płaszczyzny Texasu, albo w doliny Missisipi. Stworzymy sobie świat, jak z baśni Chateaubrianda. Jeżeli zechcesz, jeżeli każesz, załóżę w stanie Dakota wielką fermę przemysłową, jedno z dziwowisk i monstrów życia nowoczesnego. Zrobimy szybko olbrzymi majątek. Dawno to postanowiłem. Tu cię w Europie nie mogę pojąć za żonę, lecz tam... Tam będziemy żyć, jak wolni ludzie, — nie! — jak królewska para, bo tylko w Ameryce są jeszcze królowie...

— Dobrze, dobrze... Ale czy ty wiesz, marzycielu, że ja mam narzeczonego?

Szczerbic siedział w tej samej pozie, bez ruchu, jakby nie słyszał, co rzekła. Po chwili spytał:

— Narzeczonego? Któż to ma być? Kto to taki?

— Brunecik, młody, ładny. O, ładniejszy od ciebie!

— I kochasz go?

— No, tak.

— A mówiłaś, że mnie kochasz?

— I ciebie kocham.

— A on, powiedz, całował cię?

— Tak.

— A on, powiedz-że posiadał cię?

— Tak.

— Więc nie dotrzymałaś tego słowa, cośmy w Paryżu?...

— Nie dotrzymałam.

Załamał ręce, nagle się zachłysnął i, jak dziecko, lękające się tyrańskich razów, pytał jeszcze:

— Cóż teraz ze mną będzie?

Blady uśmieszek i obojętne słowo:

— Wkrótce będzie nasz ślub.

— „Nasz ślub!“

— No, mój ślub z nim.

— Więc nie pojedziesz ze mną do Ameryki?

— Do Ameryki! Skądże znowu taki pomysł... Muszę przecie wszystko rozważyć, roztrząsnąć...

Poprawiła się na swem krześle i zwróciła na Szczerbica oczy uprzejme, jakby obydwoje byli na raucie i prowadzili miły, flirtowy dyalog. On siedział wciąż na ziemi przytłuczony razami słów.

Mówiła kokieteryjnie, ze skromnością spuszczając oczy:

— Ile razy narzeczony... opierał się na mnie, wierz mi, zawsze myślałam o tobie.

— Po cóż kazałaś mi tu przyjechać? Dlaczego przysłałaś taki list? Czemu mię wyrwałeś ze Zgliszcz, żeby mi to powiedzieć?... — pytał w szaleństwie rozpaczy. — Powiedz, czemużeś to zrobiła?

Z prostotą:

— Nie wiem.

— Któż to jest ów człowiek?

— Po co ta wiadomość?

— Mów-że!

— To jest pewien... przedsiębiorca, współwłaściciel kopalń złota w jakiemś Klondycke. Ja właśnie mam jechać do Ameryki, ale z nim. Więc czegóż ty chcesz ode mnie i dręczysz mię. Przecie z dwoma naraz nie mogę jechać do Ameryki.

— Powiedz mi przynajmniej, co ja mam teraz zrobić. Czy mam cię opuścić i wracać do Warszawy?

— Ach, ja takich rzeczy nie wiem!

— A czego ty chcesz? Czegobyś ty pragnęła? Ja zrobię wszystko, co mi każesz zrobić.

— Kiedy ty jesteś słaby człowiek. Hrabia - muzyk. Ty nic nie możesz zrobić. Nic. Gdyby ci odebrać pieniądze, to cóżbyś ty robił nieszczęśliwy? Wyrzuciliby cię zaraz z pierwszorzędnego hotelu na ulicę i tybyś na ulicy umarł szlachetnie z głodu. Chwalisz się, że zrobiłbyś majątek, ale przecie sam wspomniałeś przed chwilą, że jesteś słaby, lecący za wiatrem. Twój największy czyn, — to gdy odbędziesz podróż do Nicei, albo na karnawał do Rzymu... Prawda? Mężny jest ten, kogo niepodobna zniszczyć, który po stokroć wstanie z ziemi i wydławi, wydusi wrogów. Silnym jest ten, kto może być zwyciężonym dopiero przez śmierć, lecz nie przez żyjących ludzi. Takiego trzeba zabić, żeby go zwyciężyć, gdyż dopóki żyje, — z nim jest zwycięstwo nad ludźmi...

— Cóż ja pocznę nieszczęśliwy?.. Twój narzeczony to taki właśnie człowiek niezwyciężony?

— Ty jesteś najmilszy mój komtuś Siżyś... Czy wolno mi będzie pocałować twe czoło, zawierające niedołężne myśli, twoje śliczne włosy tak starannie rozczesane, twój przecudny wygonik między śmiesznie zsuniętemi brwiami, gdzie właśnie przebywa czysto polska bezmyślność? Będę cię zawsze, zawsze kochała... Tyś mię jeden zrozumiał...

—Gdybym mógł, gdybym cię mógł zrozumieć! Zabiłaś mię! Postąpiłaś z moją duszą, jak owi straszliwi żydzi z ciałem świętego Szczepana: ukamienowałaś ją! Już nie wstanę z pod tych kamieni.

Nie podniosła zwieszonej głowy.

Rozpacz nieuciszona, nie znajdująca ujścia, rozpacz ciskająca człowiekiem jak sprzętem, pchnęła go z miejsca.

— Już pójdę! — jęknął z nagłym wybuchem, wstając z klęczek.

Spojrzała nań leniwie, leniwie... Nie powstrzymała go. Wolno poszedł ku drzwiom, zamknął je za sobą i zmierzał w czeluść schodów. Doznał wrażenia, że spadnie w przepaść, spadnie... w przepaść... głową nadół... Czuł we wzroku jej nieszczęście. Myślało mu się, że należałoby udać się wprost na dworzec północny i wrócić niezwłocznie do kraju. Tak nakazywała duma i nakazywał rozum. Mówił do siebie z wydętemi wargami, że duma nakazuje odejść. Rywalizować z jakimś drabem? Do dyabła! Dopóki była cudną zagadką, istotą, która przestała kochać tamtego, czystą ciałem a zaślubioną z ducha... Dopóki była kwiatem gorzkiego migdału... Dopóki była... Tam, w Paryżu... Narzeczony! Śmiech szyderczy wyleciał z piersi. Natychmiast wyjechać! Tak też uczyni. Bez zawiadomienia! Niech pożałuje ta donna, no, i niech się trzyma swego narzeczonego. Rywalizować z jakimś drabem? Rywalizować? Ruszył żywo na dół... i nagle na zakręcie schodów zatoczył się, jak pijany... Zapach jej perfum musnął nozdrza... Szczerbic marzył przez sekundę, żeby roztrzaskać głowę o mur, albo skoczyć, och, skoczyć z wysokości schodów i połamać nogi, potrzaskać ręce, zmiażdżyć czaszkę. Niechżeby wyszła z wysokiej swojej komnaty, niechżeby zobaczyła, niechżeby oczy jej niebieskie... Wtedy ostatnim tchem rzucić jej to słowo, to straszne słowo!..

W ciągu trzech tygodni pobytu w Wiedniu Zygmunt Szczerbic przeżył piekło cierpień i radości. (a raczej uciech). Ewę widywał rzadko. Za drugiem widzeniem się, (na ulicy, w bramie jakiegoś domu), oświadczyła mu, że będą mogli być razem, ale dopiero w dniu jego wyjazdu. Wtedy także dowiedział się o swoim losie, to znaczy, że ona ani myśli jechać z nim w świat, lecz, że wyjdzie zamąż za owego niewiadomego człowieka, zwanego w rozmowach „narzeczonym". Szczerbic popadł w szaleństwo miłosne. Kiedy we trzy dni po tem spotkaniu na ulicy dostał pozwolenie przyjścia do mieszkania Ewy po raz drugi, zastał ją w łóżku. Była chora. To, o czem marzył, za czem szalał, co stanowiło raj rojeń, stało się jego udziałem. Posiadał ją, pieścił bezbronną, obojętną, dziwaczną w tem oddaniu się bez protestu, bez rozkoszy, niemal bez pocałunku, w biernej, pospolitej uciesze zmysłów. Wyszedł stamtąd uszczęśliwiony, ale jakby obdarty z uczuć, żałujący skrycie tęsknot i udręczeń. Znowu cztery dni spędził w hotelu i w samotnych spacerach po salach olbrzymiego muzeum. Spędzał godziny, siedząc z oczyma wlepionemi w jakiś portret Filipa IV, malowany przez Velasquez'a, w posąg Nike Samotrackiej, albo w twarz Izydy w płaszczu z czarnego marmuru... Czekał na następne spotkanie, które miało nastąpić u niego w hotelu. Zrazu nie myślał wcale o tej rozkoszy i miał wrażenie, jakby jej zgoła nie pragnął. Ale w miarę jak się chwila zbliżać poczęła, popadł w szał tęsknoty, w szał pełen boleści, trwogi, panicznej furyi, żeby te chwile, które przyjść miały, nie ominęły jego doli. Rozkosz nadciągała, jak hucząca burza, która wynurza się z niewiadomości nocnej. Wzdy-

chanie, żeby biegła coraz bardziej chyżo... Nazewnątrz siebie był obojętny, ale daremnie dusił ohydne wrzenie potęgi, mocniejszej niż rozum, niż wola, niż honor, niż nałogi, niż wszystko, z czego składała się istota duszy. W dniu oznaczonym rano spotkał go cios. Otrzymał karteczkę z napisem:

„Wolałabym tam nie przychodzić. Jestem chora. Mogę być u siebie w domu od godziny 4-ej do 6-ej. Proszę odpowiedzieć, czy mam czekać u siebie“.

Napisał natychmiast list błagalny, podły od uniżonych skamłań, wynurzający wszystko, wszystko do ostateczności. Pisał go jednym tchem, gadając wyrazy głośno, gdy je kreślił drżącą ręką. Pulsy wówczas łomotały w skroniach, pot zlewał czoło. Wkrótce posłaniec przyniósł mu odpowiedź:

„Dobrze. Przyjdę“.

Fala spłynęła na głowę, cisza i obojętność na serce. Znużenie... W godzinie oznaczonej czekał, biegając z kąta w kąt pokoju. Był ślepy, ogłuchły, szalony.

W parę minut po oznaczonym terminie weszła. I tego dnia była obojętna. Ani cienia zapachu duszy, który taką rozkoszą, taką poezyą, taką miłością nasycił go w Paryżu. Wzrok głuchy.. Oczy nie mogą go przebić. Uśmiech zamurowany, jak zaklęta królewna, na której zbudzenie słowa tworzącego niema. Była dlań dobra, litościwa, dziwacznie, sennie posłuszna jego cielesnym marzeniom. Czując potęgę piękności swego nagiego ciała, pierwszy raz może w życiu puściła wodze rozkoszy rozpasania zmysłów i pozwoliła korzystać z jego łask. Niektóre jej mrukliwe, krótkie życzenia doprowadziły go niemal do śmierci. Tych kilka godzin, —

był to zenit jego życia. Teraz dopiero poznał jego piękncść...

Następnych kilka dni spędził, jak dawniej. Błąkał się w salach dolnych muzeum, w zbrojowni i wśród rzeźb greckich. Żył życiem nigdy mu dawniej nieznanem. Mógłby pozostawać sam jeden na puszczy i wystarczyłby sobie. Myślał wciąż o Ewie i żył w tęsknocie za nią. Wspomnienie czarodziejskich godzin było dlań światem. Miał ją zobaczyć w jej mieszkaniu rano, o godzinie jedenastej. Powiedziała mu była, że „narzeczony" wyjechał — i nie było już o nim mowy. Były nawet chwile, że miał za myt owego człowieka, za próbę, jakiej go poddała, żeby doświadczyć...

Stęskniony, z głową pełną widzeń, rozsnutych na wspomnieniach, szedł do niej w dniu naznaczonym. Był nieprzytomny, jak zawsze w takich chwilach. Wszedł na schody, nie wiedząc, kiedy się to stało. Pragnął usłyszeć znajomy głos dzwonka i poczuć jej rękę w swojej. Ujrzeć mrok przedpokoju i mleczne szyby drzwi na prawo... Nareszcie usłyszał głos dzwonka... Zaledwie ten dźwięk zadrżał, wybiegła na schody. Miała na ramionach ponsowy szal. Sama była oblana rumieńcem.

— Nie mogę teraz! Nie mogę! — rzekła kategorycznie.

— Dlaczego?

— Nie mogę! Muszę już iść, wracać! Muszę!

— Kiedy?

— Nie wiem. Nie wiem. Muszę wracać! Muszę iść, muszę tam iść!

Odwróciła się i zatrzasnęła drzwi. Przez chwilę śnił, że już dawno rzucił się na te drzwi, że już je wywalił, wyrwał z zawias, strzaskał — i stoi na progu.

gdzie tamten jest z nią. Oczywiście, poszedł na dół. Uczuł w sobie dźwiganie się nieszczęścia. Teraz już nie rozpaczał, tylko szarpał się, wbijał w dłonie paznogcie, ciskał ohydne zniewagi. W pewnych momentach rozważał. Dobił się rozważeniem pewnika, który był już widział za pośrednictwem wyobraźni, że tam, za temi drzwiami był „narzeczony". Wówczas zaczęło się wyciąganie logicznych wniosków. Przedewszystkiem kupił b r o w n i n g, nabił go i miał wciąż w kieszeni, licho wie po co. Następnie począł wymieniać wszystko na gotówkę. Postanowił kupić tę kobietę za pieniądze, wydrzeć ją, zabrać, czy raz nareszcie zabić. Nic nie wiedział. Kiedyniekiedy błyskała myśl, żeby rzucić się w szalone orgie i w nich zagrzebać o Ewie pamięć. Ale nie mógł. Kiedy wieczorem tego dnia zbliżył się u Ronachera do wykwintnej kamelii, wybuchło w nim natychmiast uczucie, że, gdyby, z nią poszedł, to mógłby tamże odebrać sobie życie. Całą noc przepędził wśród złowieszczych furyi. Z wieczora napisał list, list bezlitosny, obrażający, poniewierczy, a zarazem, znowu upadły, nizki, pełen błagania. Nazajutrz obudził się zapóźno, żeby ten list mógł ją zastać w łóżku. Nieumyty pobiegł na miasto i wysłał list przez ekspresa. Ale ten wkrótce wrócił z wiadomością, że pani wyszła już z domu. Szczerbic pomyślał natychmiast, że ona jest w domu, tylko listu przyjąć nie chciała. Myśl ta, to krwawe, wewnętrzne szlochanie wlokło się z nim z ulicy w ulicę, po placach, wśród obcych tłumów. Ząb klucza od numeru hotelowego wbijał sobie w rękę; znieważał siebie i ją przezwiskami najniższego rzędu. Błądził około domu Ewy, czyhając z rozkoszą, że może ją spotka z tym szubrawcem i wówczas krótkim strzałem wszystko to zakończy. Krótki strzał — jedno west-

chnienie. Kto umrze, — nie wiadomo. Lecz oczy jej przerażone ujrzy przed sobą. Och, oczy! Musi ujrzeć jej oczy w rozpaczy, musi ją przekonać zapomocą przerażenia. Kochała go — i już nie kocha. Oto wszystko. Ów list... Przecież ziemia i niebiosa zawierały się w tym liście. A teraz oto niema nic na niebie i na ziemi. Wszystko już przeszło, przeżyło się, zostało wypalone i nie istnieje. Jest z innym, tak samo z innym, jak była z nim. To takie proste, takie naturalne, takie zrozumiałe, jak strzał rewolwerowy. Nie wiedział, do kogo strzeli, ale ów strzał miał już w głowie gotowy. Bolały go suche, spalone wargi, piekły oczy pełne ognia. W tym potwornym stanie ducha, brnąc wśród tłumu w jakąś ulicę, nagle ujrzał Ewę. Wzdrygnienie męczarni na jej widok, okrutny dreszcz grobowy. A za chwilę spokój tak przewrotny, a tak zupełny, jakby przedtem nie było najsłabszej przykrości. Ewa szła sama. Nie widziała go. Dybał za nią zdala, po drugiej stronie ulicy, czując, jak wszystko niewidzialnemi drogami spłynęło do serca i legło na niem. Była smutna, znużona. Szła najoczywiściej w kierunku swego mieszkania. Pierwsza pociecha, jak łza ulgi; nie było jej istotnie w domu, gdy tam list posłał... Druga pociecha — to żal... Czemuż tak smutna? Wlókł się zdala, nie spuszczając oka z wiosennej jej czapeczki. Tak z ulicy w ulicę... Spostrzegł, że ona idzie w kierunku jego hotelu, że zatrzymała się przed bramą i rozmyśla... Przebaczył już wszystko, darował... Wtem odwróciła głowę i powitała go uśmiechem niemal szczęścia. Zapytał natychmiast, kto to był u niej wczoraj. Odpowiedziała prostodusznie, że narzeczony. Zaproponował, żeby pójść do hotelu. Zgodziła się natychmiast. Skoro weszli do numeru, oddała mu się pierwszy raz dobrowol-

nie, miłośnie, z rozkoszą, czułością i milionem nieśmiałych pieszczot. Wkrótce wyszła, zostawiwszy samego wśród zagłuszonych, lecz istniejących cierpień. Teraz objęło go leniwe, sekretne ziewanie z rozkoszy. Zdawało się, że miłość już zagasła. Cielesność rozkoszy ciążyła. Myślało się, że miłość jest co innego, a szczęście posiadania co innego. Miłość pachniała w odtrąceniu. Tęsknota ją osłaniała cudnemi piersiami posągu z Knidos, a oddalenie poiło łzami. Snując systemat rozumowania o swej miłości, Szczerbic wstąpił na ścieżkę spokoju.

Upłynął cały dzień, a on ni razu, ni razu nie doświadczył uczucia smutku, ani jednego drgnienia niepokoju. Twardy sen w nocy i następny dzień cudnie spokojny aż do samego wieczoru. Gdy nadszedł wieczór, poruszyła się w piersiach podła tęsknota, zupełnie, jak wilk zbudzony ze snu. Szczerbic szedł niezmiernie długą i nudną ulicą Schottenringu, wracając z dalekiego spaceru nad Wiedenką. Świecił księżyc. Wieczór był ciepły i jasny. Niewymowna jasność nieba nad rojowiskiem ludzi, dziwnie podniecający zgrzyt tramwaju elektrycznego, szczęk powozów, gwar tłumu, płynącego we dwu kierunkach, — wszystko to stworzyło w duszy uniesienie wysokiego porządku, poryw ku niebu. Ręce drgały, żeby je wyciągać ku mlecznej drodze. Uczucie niepojętej żałości względem ludzi podźwignęło go i trzymało nad ziemią. W pewnem miejscu ulicy naprawiano szyny wozów elektrycznych. Potężni ludzie przy latarniach spajali szyny mutrami. Jeden z nich walił młotem. Wzniosły dźwięk żelaza, dźwięk, napełniający sobą wszystko, szczękał raz wraz. Szczerbic czuł rozkosz od każdego odgłosu młota. Każdy z tych ciosów odtrącał go, jakby

wyrzucał z ziemi. Rzeka ludzka, płynąca jedną połową chodnika, zagarnęła go. Nie słyszał gwaru, nie rozumiał słów. Był sam, z niebem tak dalekiem, jakby wygnanem z tego miasta. Towarzyszył mu łoskot młota coraz cichszy, coraz cichszy... Same kroki poprowadziły w ulicę Ewy. Zapragnął spojrzeć w jej okna. Wszedł w bramę. Było światło. Postanowił napisać słowo pozdrowienia. Wszedł do najbliższego sklepiku i napisał list wśród koszów z bułkami i fasek z masłem. Było to tylko pozdrowienie, słowo hołdu, westchnienie wyjęte z piersi przez wieczór, przez urok niewymowny pracy ludzkiej i przez niepojętą siłę miłości. Łzy wisiały na rzęsach, gdy pisał, i zasłaniały litery. Szczęście popychało rękę, a uczucie wzniosłości na odgłos dalekich ciosów młota kazało pisać o w i e c z n e j czci, o nieskończonej wdzięczności za ów niepojęty raj w duchu, za ową chwilę bezgraniczną, mogącą starczyć za wieczność. Sklepikarz, jego brzemienna żona, kilkoro dzieci, jakieś jeszcze postronne osoby, — wszystko to patrzyło z uwagą na wykwintnego pana, piszącego list w nieznanym języku. Gdy zakleił ist, pozdrowił ich wszystkich wdzięcznym ukłonem. Miał zamiar powiedzieć, że pisał oto do swej najdroższej kobiety, — że wieczór tak jest cichy, że żywot nasz na ziemi to ogrom trosk i ogrom bólu, przetkany ledwie kilkoma takimi, jak ten dniami. Chciał zapytać, czy oni nie czują tego, co jemu piersi rozsadza? Chciał im oświadczyć, że wierzy w Boga, który jest sprawiedliwym sędzią, nadewszystko, nadewszystko sprawiedliwym sędzią... Chciał mówić, że sąd, a nadewszystko sąd sprawiedliwy, — to sprawa jedynie Boga. Bo cóż my nędzni osądzić możemy, co my ubodzy możemy roztrząsnąć i zrozumieć sprawiedliwie?...

Spojrzał na obecnych, uśmiechnął się, jeszcze raz złożył im ukłon i wyszedł. Nie czekał na odpowiedź. To też zdziwił się bardzo, gdy mu posłaniec przyniósł szarą karteczkę — sekretnik. Oderwał brzeg i przy blasku latarni ulicznej czytał :

„Są u mnie pewni ludzie. Inaczej przyszłabym. Zobaczymy się jeszcze".

Ostatnie słowa zabrzmiały w sercu, jak przedziwny szum morza. Przycisnął kartkę do ust i poszedł w miasto z oczyma, utopionemi w pustyni niebieskiej.

Kilka dni oddalenia, na które go znowu skazała, strąciły duszę do otchłani. Kryła się. Raz widział ją, siedzącą w oknie mieszkania. Wszedł tam, w podwórze, brodząc w żalu, — i oto zobaczył ją niespodziewanie. Doznał wtedy wrażenia, że spadła przed nim zwysoka na bruk... W rzeczywistości, gdy go ujrzała, skryła się w pokoju. Drugi raz widział ją przelotnie, na ulicy. Potem znowu kilka dni pustki.

Nareszcie posłaniec przyniósł mu kartkę ze słowami: „Okoliczności tak się złożyły, że musiałam zmienić swe projekty. Jutro w południe wyjeżdżam zupełnie z W. Dziś wieczorem musimy się zobaczyć. Trudno mi bardzo oznaczyć godzinę, kiedy będę wolna, ale myślę, że od dziesiątej będę już mogła być u siebie. Dołożę wszelkich starań".

Szczerbic miał teraz ze sobą prawie cały swój majątek. Przyzwyczajony do waluty francuskiej, wymienił wszystko na franki, na tysiącfrankowe bilety i nosił wszystko w bocznej kieszeni surduta. Postanowił tego

dnia zabrać Ewę przy pomocy tych pieniędzy, oddać jej wszystko. Obmyślając swój zamach, nieprzytomny, pełen głuchych impulsów, wszedł na „schody okrucieństwa" i zadzwonił. Otwarła mu sama. Mrok panował w przedpokoju i w saloniku, przez który machinalnie przeszedł za przewodniczką. Znalazł się w sypialni Zamknęła drzwi. Gdy się zbliżył, upadła bez sił na krzesło. Zdawało mu się, że zemdlała. Kiedy ukląkł obok i objął ją ramionami, kiedy przycisnął usta do jej ust, do czoła, do oczu, poczęła oddychać szybko, z ostrym świstem w nosie, zdradzającym nieprzytomność. Ramiona jej raz wraz drgały, oczy były zamknięte, usta półotwarte. Nie wiedziała wcale, co się z nią dzieje. Nie czuła kiedy ją podniósł i złożył na łóżku. Nagle zerwała się i przeciągnęła rękami po twarzy, jakby dla odegnania nieprzytomności. Otwarła szybko szufladę stolika i, znalazłszy jakiś przedmiot, szybko poczęła rozpinać stanik, zrywać ze siebie suknie i bieliznę. Przyciągnęła do siebie Szczerbica i całowała go w usta tak długo, tak długo, z płaczem serdecznym i najczulszą, najrzewniejszą miłością. Zapytała go, czy przygotował pieniądze, czy wszystko ma ze sobą, a gdy potwierdził, oświadczyła mu, szepcąc do ucha pod największym sekretem, że pojedzie z nim do Włoch, na wyspę Capri, a później do Ameryki. Rzuci raz na zawsze owego draba, zwanego narzeczonym. Szczerbic odetchnął. Wyrwał z bocznej kieszeni zamszową torbę z pieniędzmi. Rzuciła tę ciężką i, jak książka, grubą pakę do szuflady stolika. Znowu przyciągnęła go do siebie z całej siły i delikatnymi palcami poczęła rozpinać guziki jego kamizelki, rozwiązywać krawat...

— Czy tu zamknięte drzwi? — zapytał.

— Zamknięte.

— A „tęn“ już nigdy tu nie przyjdzie?

— Nigdy!

— Ja chcę, żeby on już nigdy nie przychodził do ciebie. Nie mogę! Gdybyś wiedziała, jak straszliwie cię kocham! Szaleję za tobą!

— I ja za tobą! — szepnęła namiętnie, z dyabelstwem rozkoszy.

— Nie mogę nawet pomyśleć, że tu bywa człowiek. Ta myśl mię boli strasznie. Tu, w mózgu, mię ta myśl boli. Robi się od niej w mózgu długa, głęboka skaza...

— A to ty przebiłeś kulą Łukasza? Prawda, że ty? Przestrzeliłeś? Hrabia Zygmunt Szczerbic... w Zgliszczach...

— No, tak.

— W którem miejscu, pokaż, w które miejsce celowałeś! Ja ucałuję to miejsce! Ustami...

Szczerbic doznał uczucia wstydliwej lubieżności. Czuł straszne, niestrzymane szczęście, zrzucając z ramion koszulę. Otoczył nagiemi ramionami jej nagie ramiona, splótł ręce. Zanurzyła usta w jego ustach, skowycząc w szale jakoweś sylaby, dźwięki, półsłowa... Ogarnęła go sobą, całem ciałem, jak głowonóg-ośmiornica, wessała go w siebie, wciągnęła go w rozkosz, jak w wir niezgłębionego morza. Nagle wśród tej rozkoszy poczuł, że się w jego piersi wbija szydło, czy igła. Zimny, niezwalczony, radosny dreszcz przeleciał wskroś jego ciała aż do pięt. Drgnienie to zamarło. Igła zginęła, ból ustał. Radość cielesna poczęła wzmagać się, rosnąć, wznosić aż do najwyższej granicy... Nagle zachwiała się i jęła szybko gasnąć. Mrok napełnił się barwą żółtawą, w której pryskały modre iskry. Złotawe, adamasz-

kowe ściany nachyliły się rytmicznie: naprzód — raz, wtył — dwa, naprzód — raz... wtył... dwa... Złotogłów popłynął falisto w rudy mrok... Posypały się iskry... Zwysoka zaczęła opadać olbrzymia, zielona pokrywa, okrągły, chropawy, obrąbany dach. Wtem — rozpacz! W żyłach ruch przerażający, szarpanie naprzód — wtył, naprzód — wtył! Mróz w głowie. Słowo... słowo... wymówić! Ale język skamieniał. Jakoweś miamlanie, jakby stękanie krowy wybrnęło z pomiędzy warg. Chargot w piersiach, jak przy krwotoku z gruźlicy...

Ewa z piskiem zduszonym wyskoczyła z łóżka. Zawinęła się w niebieską jedwabną kołdrę. Stanęła wśród izby w niewiadomości. Śmiech idyotyczny siepie ciało. Radość! Pulsy w skroniach biją. Szczękając zębami, pobiegła ku drzwiom. Tam jeszcze przez chwilę nasłuchiwała, jak monotonnie chlupie miarowy chargot nie w gardle lecz głęboko w piersiach Szczerbica. Nie mogła zraleźć klamki. Ledwie namacała drzwi, prowadzące do mieszkania doktora. I tam jeszcze słyszała chargot. (Raz słyszała taki dzwięk na wsi, gdy strycharz wyrabiał w naczyniu glinę na cegły). Uchyliła drzwi pocichutku i wydała dziwny okrzyk. Zdumiała się sama, usłyszawszy swój głos. Natychmiast wsunął się Pochroń. Za nim Spławski. Gdy Pochroń stanął nad łóżkiem Ewy, Szczerbic jeszcze oddychał, świszczał nosem i wydawał piersiami pomruki urwane. Spławski zatrzymał się w progu obok Ewy. Znalazł w ciemności dłoń, ścisnął ją i zatrzymał w swojej. Zaczął mówić ze współczuciem:

— Kurara jest niewątpliwa. Paraliżuje mowę, oczywiście... krzyk... Paraliżuje nerw błędny. Również ruchy. Nie zostawia absolutnie żadnego śladu. Ani kropli krwi. Przypadek... Niech się pani uspokoi... Zaraz skończy...

— Zaraz skończy... — rzekł szeptem Pochroń, zbliżając się do nich. — Cicho, Ewuś, cicho... Gdzie pieniądze?

— W szufladzie.

— Czekać, niech skończy, — rzekł Spławski delikatnie, ze współczuciem.

W istocie Szczerbic ucichł. Kiedyniekiedy jeszcze tchnienie głośniejsze wybiegło z jego ust, kiedyniekiedy oddech nosowy. Ale już coraz rzadziej. Wreszcie ustało zupełnie. Wszyscy troje stali nad nim, czekając. Gdy w ciągu paru minut nie tchnął ani razu, Pochroń odkręcił światło elektryczne. Wszyscy zmrużyli od blasku oczy. Szczerbic leżał na boku, z głową podwiniętą pod pachę, tak, jak go zostawiła po odepchnięciu od siebie. Pochroń łagodnie, z litością odwrócił go twarzą ku sufitowi. Zmarły był piękny. Śliczne jego włosy zostały wzburzone. Słały się na poduszce, jakoby pióra prześlicznego ptaka... Usta były otwarte i białe zęby lśniły wspaniale w natchnionej twarzy. Wzniosła namiętność, górne szczęście stężało w jego rysach i nieruchoma maska w jego twarzy stała się, jak gdyby krzyk zaklęty w męskie rysy. Nagi tors, rozrzucone nogi, ręka zgięta w niedbałe półkole, wszystko to uczyniło zeń obraz czarujący.

Ewa patrzyła na niego w posępnej zadumie. Czuła rozkosz na widok nagości tego bożyca, którego przed chwilą zgładziła. Zapragnęła go teraz chwilowem, lecz straszliwem w swej mocy pożądaniem. Gdyby nie to, że stali dwaj widzowie, z jakąż radością, z jaką czcią całowałaby jego prześliczne piersi, jego żebra od niewydanego krzyku wzniesione, zapadnięty od dzikiej walki brzuch, nogi rozwalone, jak dwie potęgi. Och, jakże

teraz pieściłaby go, gdyby żył! Włosy jej biegły złotolitą falą po jasnym atłasie. Twarz przecudna skostniała w dalekowidzącem marzeniu.

Smutnie patrzyła, jak go nagiego zupełnie ułożyli, (w koszu od dawna przygotowanym), w taki sposób, że głową nóg dotykał. Smutnie patrzyła, jak zabrali pugilares, pełen pieniędzy, i podzielili zawartość pomiędzy siebie. Zawinęła się w kołdrę i czekała, żeby sobie nareszcie wyszli. Patrzyła na stopy swoje, wyłamujące się z pod błękitu atłasowego... Była senna. Chciała spać, spać! Nareszcie spełniła to, co ją tak strasznie dręczyło od tylu tygodni. Spracowała się, a teraz nareszcie spocznie...

Pochroń i Płaza-Spławski zamknęli kosz na nową kłódkę i, nie oglądając się już na Ewę, wynieśli z mieszkania. Słyszała, jak ciężko szli po schodach, jak zniżali się, zniżali, zniżali... Wreszcie słaby trzask drzwi...

Wyszła do drugiego pokoju i położyła się na wązkiej, secesyjnej kanapce. Skoro tylko głową dotknęła skórzanej poduszki, usnęła jak kamień...

Ocknęła się niespodzianie, zapewne po upływie dwu godzin. Elektryczność płonęła w pokojach.

Ewa spostrzegła przez otwarte drzwi na środku swej sypialni ubranie Szczerbica... Było cicho.

Ze snu wynurzył się w jawę i zawisł w niej przeraźliwy duch. Czarna zgroza żelazną klamrą ścisnęła głowę. Strach począł wiać przez zimne kości, biegł żyłami, wielekroć łamał ciało, wyginał je w górę i na dół, w tył i naprzód, trząsł je i targał. Od stóp po nogach, w górę ciała puściły się błędne iskry i chyże języki ognia.

Wstała oślepiona i poszła naprzód.

Z zimna ubrała się w pierwszą z brzegu suknię. Po upływie kilku minut była gotowa. Kapelusz, wiosenna okrywka, najnowsze pantofle i rękawiczki... Przejrzała portmonetkę i znalazła zaledwie kilka koron.

Patrząc wciąż na ubranie Szczerbica, powzięła niejaką myśl o sobie. Czkanie szlochów rozpruło piersi, płuca i serce. Była wciąż koło ścian, sunęła po nich z wyciągniętemi rękami, żeby wyminąć ohydne ubranie zmarłego. Słyszała jakgdyby szept!... Otwarła szafę jedną i drugą, w której wisiały jej suknie — później wielki kosz i wszystkie walizy. Poczęła wywłóczyć jedwabne spódnice, koronkowe staniki, bieliznę, woalki, rękawiczki, kapelusze. Wszystko to rzucała coprędzej, co tchu na ubranie Szczerbica, żeby je zakryć. Coraz pospieszniej opróżniała szuflady, pudła i skrytki. Wyrzuciła wszystko, aż do ostatniego strzępka, na olbrzymi stos.

Zerwała firanki i rzuciła je na szczyt tej góry. Z cichym chichotem ulgi, potarła zapałkę i podstawiła płomyk pod najniżej leżącą koronkę stanika. Błędny ogieniek z cichym śmieszkiem, jak po suchej gałązce jałowcu, zapląsał! Wówczas chyżo na palcach wyszła z mieszkania.

Zamknęła za sobą na klucz drzwi i biegła po schodach okrucieństwa. Uśmiechnęła się na wspomnienie skarg Szczerbica. Tyle razy mówił o śmierci, chciał śmierci. Teraz ją już otrzymał. — Wspomniała, jak go pakowano w kosz. Rozwarte usta obok wielkiego palca nogi!

Dreszcz odrazy, jakby ktoś nahajem zdzielił przez plecy...

Pobiegła prędzej w dół, na lodowatych nogach, przesunęła się przez bramę, gdy wchodzili jacyś nocni bibosze...

W ulicach płonął jeszcze gaz i martwo czuwała elektryczność. Czarowna, parna noc nie dawała spać ludziom. Ulice były ożywione, mimo pory bardzo spóźnionej. Szła szybko naprzód, naprzód... Czuła w sobie pełnię sił, ale rozum miała dziwnie ociężały i jakby zakażony.

Głupkowata uciecha z tego tytułu, co Pochroń w domu znajdzie, dodawała sił i rzeźwości. Mijała ulice, zaułki, skręcała, przechodziła wpoprzek, nie wiedząc, że to czyni i nie zdając sobie sprawy dokąd idzie. Ujrzała wreszcie jakiś rynek zastawiony kramami, zupełnie w tej chwili pustymi. W świetle latarni lśniły posępne daszki, nakrywające zapewne chleb, jarzyny, mięso...

Przemknęła myśl, że są ludzie, którzy trawią życie na sprzedawaniu jarzyn, chleba, mięsa... Zaduch ryb, serów, mięsa, nafty, kapusty unosił się jeszcze nad tym placem ohydnym. Ewa doznała uczucia odrazy nie do zniesienia. Poco żyć, żeby to wszystko cierpieć? Żyć po to, żeby sprzedawać cuchnące śledzie, albo roznosić po domach bułki! Trzymać się tego życia, jak gdyby jakiegoś szczęścia! Ujrzała na jawie taki sam plac, ale w Warszawie. Deszcz spływał z daszków strugami, jesienna wilgoć się sączyła. Widziała w duszy połysk latarek w głębi masy bud na Starem Mieście i twarze ludzi nieszczęśliwych, którzy po to wstają co dnia z barłogów, żeby żyć w smrodzie ryb, albo serów. Zemsta buchnęła z jej serca. Śmiech potwornego gatunku pognał ją z miejsca. Pobiegła krętemi uliczkami, potykając się na bruku dziurawym i na kupach rozmaitych

śmieci. Gnała wązkimi chodniczkami, które nogi ubóstwa wyżłobiły w ciągu lat. Spostrzegła w drodze skarpy przedwiecznych murów, zaułki drewniane, sienie zawżdy otwarte, których wnętrza sklepione zdawały się stękać i wyć z bólu, skoro w nie wejść. Z tych mrocznych pieczar zionęła choroba i śmierć. Zstępując po kamiennych schodach, z pod których rynsztokami łeje się kał, tułając się bez żadnej myśli, wkraczała w zaułki, gdzie po stromych, przedziwnych schodach, trafić można do najuboższych lupanarów. Tam i sam słaniała się dziewka ohydna, znużona i sterana. Schody urywały się i Ewa niespodzianie wpadła na szeroki plac, pełen błota, zawalony drwami, stosami belek, łat, piramidami desek. W dali lśniła olbrzymia rzeka. Drgające, połyskliwe strzały świateł nadbrzeżnych latarni widniały, jak oko zdołało sięgnąć. Była nieopisana potęga, królewski spokój w tym rzędzie pochodni, płonących na wodach. Ewa zadumała się, patrząc na ów obraz. Rozległ się huk mostu, przez który leciał pociąg. Świst potężny, przeszywający, porywający ze sobą w świat... Tuż stała chata, sklecona z przegniłych drewien. Chata wlazła w ziemię. Okienko, osrebrzone światłem, szkliło się nad błotem. W głębi połysk naftowej lampki.

Żal ścisnął serce...

Uciekła od tej chałupki ku murom. Znowu jakieś kraty w oknach, złupione tynki, oberwane rynny, drzwi do czarnych sieni, które zagłębiają się w dół, jakby były lochami, prowadzącymi do piekieł.

Stanęła w zamyśleniu, a później weszła do jednej z tych sieni. Nizkie drzwi prowadziły na prawo i na lewo. Za temi drzwiami, pomimo tak późnej nocy, gwar,

płacz dzieci, wrzaski dziewek, śpiewy, kaszel. Czarne figury ludzkie jeszcze się snuły w podwórzu.

Ewa pragnęła uniknąć wszelkiego zetknięcia z ludźmi. Licho, jakby przez sen, wiedziała, że noc jest późna, że na ulicy o tej porze mogłaby ją zaczepić policya. Stanęła w zadumaniu przed jakiemiś w sieni drzwiami, marząc o tem, żeby spać, usnąć, leżeć... Nie była pewna, gdzie jest. Czy to Warszawa, Monte-Carlo, Paryż, Nizza? Wydźwignął się niejasny, znużony w samem założeniu, zamiar, żeby zakołatać do tych drzwi i wejść do jakiejkolwiek izby. Bo przecie już wszystko jedno, gdzie się mieszka. Dawniej miała dom, własne mieszkanie, jakiś dach, a teraz nie ma już nigdzie domu. Nigdzie na ziemi! Byleby nie wracać do Pochronia, — toć wszystko jedno, gdzie się leży...

Kilku mężczyzn z hałasem, chichotem, wrzaskami, podśpiewywaniem weszło do sieni tego domu. Natrafiwszy w ciemności na Ewę, wnet ją oświetlili zapałkami, obskoczyli ze wszech stron i poczęli zasypywać gradem komplimentów... Słuchała ich bez jakiegokolwiek sensu w głowie. Nagle przemknęła muśl, że przecie najlepiej będzie iść z nimi, jeśli zechcą. Nie będzie sama. To właśnie będzie znalezieniem domu... Jeden z mężczyzn, w cylindrze, wysoki, bełkotał najnatarczywiej inwitacye, żeby szła do mieszkania, które znajduje się tu właśnie, w tym oto domu, na czwartem piętrze. Rozumiała na tyle gwarę wiedeńską, żeby pojąć, o co chodzi. Birbanci pochwycili ją pod ręce z radosnym bełkotem, pociągnęli w górę po schodach, w mrok, w tajemne wejście. Szła ze śmiechem przez korytarze, schodki, przejścia, z których przemocą wygnano powietrze. Otwarto wreszcie drzwi. Zabłysło światło. Mała izdebka z oknem pół-

okrągłem. Jedno łóżko z siennikiem, stolik zawalony książkami, w kącie na krzesełku miska do wody. Serce Ewy napełnia radość, a raczej sobacza furya. Nowi ludzie! Inni — do wszystkich piorunów! Rozejrzała się po twarzach. Byli to „kawalerowie“, młodzi ludzie, których się stale widzi, idąc ulicą. Dwaj z nich byli dostatecznie pijani. Ściągnęli siennik z prętów łóżka i, rzuciwszy go na ziemię, tworzyli łoże dla wszystkich. Dwaj inni bawili Ewę. Jeden rozpostarł poduszkę na wiedeńskiem krzesełku, którego wyplatane siedzenie zupełnie, niestety, znikło, i uprzejmymi gestami zapraszał do zabrania miejsca, drugi rozpalał maszynkę P r i m u s w celu ugotowania, jak twierdził, grogu. Ewa usiadła na wskazanem miejscu. Nie była pewna, czy za chwilę nie wstanie i nie wyjdzie za drzwi, jak przyszła. Tymczasem zasiadła majestatycznie. Woda w maszynce zaczęła kipieć. Przyniesiono skądś butelkę wina, cukru w torbie, kilka pomarańcz. Podano jej szklankę. Piła duszkiem. Młodzieńcy otoczyli ją. Śpiewali chórem. Z rozkoszą i dziką furyą patrzyła na ich rozjuszone oczy, rozpalone policzki, na wzburzone włosy i spotniałe łby. Ktoś stukał w cienką ścianę i walił we drzwi, nawołując okrutnemi słowami do spokoju. Objaśniono Ewę, że to sąsiad rzemieślnik, a ten, co we drzwi, to także sąsiad, utrzymujący sklepik z owocami.

Ewa rozchichotana odtrąciła nogą jednego z kawalerów, nasuwającego się zbyt blizko. Była pijana i szczęśliwa. Śmiała się do rozpuku. Odtrącony padł na kolana i począł całować jej nogi. Czuła, że całuje przez suknie... Strącona lampa zgasła... Pijackie oddechy... Krzyk...

Zachodziło słońce. Czerwony blask pokrył szyby okienka, sklepionego u góry. Słychać było daleki huk miasta. W izbie nie było nikogo. Ewa dopiero co ocknęła się. Była naga. Nie mogła znaleźć swego ubrania. Szukała to tu, to tam, słaniając się po pokoju, odziana tylko w płaszcz swych włosów. Panował nieznośny zaduch. Wspomnienie orgii nocnej... Otwarła okno i spojrzała na dół. Po chodniku mknęło rojowisko ludzkie. Ujrzała ów plac, zastawiony budkami kramarzy. Uczuła głód, ale zarazem i wstręt do jadła. Wtem myśl o strzykawce Pravatz'a... Czemuż jej nie zabrała? Gdyby się wrócić i zabrać! Tak umierają rozumni i mężni. Gawiedź choruje, drży wobec śmierci i cierpi dla rozkoszy oddychania zapachem śledzi i zgniłego mięsa. Ale spotkać straszliwego Pochronia, który „używa kobiety"... Umrzeć w ludzkich ramionach!... Czemuż ze Szczerbicem nie umarła? Jeszcze tak raz kogoś przycisnąć do serca!

— Jaśniach... — wyszeptała z rozkoszą. — Jaśniach, poeta mój!... Pójdę do niego i umrę w jego ramionach, albo u jego nóg. Schyli się nade mną kapłan mój, pogładzi włosy...

Zliczyła pieniądze i kombinowała, czy jej wystarczy na drogę do Krakowa. Wiedziała, że Jaśniach leży chory w Zakopanem. Postanowiła jechać niezwłocznie. Ubrała się co tchu, wyważyła zamknięte na klucz drzwi, poszła wprost na dworzec północny i, wskoczywszy do trzeciej klasy krakowskiego pociągu, puściła się w drogę.

Stare, święte wieże Krakowa ujrzała we mgle rannej. Wpłynęły do jej serca kształty wież, co już spraw

ludzkich pamiętają tyle, oparł się widok ich na sercu, jakoby ręka Jezusa Chrystusa.

Była bardzo znużona. Jak niegdyś, za lepszych dni, westchnęła ku wieżom czarnym, które sterczą ku niebu z mroku wieków:

— O, miasto, miasto! Odpuść mi! Daj mi spocząć na cmentarzu swym! Nie karz mię bez litości przez pana naszego Jezusa Chrystusa...

Ale miasto nie znało litości. Przyjęło ją wieścią straszliwą. Dowiedziała się w pewnej księgarni, dokąd zaszła po informacye o Jaśniachu, że poeta ten umarł przed miesiącem.

Wyszła z tej księgarni blada. Twarz jej stała się surowa, kamienna i zaciekła. Kamienne także stały się oczy. Już w nich od tej chwili nie było dawnej, dziecięcej prostoty, dawnej dziecięcej ufności. Uśmiech jej oczu stał się zewnętrzny i publiczny.

W Krakowie właśnie Ewa zeszła do rzędu kobiet publicznych. Mieszkała początkowo w hotelu. Później, uzbierawszy nieco pieniędzy, wynajęła oddzielny apartamencik, jak mówili złośliwi przyjaciele, „urocze atelier“... Miała szalone „powodzenie“. Mogła ubierać się elegancko, jeść wykwintnie, a nawet hulać. Jeździła na „gościnne występy“ do Lwowa. Kraków wyrywał ją sobie. Ale zaczął się letni sezon osób przejezdnych. Kilkakroć spotkała na ulicy twarze znajome z Warszawy. Zwiększyła się obawa pościgu Pochronia, który mógł najłatwiej w Krakowie jej poszukiwać. Bała się spotkać Horsta. Postanowiła wyjechać do Królestwa, nie do War-

szawy jednak, lecz gdzieś na prowincyę. Z łatwością „przez stosuneczki“ wyrobiła sobie paszport na imię Anny Winter i z kufrem sukien, ogromnym, jak Sukiennice, pojechała na chybił trafił do niejakiego miasta Kielce. Tam poczęła pędzić życie krakowskie, ale z wielką dystynkcyą, ostrożnością i wyrachowanym szykiem. Udawała wielką damę, melancholijną panią z za mórz. Sprzedawała się tylko za bardzo drogie pieniądze, z wielkiemi ceregielami i po długich zalotach. Z czasem jednak, kiedy się na niej poznano, a nadewszystko kiedy ją przyłapano na gorącym uczynku, zmuszona była zapisać się cichaczem w miejscowym magistracie do cechu siostrzyczek-prostytutek. Wówczas wynajęła mieszkanie i prowadziła życie bardziej rozpustne. I tu zawróciła głowy całemu światu. Wszystkie *scriby* z gubernii, powiatu, „pałaty“, sądów wszelkiego gatunku, wszelkie rodzaje burżuazyi, stan cywilny i wojskowy, — słowem płeć męska miasta rujnowała się na nią do ostateczności. Zaciągano długi, zaprzedawano ducha żydom, byleby posiąść odpowiednią walutę dla osiągnienia łask Winterki. Cnotliwe, katolickie miasto zgrzytało płotkarskimi zębcami na widok prześlicznej i, jakby coraz piękniejszej nierządnicy, spacerującej w najwykwintniejszych szatach po ogrodzie miejskim i w sposób wszeteczny defilującej pod Karczówkę. Wlokły się zawsze za nią roje zalotników z pominięciem najcnotliwszych dziewic z najszanowniejszych w Kielcach rodzin. Doszło do tego, że ludzie żonaci, (*horribile dictu!*), narzeczeni, szanowni obywatele, lekarze, znani całek mecenasi, kielcccy, a wreszcie sami, (co, przez litość, niech zostanie między nami!), księża kanonicy, tudzież proboszczowie...

———

Upalny dzień sierpniowy miał się ku zachodowi. W ulicach miasta kołysał się jeszcze żar nieznośny. Ludzie łazili, jak senne muchy po rozżarzonych kamieniach bruku. Jaki taki kierował się w stronę ogrodu miejskiego, albo za miasto, ku trawce i lasom. Ewa w sukniach nader powiewnych, w bluzce gazowej, możnaby bez przesady powiedzieć, — w krańcowym negliżu, rozwaliła się na odosobnionej ławeczce w parku miejskim. Szemrały nad nią zcicha liście wielkiej sokory. Rozmyślała, co też ma dalej czynić ze sobą. Ponieważ, jak wiadomo, wszystko przeżywa się i powszednieje, więc i sława jej w mieście Kielcach cokolwieczek przeżyła się i jęła powszednieć. Wszyscy ją już znali, jako, niestety, prostytutkę. Prawdopodobnie musiano już o tem wiedzieć i w Warszawie, jeżli to mogło kogo bliżej interesować. Rzecz już nie mogła się ukryć tembardziej, że nikt jej przecie nie ukrywał, a odkrywali starannie wszyscy. Nie wiedziała, czy rodzice żyją, czy pomarli. Było to jej, możnaby powiedzieć, obojętne, gdyby nie pewna postać zemściwej radości. (Pokazać matce, że czem jej raz zagroziła w sprzeczce, to się ziściło!). Czasami pragnęła powziąć wiadomość, że pomarli. Jeśli zaś żyją i dowiedzą się, gdy przyjedzie, — no to i cóż? Ojciec ją spotka na ulicy? No to i cóż? Matka zobaczy? No, to się nie przywitają. Wielkie święto! Pośliznęła się i powinęła noga w życiu... Tylko Aniela — i Horst! Uśmiech Anieli, gdyby ją spotkała... Trzebaby bić w papę, a potem cyrkuł, badanie... Horścik... Na wspomnienie tego człowieka, — oczy jej płonęły ogniem dzikiej, zgoła obłędnej nienawiści, usta zaciskały się złowieszczo. Po chwili jednak inna myśl zwiewała tamte myślidła i wrażenięta.

Zamieszkać gdzieś w okolicy Alei... Urządzić szyk mieszkanko, przyjmować tylko bogatych d r a n i ó w, ubierać się z przepychem, pokazać klempom warszawskim szyk z Monte-Carlo, Nicei, Paryża, Rzymu, Wiednia.. Dość już dziur, takich jak Kraków, albo Kielce!

Ukazał się na opustoszałej Alei jakiś człowiek. Szedł ociężale. Był wysoki, siwawy, z zarostem krótko ostrzyżonym. Kapelusz niósł w ręce. Słońce, padając tu i tam z pomiędzy liści, lśniło w jego srebrzących się włosach. Ewa spostrzegła, że był ubrany elegancko, nie po kielecku. Ramiona miał nieco pochylone naprzód, ale w sposób dziwnie wykwintny, w taki sposób, że to pochylenie, nie wiedzieć czemu, przypominało Szczerbica. Stawiał ogromne kroki długiemi nogami i pomagał sobie w marszu oryginalnym ruchem rąk.

Ewa nasrożyła się wnet kokieteryjnie, wysunęła pantofle, halkę i niemal całe pończochy. Jegomość szedł ku niej, patrząc natarczywie na pogotowie miłosne. Gdy był o parę kroków, podniosła na niego szelmowskie oczy. Patrzał wciąż, uparcie, wesoło i żywo, ale przeszedł, rozejrzawszy się w niej tylko ironicznie od stóp do głów. Gdy się oddalił o jakie dwadzieścia kroków, rozpostarła się znowu na ławce ze złością, pokrywszy ją całą swymi fularami. Pan raptem przystanął i namyślał się. Za chwilę poszedł dalej, ale wnet znowu zwolnił kroku i spojrzał w stronę Ewy. Udawała, że tego nie widzi. Domyślając się jednak, że taka podstarzyzna potrzebuje bodźca i zachęty, przeciągnęła się, zebrała suknie i, podkasana w sposób wysoce interesujący, poszła ku miastu. W istocie, jegomość wymaszerował z ogrodu. Widziała go wciąż za sobą, gdy mijała ogród, i później, gdy szła przez puste, rozprażone ulice. Żeby mógł zdążyć, przystawała

tu i tam, dawała mu wypocząć. To też, biedactwo, odpoczywał, ścierając pot z czoła. Nareszcie dociągnęła go przed bramę swego domu. Obejrzawszy się, dostrzegła znaki podstarzałego adonisa. Weszła do sieni i stanęła tam, w oczekiwaniu. Ziewała, nasłuchując, czy idzie. Wtargnął do sieni i wskazał ręką, żeby szła naprzód. Pobiegła po ciemnych schodach na piętro, otworzyła drzwi do mieszkania i nucąc, czekała. Wszedł, rzucił okiem na sprzęty i znużony siadł na najbliższem krzesełku. Zamknęła cicho drzwi i zajęła miejsce naprzeciwko, uśmiechając się, jak notoryczna dyablica. Nie miał wcale miny, jaką widzieć przywykła. Oczy wlepione w nią, uśmiech zabawny pod małym wąsem, ocieniającym wązkie wargi... Gdy tak nie spuszczał z niej oczu, przenikające zimno odrazy oblało ją znagła. Przez chwilę miała złudzenie, że gdzieś już widziała te przenikliwe oczy! Gdzież je widziała?

— Jak się nazywasz, papużko? — zapytał głośno, niezwykle głośno, gwałtownie i tak stanowczo, że nie mogła zamilczeć.

— Anna Winter.

— To rzeczywiste twoje nazwisko, czy przybrane?

Zapytując, zbliżał twarz do jej twarzy i nastawiał dłoń za ucho. Domyśliła się, że jest głuchy. Gdyby ręce jego były brzydkie, albo brudne, te ruchy byłyby nieznośne. Ponieważ jednak był wykwintny i jakiś niezwykle czysty, sposób jego bycia sprawiał teraz przyjemność i rozweselał. Dopóki nie odpowiedziała, nie odsuwał twarzy i nie spuszczał wlepionych oczu. Czekał tak cierpliwie i wytrwale na odpowiedź. Gdy mówił, jego krzyk był miły, oryginalny i dowcipny. Rzekła, naśladując jego i minę:

— To przybrane nazwisko.

— A rzeczywiste?

— Na cóż to panu rzeczywiste nazwisko?

— Chcę z panią rozmówić się, jak z rzeczywistym człowiekiem, nie jak z uliczną kamelią, więc potrzebne mi jest rzeczywiste imię i nazwisko.

— Uliczną kamelią... Dobroczyńca!

— Obrażasz się, nimfo Kalypso? Nie masz o co!...

— Ja nie mam chęci rozmawiać, — rzekła głośno i zimno. — Jeżeli pan przyszedł po to, żeby rozmawiać, to muszę oświadczyć, że mam czas bardzo ograniczony... Wychodzę na miasto i wskutek tego...

— I wskutek tego... — powtórzył. — Ileż bierzesz zazwyczaj?

— Dwadzieścia pięć rubli.

— Dwadzieścia pięć rubli... — powtórzył znowu, jak uczniaczek, powtarzający w myśli lekcyę dla samego siebie.

Wydobył zwolna pugilares, nie patrząc wyszperał z jakiejś przegródki bilet dwudziestopięcio rublowy i położył na stole.

— Drogo bierzesz, nimfo Kalypso! — wykrzyknął nagle.

— Biorę za... wizytę, — odkrzyknęła tak samo, jak i on.

— Weź, dziecko, i nie krzycz. Któż widział krzyczeć? Przecie to wszystko jedno rozmawiać z „gościem“, czy mu się oddawać.

— Nie wszystko jedno.

— Nie wszystko jedno... Jabym chciał z tobą tylko porozmawiać.

— A ja znowu z panem nie chcę nie tylko rozma-

wiać, ale pana znać! Idź pan do dyabła razem ze swoimi pieniędzmi! Także! Bawić się, to bawić, a nie — to fora ze dwora... I złam kark, stary kulfonie, — dodała ciszej.

— No, to rozbierz się, jeżeli ci tak o to chodzi...

— Mnie o to wcale nie chodzi... — parsknęła śmiechem, — tylko chyba panu. Także kochanek...

— Dobrze, dobrze... Rozbierz się...

Zaczął bębnić po stole palcami. Ewa, nucąc dla kontenansu, rozpięła stanik i ściągała go leniwie z ramion. Spojrzawszy na jego twarz suchą, ładną w swej szarej prostocie, na oczy czyste, na ściągnięte brwi i usta w uśmiechu, — uczuła w całem ciele dawny, nie istniejący już w niej prawie od lat, dreszcz dziewiczego wstydu, poryw zapomnianej nieśmiałości. Wiedziała, że cała jest czerwona, śmieszna, głupia. Usłyszała jego głos:

— Powiesz mi swe imię?

— Na imię mi Ewa.

— A nazwisko?

— Nazwiska nie powiem.

— Hm, — jak chcesz. Może to i dobrze. Po cóż wymawiać nazwisko ojca?... — dorzucił cicho, a tak smutnie i rzewnie, że to uczuła.

— A pan jak się nazywa?

— Bodzanta. Śliczne masz włosy, śliczne masz włosy, oczy, usteczka... Czeszesz się, widzę, jak Domna Julia...

— Jaka znowu?

— Żona Septimusa Severa tego, wiesz, co to ma łuk w Rzymie, Syryjka. Była taka przed wiekami. Teraz stoi skromnie w ciemnym zaułku muzeum.

— Czeszę się, jak Cléo de Merode.

— Cléo... Cóż za ordynarny wzór! Przecie ona tańczy ohydnie. Tyle, że się rozkłada i pokazuje swe brylanty. Nie masz rodziców?

— Nie mam.

— A dawno obrałaś sobie ten zawód?

— Dawno.

— I teraz oto... „jadasz popiół, jako chleb, a napój swój mieszasz ze łzami“...

— Tak znowu źle nie jadam i nie pijam.

— Bo pohańbienie pokruszyło twoje serce. Powiedz mi, — a umiesz czytać?

— Och, jakiś społecznikarz, nawracacz, feminiściarz... Cóż to za nudy! I egzaminuje, jak na pensyi... Cóż to będzie? Umiem mówić, proszę pana miłosierdziarza, po francusku, byłam w Nicei i w Paryżu, na Korsyce i nie jednego hrabiego wodziłam za nosek...

— Ja też od razu spostrzegłem, że ty jesteś... bagatela! Per Bacco! Powiedz...

— Nie, już dosyć tej rozmowy!... Jestem zaangażowana...

— A możebyś zamiast tych angażowań wolała zostać urzędniczką w biurze. Mnie się zdaje, że bardziejby to pasowało do twej osoby, niż to zajęcie dziewki publicznej.

— Nie prosiłam pana o posadę, to niech mi pan od dziewek publicznych nie wymyśla.

— Jać nie wymyślam, dziecko, tylko mówię otwartemi słowami. Pocóż mamy owijać rzeczy cuchnące w różowe bibułki. Co? Jak myślisz? Skąd może być w człowieku ta właściwość, że nawet tu w twojem mieszkaniu nie chce przed samym sobą przyznać się do siebie. Lubi człowiek żyć w fałszu przed samym sobą, lubi

samego siebie podrabiać, fałszować. Jak w upiękniającem zwierciadle chce się w swej sfałszowanej postaci przeglądać i odbijać. Skąd to jest w człowieku? Może to jest jakie echo ideału niewiadomego, czy też egoizm, albo dążenie bezwiedne do umówionego społecznie szablonu?... Jak ty myślisz? Naprzykład ty wiesz przecie, że musisz być dziewką każdego draba, każdej szui...

— No, nie tak znowu każdego!

— Każdego, kto ma trochę pieniędzy. Chciałabyś jednak, żeby to się nie nazywało wcale... Ale mniejsza! Proponuję ci posadę. Dostaniesz mieszkanie, utrzymanie, pensyę...

— Gdzież to?

— Na wsi.

— U pana?

— Tak, tam, gdzie ja mieszkam.

— To jest, jeśli już mówić otwarcie, nie owijając rzeczy w różową bibułkę, chce mię pan wziąć na utrzymanie? Jeszcze mię pan przecie wcale nie zna.

— Nie chcę cię brać na utrzymanie, tylko wypchnąć?

— Wypchnąć?

— No oczywiście. Zechcesz zostać człowiekiem, no to dobrze, a nie zechcesz, no to wrócisz przecie do swych draniów, szujów, świszczypałów, szubrawców!

Wywrzaskiwał to tak donośnym głosem, że pewnie go było słychać na ulicy. Ewa czuła to już oddawna, że o to chodzi. Widziała tajemnym wzrokiem, czuła zapomocą zimnego drżenia w całem ciele, że stoi przed nią nie szuja, nie gość jej codzienny, lecz jakiś upiór Jaśniachowy. Prawda była w jego przeszywających oczach i w jego ustach twardo zamkniętych. Miała obrzydłe uczucie, że coś w niej pęka, wali się w gruzy...

Jeszcze chwila i z klątwą czy jękiem na ustach runie przed nim na kolana, legnie, jak pies nieruchomy, u jego stóp. Zachichotała jednak całym wysiłkiem woli, jak wówczas, gdy się rozbierać zaczęła, na modłę śmiechu dziewek ulicznych.

— Znam ja się na tych pokusach. Posada! Znam! i te posady.

— Jak? „Znam i te posady". Uważasz... Nie zbliżam się po rozkosz do kobiety, której nie kocham. Ciebie nie kocham przecie. Rozumiesz? Więc jakiż podstęp? Co? Jeden mędrzec starożytny, Pythagoras, tak mówi: „nie poddawaj się rozkoszy zmysłowej, dopóki nie poczujesz, że ona jest niższą od ciebie". Uważasz?

— Uważam. Gadanina... „Niższa od ciebie..." Od was wszystkich sto tysięcy razy wyższą jest wasza rozpusta.

— Rozpusta, — tak. Ale, siostrzyczko, rozpusta, — sama przez się, nie istnieje. Rozumiemy się? — Sama przez się... My ją w sobie wytwarzamy zapomocą słabości naszej woli i układu naszych stosunków. Ale istnieje miłość, którą znowu poniżyliśmy aż do rzędu rozpusty. Rozpusta jest to wynalazek. Podobno można ją wyniszczyć — przez co? Podobno przez wyzwolenie i wskrzeszenie miłości. Ja się temi pytaniami nie zajmuję Mówię tylko do każdego człowieka: synu boży, dźwigaj się, wstań, wyprostuj się, chodź! Więc i do ciebie... Jeżeli ci obmierzła sobacza służba w jarzmie ludzkiej rozpusty, no to dźwigaj się, wstawaj, chodź!

— Dobrze! Pójdę!

— A widzisz! Chwała bądź Bogu...

— Ale jeśli mię pan zdradzisz! — krzyknęła, podchodząc ku niemu z zaciśniętemi pięściami.

Uśmiechnął się wyniośle, z radosną ironią, odmiennie i zachwycająco. Mówił jej prosto w oczy:

— Będę czasami patrzał na twoje śliczne włosy i myślał, że twoja piękność wydarta została z gnoju miejskiego, że twoja piękność jest jakby... wrócona Bogu...

— Gdyby pan wiedział wszystko! Możeby pan wtedy...

— Bóg wie wszystko. Ja nie mam prawa nic wiedzieć. Nic mię to nie obchodzi i nic też nie chcę wiedzieć.

— „Wrócona Bogu..." A czy jest Bóg? — spytała raptownie, szeptem, ujmując w swe ręce, jak we dwa płomienie, jego rękę.

— He? „A czy jest Bóg?" — przepowiedział sobie zcicha, patrząc z dziecięcym uśmiechem w jej oczy. — Czy jest Bóg? Nikt tego nie wie, czy jest Bóg? I nikt z ludzi na to pytanie bliźniemu odpowiedzi dać nie może. Podobno „umarł". Tak piszą poeci. Niemasz Boga, mówi w sercu swem człowiek wyniosły, bo gdyby Bóg był, jakżebym ja zniósł, abym bogiem nie był. Są wszakże tacy, którzy go w sercu noszą i gorącemi usty stwierdzają: żywie Pan! Jeżeli ty sama sobie tego nie powiedziałaś, to jakże ja ci to mam powiedzieć, jakim sposobem wcielę to w twe serce?

— Więc co mam zrobić?

— Sprzedaj pierwszej lepszej handlarce starzyzny wszystkie fatałachy, bo tam ci przecie nie będą potrzebne. Z tem, wiesz, to jak z paleniem tytoniu: od jednego zamachu. (W zatraceniu siebie jest żywot! — dorzucił cicho). Kup sukienkę przyzwoitą, nawet ładną, drugą codzienną. Kup bielizny, trzewiki dobre, kapelusz mod-

ny, ale nie taki, żeby było widać, że to z lat dawnych. Przyjdź jutro do hotelu Polskiego o godzinie czwartej i zapytaj się o Bodzantę.

Zachłysnęła się z jękiem, z okrzykiem.

— Nie sądź tylko, — krzyczał Bodzanta, — że jestem jakimś magdaleniarzem, nawracaczem z zawodu upadłych kokot, cnotliwcem jawnym, uprawiającym rozkosz tajemnie. Nie wierzę w wyniszczenie nierządu. Zawsze będzie. Tak przypuszczam... A ty jak przypuszczasz, — co? Nic nie wiesz? To lepiej. Nie przeszkadzam tylko dobru w człowieku. Kiedy mogę przyczynić się, żeby w człowieku dobro się objawiło, no to przyczyniam się. Mam chyba, do dyaska, po temu prawo! Nie sprzeciwiam się dobru. Dobru, — słyszysz! Bo to nieprawda, żebyśmy absolutnie nie wiedzieli, co jest dobro. My wiemy, że jest dobro. Wiemy, że stoi ono wyżej, niż piękno. Piękno ukazuje nam istotę spraw, ale musi mieć na sobie szatę sztuki. Dobro zaś jest niewidzialne, jak nerw, a sięga w ducha i działa w nim tajemnie, jak nerw sięga w ciało i działa w niem. Bo mówią, — i to nawet czerpiąc z Pisma, że należy nie przeciwić się złemu. Jest w rzeczy samej u Mateusza w rozdziale 5, (Kazanie na górze), słowo: „Ja wam powiadam, żebyście się nie przeciwili złemu“. Pięknie! Ale jeśli nie należy przeciwić się złemu, toś prosty, chłopski rozum wskazuje, żeby się nie przeciwić i dobru. Jest w człowieku, w więzieniu serca zamknięty anioł i zamknięty szatan. Cóż jest zło? Mało wiemy, co jest zło. Nieco więcej wiemy, co jest dobro. Ja tedy nie zajmuję się złem, zostawiam je na uboczu. I tak nie zmarnieje. Dużo jest frantów, którzy mu się „nie przeciwią“, i to z entuzyazmem. Kiedy więc oni uznają za słuszne wy-

zwalać szatana, ja znajduję przyjemność, mam taką polską manię, żeby wyzwalać anioła. Lubię patrzeć, gdy mu rosną skrzydła. Jest w tem zresztą dużo wyrachowania. Wyrachowania, papużko! Może skrzydła którego z nich, gdy popłynie ku niebu, zaniosą daleko grzeszną moją modlitwę za Martę! Ba! ale ty nie wiesz nawet, kto to jest Marta... Bądź zdrowa!

Kiedy nazajutrz Ewa znalazła się w dziedzińcu wskazanego hotelu, już wolant hrabiego Bodzanty stał zaprzężony. Furman siedział na koźle. Był to człowiek stary z siwemi, łokciowemi wąsiskami. Gdy Ewa z palącym wstydem, a pogardliwie rozglądała się po podwórzu, ów furman patrzył na nią długo i uważnie, aż wreszcie zwrócił się z zapytaniem:

— Z przeproszeniem... A czy to panna nie do Bodzanty?

— Właśnie... do pana Bodzanty...

— A rzeczy są jakie?

— Mam tutaj.

— No to proszę. Tylko ja nie zlezę, bo konie mam strachliwe, a do tegom i na nogę kulawy. Niech no pani ino sobie zada, to się i dźwignie. Nie święci garnki lepią!

—O , ja udźwignę, proszę pana!

— Et, ja ta z tych pomniejszych panów... Na imię mi Teodor. Zaraz i pan pewno nadejdzie, to w t r y m i g a pojedziemy, bo to u niego wszystko pędem. Upał, — prawda? Ale pod wieczór się ma, to i przechłodnie. Szkoda tylko, że kurz będziemy mieli. Deszczyka niema, — ot to bieda! A pani w nasze strony pierwszy raz?

— Pierwszy.

— To pewnie pani na Majdan?

— Ja nic... nie wiem. Pan Bodzanta obiecał mi miejsce u siebie na wsi.

— No, to ta pewnikiem na Majdan. Już jak ino miejsce, — to na Majdan.

— A cóż to jest Majdan?

— To widać pani nawet się nie miała czasu rozmówić z panem... Majdan, widzisz pani, — mówił uroczyście, — to jakżeby tu powiedzieć, nie zełgać? To jest taki niby zakon, albo klasztor.

— Klasztor?!

— Klasztor, ale taki, co z niego zakonnice często gęsto zamąż idą. Choć i nie wszystkie...

— Ale zawsze klasztor? Co?

— E, tak się ta mówi... Folwark — i basta. Obory, mleczarnie, serownie, truskawkarnia, warzywa, przerabianie owoców, warzelnia konfiturów, biura... No i tak Pewnie pani, tak mi się widzi, do biura się nada.

— A to tam są i inne kobiety?

— Czy są kobiety... inne? Ano jakże. Przecie ich tam będzie — e — chyba ze dwieście.

— Kobiet?

— No. Wszystko co niby dawniej z grzeszkami..

— A teraz tam robią, w tym folwarku? To cóż to są, — jakieś ciężkie roboty?

— Jakie roboty tam idą — ba — ba!

Furman zamilkł i zamyślił się. Ewa doznała dziwnego wrażenia. Lęk i ściskanie serca! Chwyciła ręką ucho swojej walizki, żeby ją porwać i uciekać co tchu w piersiach! Ciemne mgły zasłoniły oczy. Oparła się ramieniem o wachlarz pojazdu i, patrząc w ziemię,

rozmyślała głęboko. Wtem posłyszała obok siebie prześliczny — głos dziewczęcy:

— Papuś! Ta?

Ewa podniosła głowę. Naprzeciwko niej, we drzwiach hotelu stała panienka piętnasto-szesnastoletnia. Była szczupła o ciemno-popielatych włosach i szarych, świetlistych oczach. Piękne jej usteczka były rozchylone i niewymowny uśmiech, jak woń różana, na nich leżał. Nie wiedząc o tem, że idzie, panienka szła ku Ewie. Ciągnęła ojca za rękę i mówiła do niego zcicha, ale tak, że Ewa słyszała:

— Jaka ładna, ach, jaka ładna! Papuś, jaka ładna! Gdzieś ją znalazł?

Ani na chwilę nie spuszczając oka z twarzy Ewy, zbliżyła się do niej i wzięła za ręce. Jej oczy, podobnie jak u ojca mądre i przenikliwe, sondowały głęboko:

— Jak pani na imię? — szepnęła.

— Ewa.

— A włosy nie malowane, nie? Prawda, że nie? Bo nie znoszę malowanych włosów! Niektóre przyjeżdżają z malowanymi włosami. Jest to rude, jak ił, jak muł w stawie, albo ordynarnie jaskrawe. Pani ma jasne włosy, ale m e l o d y j n i e jasne. Pani lubi rozmawiać?

— Nie wiem, czy mogę z panią rozmawiać? — spytała Ewa, spoglądając na Bodzantę.

— Proszę... — rzekł. — Moja córka jest ze mną zawsze wśród naszych pracownic.

— Mnie na imię Marta... — rzekła panienka — Jestem teraz praktykantką w ochronach, ale się chcę przerzucić do społecznych. Chcę pracować w muzeum

Wiem, że Wolski ponury jest, jak wieża w Chęcinach, a jednak Anastazya wytrzymała przy nim.

— Siadajmy! Wieczór blizko! — zawołał Bodzanta.

Panna Marta zapięła szczelnie swój płaszczyk do samej ziemi z żaglowego płótna. Miała na głowie płytki, słomkowy kapelusz, opasany dużym, (na modę angielską), woalem koloru szkarłatnego. Wsiadając do powozu, Ewa podniosła oczy. Coś sobie przez chwilę przypominała, coś bolesnego i rozkosznego zarazem. Tajny, przeszywający dreszcz... Nie mogła odnaleźć wszystkiemi władzami duszy tej treści, która przenikała serce. I oto nagle zapłakała przed samą sobą, — tajnie, wewnętrznie... Znalazła...

— Księżniczka Vaughan... — wyszeptała, patrząc przez mgłę łez na daleko rzucone końce woałki, na twarz i czarodziejski uśmiech Marty. Tamta spostrzegła jej łzy. Nachyliła się z drapieżnie wzniesionemi brwiami, z twarzą gwałtownie litosną, ścisnęła ze wszech sił rękę Ewy i szepnęła jej tajemnie:

— Nie płacz! Cicho mi zaraz! No, cicho! No, już cicho, ty, Ewo... Chcesz, będę ci po imieniu mówiła? Chcesz mię za siostrę? Już cię lubię, — a kto wie, kto wie, — może pokocham...

Ewa ścisnęła jej ręce. Nie spostrzegła się, że siedzi na głównem siedzeniu obok Bodzanty, a księżniczka Vaughan naprzeciwko niej, na ławeczce. Chciała się podnieść i protestować, ale konie ruszyły. Wolant z grzmotem i hałasem wjechał w bramę hotelu, wytoczył się na ulicę i pomknął chyżo. Młode konie sadziły skokami. Nim Ewa ocknęła się ze swego oszołomienia, już miasto znikło. Cegielnia, jakiś wiatrak samotny, podmiejski, ubożuchny domek, — wnet potem

folwark, wystawiający na gościniec ordynarne tyły swych obór... Szum starej alei lipowej, obłamanej i poobdzieranej w sposób iście folwarczny i polski... Przemknęły te drzewa stare, minęły, jak melodya dawno znana, której nie sposób już przypomnieć... Oto wieś długa, szara, drewniana, nieskończoną linią chałup, obórek i stodół wpoprzek przecięła szosę.

— Widzi pani, — mówił Bodzanta najoczywiściej dla zawiązania rozmowy, — ile to tu domów, ile stodół, obór i chlewów! Dla każdej krowy osobna obora, dla każdego prosięcia osobny chlew, który, oczywiście, licho, wie ile razy więcej wart, niż jego mieszkaniec. Przed każdą oborą nieodzowna gnojówka i kupa nawozu. Ile chat tyle kóp nawozu. Wartoby obliczyć, jaką to ilością drzewa budulcowego obarczone są te chłopskie zagonki, biedna ziemia, wydająca nędzne żyto i liche kartofle. Ale to jest nasza narodowa siła! Chłop, panie dobrodzieju! W chłopie, moszterdzieju, nasza tego ten!... Tylko chłop!

Marta parsknęła śmiechem.

— Czego się śmiejesz?

— A bo papuś peroruje, papuś wpada w swój trans antychłopski, a ona, Ewa nic nie rozumie. Myśli sobie o dawnych rzeczach.

— Prawda, że to pani nie zajmują te wiejskie kłopoty.

— Owszem! Ale mało się znam...

— Tak. Wieś nie jest tak prosta, jakby się zdawało. Wieś, to długa i mozolna sprawa. Wieś, — to będzie męka odrodzonego narodu.

— Zawsze tęskniłam do wsi. Ojciec mój dawniej na wsi mieszkał.

— Na wsi mieszkał... — powtórzył zcicha Bodzanta.

— A ja przepadam za miastem! — zdecydowała Marta, owijając się w swój płaszcz. — Nawet Kielce, — nawet! Jak tylko zobaczę starą dzwonnicę, daleką Karczówkę, — zaraz mi się robi cieplutko na sercu. A jeszcze jak dzwonī posępnymi dzwonami — bim- bam! — Ty, byłaś w Paryżu, Ewo? Prawda, że byłaś?

— Byłam.

— I ja. Ale nic nie wiem, nic nie wiem z tego Paryża, tylko różowość, wesołość, świetlistość... A Rzym? Monte Pincio... — wyszeptała z zachwytem. — Albo Florencya, sucha, różowo pylna Florencya, w pośrodku której aksamitna wieża...

— Ja znam Rzym... rzekła Ewa.

— A Napoli, gdzie na Chiaja, via Roma wre najżywsze presto ludzkiego bytu, a widok nań z San Martino!...

Znowu wioska. Zmurszałe chałupska, dachy kryte gontem, czarne, nawisłe. Rosochate wierzby, rozwalone płoty... Pustka, siedząca między ścianami, nuda, wyzierająca z pomiędzy szczelin, smutek, włóczący po skibach łachmany szare.

— Jakże można się dziwić, — perorowała Marta gwałtownie, — że ludzie stąd uciekają. Patrzcie, patrzcie! Mieszkać tutaj, w tem okropnem schronisku... Wieczne błoto, — och, nie! nie błoto, lecz wieczne bajoro... Wieczne odwracanie ziemi do góry nogami, to w tę, to w tę stronę...

— Ziemia jest święta matka nasza. Z niej my jesteśmy wszyscy, — mówił Bodzanta dydaktycznie, uprzejmie, ze wzniosłym uśmieszkiem i zabawnie podniesionemi brwiami.

— No wiem, że matka... Ale dlaczegóż matka ma być koniecznie tak nudna, tak obdarta...

— A bo polska... bo polska dola, zaklęta dola... — jąkał się Bodzanta...

Mrok już zapadał. Kurz otaczał pędzący pojazd. Daleko za leśnemi wzgórzami kryło się słońce. Ziemia od jego promieni była czerwona i pozłocista... Ewa spostrzegła długi drewniany most na rzece. Dalej roztwierały się znowu pola, przedzielone na horyzoncie długą kresą alei lipowej.

— Patrz, — mówiła Marta, — tam jest Głownia, w tych wielkich drzewach. Bieleje pałac — widzisz go? Dawny nasz pałac.

— Dawny? A któż w nim teraz mieszka?

— Nikt.

— Pusty?

— E — gdzież tam! Papuś, ona nic nie wie, nic a nic nie wie. Skandal! Najzupełniejsza cielęcinka wielkanocna...

— Jakże można tak mówić o cudzoziemce? Pojedzie na Majdan, — to zrozumie.

— Czekaj-no, — zacznę ja cię uświadamiać! Patrz— tam jest Majdan. Widzisz, — już światła w nim błyskają. Jedno światło, drugie, o, trzecie... To wielkie okno, co teraz zabłysło, to hala stolarska, a tamto nad niem, sanatoryum...

Ewa wytężyła wzrok w fioletowe cienie. Przed oczyma jej wznosił się łańcuch leśnych gór, owiany tam i sam mgłami brzóz. Gdzieniegdzie czerniał szeroki płat sosnowego tęgoboru, — dalej nagie zbocza, porosłe jałowcem i uwieńczone osypiskami skał.

— Czy tu jest wasza rezydencya? — spytała Ewa szeptem, nachylona do Marty.

— Rezydencya! Niewiasto szydząca... My nie mamy żadnej rezydencyi, gdyż jesteśmy ludzie ubodzy. Zbiedniała szlachta, do usług! Mamy tylko jednę izbę i ogród, który uprawiamy sami przy pomocy ogrodniczka.

— A te konie czyje, a te warsztaty, o których mówisz?

— Konie są zakładowe, sanatoryjne, fabryczne, — wszystkich. A warsztaty są nasze, — nie moje, ani twoje, tylko nasze, gromadzkie, ojczyste.

Ewa słuchała z niedającem się ukryć rozczarowaniem. Stary pan uśmiechał się chytrze i ironicznie, rzucając zabawnie oczyma na prawo i na lewo, jakby pilnie lustrował koła wolanta.

— Nic nie wiesz, nic jeszcze nie wiesz, blondyneczko, Diano podeptana przez jelenie... — pieściła się z nią Marta. — Słuchaj! Wszystko ci opowiem w krótkiem skróceniu, w tyciusieńskim konspekcie. Otwieraj uszy! Mój papuś nazywa się Bodzanta. Bodzanta! Wiesz już teraz? Bodzantowie byli zawsze magnateryą, chadzali z królami i obok królów, nadymali się nieraz przeciwko królom. — Różnie bywało. Lubili „ojczyznę miłą", ale i o sobie nie zapominali. Ostatnimi czasy, — recytowała z zabawnym patosem, — dosięgli przez związki familijne z najpierwszymi w Polsce domami, — Himalajów bogactw. Dostatek, zaszczyty, nawet wielkość pchały się do ich siedzib drzwiami i oknami. Bez trudu możnaby się wylegitymować z kuzynostwa z Burbonami, a rozmaitych pseudo-królów w rodzie... na kopy! Modląc się, (obłudnie), po kościołach, wzdychali, że to Bóg dał im tyle bogactwa. Tymczasem dały

im tyle bogactwa żeniaczki, sukcesye, procesy, intrygi, praca ludu, no i karty.

Bodzanta krzywił się i kiwał niecierpliwie. Marta ciągnęła:

— Mój dziaduś był jednym z najbogatszych panów. Mój papuś odziedziczył fortuneczkę, — paluszki lizać! Wszystkie folwarki, które zobaczysz, gdy wyjedziemy na tę pochyłą górę, zwaną Szłom, za tą rzeką, należały do papusia: Marcyanów, Głownia, Poszłomie, Zalesie, Płotki, Osiedle, Wólka Płotecka, Młynarze, Morgi... Papuś sobie z początku służył w austryackiem wojsku, bo i tam, w Galicji, miał godny kęsek ziemi. Jak mię doszły autentyczne wieści, papuś wtedy był birbant i awanturnik. A tak! Birbant. Ale oto wyszedł z wojska i pojechał w świat. Gdzie był, co robił! — milczą dzieje. Nie było papusia, nie było, (i mnie nawet, wyobraź sobie, nie było), aż nareszcie przyjechał do Warszawy. Porządnie spuścił fortuneczki, ale nie tak znowu... Chodzą wieści, że był w Ameryce, w Australji, w południowej Afryce. Naraz gruchnęło po okolicy, że papuś się żeni. No, i sprawdziło się. Ożenił się z moją mamą. Moja mama jest z domu księżniczka Korecka. A w dodatku taka śliczna! No, dobrze... Pojechali zagranicę. Mieszkali sobie na wyspie Capri, nad błękitnem Śródziemnem morzem, w willi, którą później widziałam... Nie było ich w kraju, nie było, (i mnie znowu nie było!), — aż tu na złość, urodziłam się. Wyobraź sobie, tam na Capri, w tej willi! Przyjechali ze mną do Warszawy — i pokłócili się o coś. Ale porządnie, jak tylko papuś potrafi. Do tej pory nie mogę dojść, o co się pokłócili, dość, że się pokłócili i rozwiedli. Taka, wiesz... seperacya, proces rzymski...

— Wiem... — rzekła Ewa z łagodnym uśmiechem.

— Mama, moje dziecko, zabrała się i pojechała do Paryża, a ja zostałam u mojej babci. Chowałam się u mojej babci i rzadko widywałam mamę, rzadko papusia. Bo papuś znowu prysnął w świat. Po Angliach po Amerykach, po Japoniach... (Moja mama jest śliczna! Ale to potem...) Wyrosłam na dużą pannicę, aż tu w towarzystwie poczęto o papusiu puszczać szalone plotki. Że tatuś tam zrobił takie dziwactwo, że tam takie, że znowu! Ilem ja się po nocach naszlochała! Byli nawet... O, Boże! Jak jeszcze wyżej dorosnę... Na własne uszy raz podsłuchałam u Balów... Kupię u Greulicha szpicrutę ze stalowym prętem w środku i póty będę chodziła, dopóki nie spotkam sam na sam tego podłego Szczerbica...

— Szczerbica!... — jęknęła Ewa.

— Kajetana. Bo był drugi Szczerbic, Siżyś, rozumny i milusi, muzyk kochany, to go, jak na złość w Wiedniu bandyci zamordowali.

— Czy tak? — spytała Ewa.

— A jak spotkam nareszcie tego Kajetana, to trzasnę sześć razy szpicrutą, posiekam fizys na kotlety. Żeby pręgi, jak mój najgrubszy palec, musiał nosić na buzi przez ruski miesiąc! Powiedział o papusiu... No, nie powtórzę!

— A kiedy to pewnie prawda... — śmiał się Bodzanta.

— Och, bo papuś to jest także! — zaperzyła się. Po chwili uspokojenia ciągnęła dalej:

— Wszystko dlatego, że papuś już wówczas zamierzył spełnić swój wielki czyn. I mówił czasem, otwierał usta do tego... stada!...

— Och, jakież to ordynaryjne i niesprawiedliwe słowa!... — z niesmakiem mruknął Bodzanta.

— Bo widzisz, papuś w sam dzień Matki Boskiej Zielnej, w rocznicę moich urodzin, sześć lat temu wyrzekł się władania swemi dobrami.

Dlaczego? — spytała Ewa niedbale.

— A z dziwactwa! Z pańskiej fanaberyi. Jeszcze tego na świecie nie było, więc to musiał zmajstrować. Kiedy ludzie stali po sumie przed kościołem w Głowni, krótkiemi słowy ich zawiadomił. Odtąd papuś i ja, my, Bodzantowie, szlachta prawieczna, wróciliśmy, skądeśmy wyszli: weszliśmy w lud i staliśmy się jednostkami z ludu.

Powiedziała to głosem wyniosłym, ze śmieszną grandezzą, zawijając się w swój żaglowy płaszcz, jakby w gronostajową delię królowej.

Bodzanta śmiał się dziwacznym swym śmiechem, głęboko radosnym, ekstatycznym, weselącym się w sobie, mówiąc:

— Jednostko z ludu, przedstawiasz ten czyn demokratyczny z taką pychą, jakbyś publikowała nadanie i uniwersał królowej.

Konie gwałtownie skręciły na boczną drogę, świeżo zaopatrzoną w głębokie rowy, wysoko podniesioną i usypaną tłuczonym granitem. Minięto wieś kościelną, później skręcone na lewo i pojazd potoczył się w dół.

— Patrz, Ewo, to nasza szosa. Nasza, — to nie znaczy za nasze pieniądze, lecz naszemi usiłowaniami dźwignięta. Most. Widzisz go na rzece, tam w dole. Nasz most! Patrz jakie ma filary! To kwarc z naszych gór, brany na cement. Myślisz może, że to jest jakaś odmienna rzeka? Mylisz się grubo! To ta sama, cośmy

ją już raz przebywali. Słuchaj, jak to awanturnica szumi... Och, ona szumi! Kocham ją bardzo. Strasznie ją kocham! Papusia tak kocham, Majdan — i ją. No... i mamę... Nie masz pojęcia, jaka to rzeka kapryśnica, jaki dzikus. Na wiosnę wzbiera nagle i staje się ogromna, jak huczący Rodan. To samo w końcu czerwca, na święty Jan. Zalewa całą dolinę, rwie groble, targa upusty, szarpie młyny, zrzuca ze siebie wszelkie mosty. Nie znosiła do tej pory mostów, a teraz, dobrodziejka, musi tolerować nasz most! Przykre to, moja pani, ale cóż robić... Zła jest jak człowiek. Wszystkie jej strumienie są z naszych, czarnych, jodłowych borów, wszystkie idą ze źródeł w naszej puszczy. To też ona ma czarną duszę. (Bo ona ma duszę... szepnęła). A ja ją kocham właśnie za dzikość, za wzniosłość i za grozę jej duszy. Ona ma taką duszę, jak tutejsi ludzie, jak tutejsi chłopi i jak my, tutejsi chłopi, Bodzantowie.

— Znów się, chłopko, wynosisz pychą... — chichotał Bodzanta.

— Musieliśmy tu wznieść nad nią tak wielki most, żeby go nie ugryzła. Już go próbowała zeszłego roku: na święty Jan wydęła się, wydźwignęła, — mało nie pękła, — i na nic, ledwie liznęła górnych przęseł. Bo on ma 120 łokci długości. Wszystkie okoliczne wsie składały się kamieniem, furmanką, drzewem i pracą na ten most. Czyś ty kiedy słyszała, żeby chłopi z jednej wsi, ba — z jednej parafii dali szeląg na most w innej parafii? Przenigdy nie dali w dawnych czasach! Chłop dawny, chłop zimny ugór, chłop płona i martwa rola, którego duszę potworną, zimną i martwą, utopioną, w liczeniu zysku, my niszczymy... Bo trzeba ci wiedzieć, że my niszczymy chłopów i stwarzamy obywateli. Precz

ze szlachtą i precz z chłopami! — słyszysz! Chłop nowy, chłop nowej Polski, którego duszę my stwarzamy, ten jednogłośnie, (jednogłośnie, — słyszysz, — jak ongi przedwieczna, jagiellońska szlachta na sejmach), dał z dobrawoli na ten nasz nowy most do Majdanu. Dlaczegóż to tak jednogłośnie? Dlaczego?

Zachłysnęła się z wielkiej radości. Szepnęła, wstając ze swego miejsca i wyciągając ręce:

— Dlatego, że papuś do tych wszystkich wsi, do zgromadzonego tłumu swym cichym głosem przemówił. Wyłożył im konieczność. A skoro on przemówił... Gdybyś ty słyszała ten okrzyk, ten jeden okrzyk, ten polski okrzyk! Któryż to król jest tak potężny, który miał kiedy na ziemi taką władzę, jak mój papuś?...

Ewa obudziła się nazajutrz rano w niewielkim pokoiku, umeblowanym w sposób najprostszy. Sprzęty były ze świerkowego drzewa, pokostowane. Tylko na ścianie wisiał przepyszny sztych, reprodukcya najboleśniejszego obrazu, jaki wydała sztuka, — „Zdjęcie z krzyża" Ribery z neapolitańskiego San Martino. Ewa podniosła się, ubrała szybko i uchyliła drzwi. Poprzedniego dnia, w ciemnościach nic nie widziała. Korytarz, przecinający budynek, doprowadził ją do schodów i drzwi. Nikogo nie spotkała. Drzwi na dole były otwarte. Wyszła do ogrodu. Ogród ten, jak cała okolica, leżał na dosyć stromej pochyłości góry, jednej z łańcucha, ciągnącego się z zachodu na wschód. Góra pokryta była brzozowym przeważnie lasem, tylko szczyt jej nagi jeżył się od bezleśnych rumowisk i skał. W miejscu, gdzie od strony pól zamierał las, rozpościerały się ogrody, idąc

w dal po falistościach gruntu. W ogrodach tam i sam stały domki, domy i znaczniejsze budowle. Drzewa owocowe w nowo złożonych sadach były jeszcze niewysokie, lecz już pokryte mnóstwem owocu. Cała rozległość była tu uprawiona i formalnie kipiała, raziła oczy ogromem najrozmaitszych roślin, krzewów, malin, porzeczek, agrestu, wina, pomidorów, słoneczników, które kolorowemi smugami słały się na wsze strony. Na wschodzie wydłużona góra urywała się. Widać było fioletową o poranku głębię doliny, a za nią drugą górę, daleko wyższą, szeroko rozsiadłą i zakończoną szczytem dosyć ostrym. I tamta pokryta była lasem brzozowym. Obiedwie szumiały w porannym wietrze suchym i sypkim szelestem brzozowym, wzdychały olbrzymiemi piersiami.

Ewa zatrzymała się w miejscu i w rozkoszy słuchała. Opasał serce lęk, żeby ten błogousty szelest lasów brzozowych nie ustał... Było niewymownie słuchać tego, co szumiało. Złudzenie poniosło duszę w dal, w młodość. Życia jakby nie było. Jest dziewictwo, dzieciństwo... Kroki lekkie wiodą do Baranka Bożego, który kędyś tu śpi na łące błogosławionej. We włosach szumi powiew, — wysusza niespostrzeżone, nieskrępowane łzy, co po twarzy spływają. Ramiona dźwigają się, dźwigają same i oczy wznoszą ku niebiosom, zalane łzami. Tam w górze przywarły do białych chmurek, a usta, jak niegdyś, jak przed laty straszliwemi skamłają w upojeniu:

— Obłoki, obłoki...

Szła tak przed się, nie wiedząc dokąd. Spotykała kobiety śpieszące, które ją obrzucały ciekawemi spojrzeniami. Jedne z nich były opalone, formalnie ogorzałe od słońca, ze skórą łuszczącą się na policzkach

i nosie, w ubraniach robotnic, inne szły z parasolkami, w rękawiczkach i sukniach miastowych. Wśród zagonów siedziały schylone nad pieleniem chwastów, krzątały się około krzaków agrestu, zbierały pomidory, niosły kosze z marchwią i ogórkami, polewały, grabiły, biegły z pośpiechem i tonęły w nieskończonych uliczkach i zakrętach ogrodów. Niektóre były dziwnie strojne, obwieszone błyskotliwymi fatałachami. Tam i sam na ławkach siedziały, rozmawiając, dziewczyny z twarzami wyświechtanemi od nierządu, ulicznice niepo-skromione. W jednem miejscu leżała na ławce kobieta lat trzydziestu. Patrzyła na Ewę wzrokiem obojętnym, tępym, potwornie martwym. Była rozmamana, z półodkrytemi nogami, rozkudłana i niemyta. Uśmiech ohydny leżał na jej wargach czerwonych i lśnił się na policzkach, jak połysk na rondlu. Kobieta ta nie odwróciła głowy, gdy Ewa szła obok. Została ze swym uśmiechem, wpatrzona w przestrzeń. Gdzieś za krzewami słychać było obrzydły swar głosów wrzaskliwych, ochrypłych, potwornie rozjuszonych. Z cienistej uliczki czereśniowej wyszły dwie młode dziewczyny, żywo rozmawiające. Ewa podniosła oczy i drgnęła z obrzydzenia. Jedna z tych śmiejących się tak wesoło nia miała nosa. Czarny plaster pod jej oczyma, śmiejącemi się serdecznie, był tak wymowny, że Ewa coprędzej rzuciła się w poprzeczną uliczkę. Tam wpadła z pośpiechu na idącą zprzeciwka młodą osobę szczupłą i dosyć ładną. Była to niemal panienka-podlotek, szatynka z niebieskiemi oczami. Zwróciła na Ewę ciekawe źrenice i uśmiechała się życzliwie. Ewa nie była w stanie nie odpowiedzieć jej takim samym uśmiechem. Szatynka zbliżyła się natychmiast i zagadnęła:

— Pani wczoraj przyjechała z panną Martą, — prawda?

— Tak, wczoraj przyjechałam.

— Czy pani z Warszawy? — spytała ciekawie.

— Nie, teraz nie z Warszawy.

— Myślałam... Jeszcze pani nie widziała zapewne ani ogrodu, ani fermy, ani oranżeryi, ani biur? Nie?

— Przed chwilą wstałam...

To ja panią oprowadzę... dobrze? Na imię mi Jadwiga. Nazwisko? Ale co tam po nazwisku? która z nas ma nazwisko?

Jakto? — krzyknęła Ewa, mimowoli podnosząc rękę do oczu, — czyż i pani?

— Czy i ja byłam dziewką publiczną? Och, jeszcze jaką, jeszcze jaką!

Przez chwilę szła z oczyma spuszczonemi, z rękami w kieszeniach fartucha, śmiejąc się cicho. Nagle zwróciła na Ewę spojrzenie, mierzyła ją oczyma i zapytała:

— A pani znajduje, że jest to wogóle ohydne? Nieprawdaż?

— Nic nie wiem, pani. Jestem ciemna, jak robak...

— Ja znajduję, — trzepała Jadwiga, — że miałam, prawo tak postępować, jak postępowałam. Było to życie takie samo, jak każde inne. Pani nie znajduje?

— Nie wiem.

— Czy świat, czy społeczeństwo, czy ktokolwiek stracił co na tem, że ja miałam tak zwany stosunek z najrozmaitszymi drabami? Nie wiem, czy ktokolwiek zyskałby co na tem, gdybym była oddawała się tylko jednemu. Moje ciała należało i należy do mnie. Ponieważ rozkosz była we mnie, więc pił ją świat z moich

ust, a ja piłam ją z ust świata. Marzenie o grzechu zabijało mnie po nocach, więc puściłam się. Poznałam, co to jest rozpusta. Wiem, że to jest także cudna sprawa! Ale mam jej już dosyć. Jak niegdyś rozpusty, tak teraz dusza moja zapragnęła czystości. Obrzydła mi rozpusta, stała się dla mnie tak odrażająca, jak nawóz ludzki. Widzi pani, — krzyknęła, — że rozpusta prowadzi do cnoty pewniejszą ścieżką, niż niewiadomość, niż głupotka niewiadomości. Czy nie? Bodzanta mię przywiódł tutaj za rękę, do tych ogrodów... Teraz jestem tak strasznie szczęśliwa, tak strasznie, jak nikt na ziemi! .

— Doprawdy? Dobrze tu pani?

— Strasznie dobrze! — wybuchnęła Jadwiga. — Gdyby tutaj kto chciał żyć po dawnemu, żyłby bez przeszkody. Ale któraż z nas, wyzwolonych z pod tyranii rozpu ty męskiej, chciałaby zbliżenia do siebie mężczyzny? Żadna! Wszystkie jesteśmy szczęśliwe, że nareszcie jesteśmy bez mężczyzn. Tu jest miejsce, gdzie wszyscy mówią prawdę. Lecz tu ludzie wogóle mówią mało. Przedewszystkiem muszę panią poinformować, że tu wszystko daleko bardziej czuje się, niż rozumie. A wi pani dlaczego tak jest? Ja sobie to tak tłómaczę... Ponieważ to wszystko zbudowane i stworzone zostało przez wielki zachwyt, przez wybuch, jakby erupcyę uczucia, więc uczucie niesie ludzi wszystkich którzy tu są, jakby na fali natchnienia. Podobnie się ma ta rzecz, jak z wielką katedrą, z wielkim pomnikiem, wielkim utworem sztuki. Cóż to jest bowiem dzieło Rodina o skazańcach z Calais? Dzieło szalone, ku któremu rzesze wzdychają, ogarnięte szaleństwem twórcy. Wyrazy, które się tu mówi, — są to prawdziwe wyrazy.

Pani się ich nauczy. Po oczach widzę, że pani ma wolę do prawdziwych wyrazów. Ach, jakie tu są istoty! Jest tu bajeczna kobieta, Iza. Bajecznie piękna, rozumie się piękna po naszemu, bo w naszym sadzie na piękność lub brzydotę z wierzchu nikt uwagi nie zwraca. Jest rzeźbiarz, Wit, ten co zbudował te wszystkie domy i stawia kościół na górze. Wit bez skazy, Wit czysty. No jest pokasłujący Mazurek, doktorek suchotniczek, „przemysłowiec gruźliczy". Jest jedna młoda malusieńka blondyneczka. Zostaje u nas, ale miewa pokusy. Najszczersza ze wszystkich. Dowodzi wciąż konieczności spowiedzi publicznych, codziennych i rozgrzeszeń od „gminy" na mające się popełnić występki. To ananas, co? Jest ogrodnik naczelny, „Wacio Całopalątko", „Wacio Ofiarka", ponieważ się zawzięcie gapi na niewiasty. Wie pani, nawet starzy należą do naszego „Ogrodu róży". Chociaż starzy są wogóle skostniali. Jeżeli są nadmiernie skostniali, pełni, nałogów i „mądrości", to ich powolutko wyziębiamy. Za parkan, za parkan! Do ludzi rządzących się „rozumem", „mądrością"!...

— A Marta? Czy należy do waszego ogrodu Marta?

— Marta... — wyszeptała Jadwiga z anielskim uśmiechem, — Martuś nasz, nieskalanka nasza, dziewczka, symbol?... My ją strzeżemy, osłaniamy, nakrywamy dzień i noc wielką kapą modlitw... Gdyby pani wiedziała, jak ją strasznie kochamy! Bo widzi pani, — ona to jest drugi kraniec... Kołyska,której już niema... Motyl, który już odleciał...

Oczy Ewy napełniły się wielkiemi kroplami łez. Jadwiga wyciągnęła barki, wspięła się na palce i szeptała:

— I ty jesteś z „Ogrodu róży". Chodź!

Szły tedy w milczeniu, dokądś w górę, ku brzo-

zowej puszczy. Gdy jej dosięgły, Ewa zatrzymała się Pod nogami ich była poprzeczna dolina, przecinająca ów łańcuch gór. Ewa nachyliła się i patrzała w dolinę. Tam w głębi płynęła rzeka, dążąca, żeby przepłynąć pod wielkim mostem, o którym tyle mówiła Marta. Łąki po obudwu stronach rzeki były skoszone i młody potraw chwiał się tam już na słońcu, jak ruń pierwszych dni wiosennych. Biała droga, polska, zaświatowa, leśna, wiodąca do jakichś polan w boru, wstęgą biegła po nadbrzeżu, nieskończona i fantastyczna, jak myśl... Wierzby srebrnolistne, olchy czarnopienne towarzyszyły zakrętom rzecznym. Przy drodze tam i sam leżały ogromne głazy. Jadwiga pokazała Ewie te głazy.

— Widzisz, — mówiła, — tamten wrośnięty w ziemię?... Niegdyś leżał na szczycie góry. Spadł z wysokości. Nazywa się „Umarły Ołtarz“. Pójdziemy do niego... Jest w nim zagłębienie, jakby jeziorko tylusieńkie. Zawsze w niem stoi woda. Ta woda jest święta. Bo to woda z nieba, która nie zetknie się z ziemią i nie wsiąknie w ziemię, tylko znowu wróci do nieba. Chłopi mówią, że ta woda uzdrawia ślepe oczy. Jeśli przyjść po wielkim deszczu i przemyć czerwone, kaprawe, ślepe oczy... Zdala idą...

— Powiedz mi... — zająknęła się Ewa, — co wy tu robicie, co to jest ów cały Majdan?

— Jest to folwark w tych górach. Był sobie od wieków folwark w górach nazwiskiem Majdan. Należał do dziedzica, jak przystało na folwark. Nie dawał zbyt wielkich dochodów, boć to góry, drogi ciężkie. Wziął tedy dziedzic, jaśnie pan Bodzanta, i przekształcił folwark na dziwaczne ogrody. Kazał wyciąć część lasu i otoczył parkanem jedno miejsce. O wiorstę dalej, —

drugie. Powiedział tak: tu będą się hodowały zdegradowane prostytutki. Tam będzie sanatoryum dla suchotników fabrycznych, tam dalej uzdrowisko dla pijaków... Tamta wielka góra nie należy do niego, a ta nasza należy cała. Całą tę górę postanowił zaludnić takimi oto pasażerami. No i zaludnił. Zgarnął z miast nędzę, jak nawóz i położył na tym południowym stoku pod słońcem... Czy dobrze zrobił?

— A starczy mu pieniędzy?

— Zdaje się, że mu dotychczas starczyło. Bo teraz, zda się, już nic nie ma. Jeżeli zabiera na Majdan z fabryki suchotnika, to go zabiera z żoną i dziećmi. Osadza chorego w sanatoryum, a dzieci i żonę w domku. których kolonia utworzyła się na tamtym zboczu. Dzieci idą do szkoły freblowskiej i do szkół początkowych, a żony i dzieci dorastające otrzymują możność zarobkowania, w tutejszych warsztatach. Stworzył bowiem specyalne rzemiosła: wyrób mebli, zabawek, lasek. fajek, cygarniczek, ozdób z jałowcu, którym pokryte są góry, założył introligatornie, fabrykę słomkowych kapeluszy, wyplatania ozdobnych koszyków i tak dalej. Pracują w tych zakładach i chorzy, o ile im lekarz pozwoli.

— A co do kobiet? Cóż się robi z niemi, kiedy tu przyjdą?

— Każda robi, co chce. Wpuszczają je do ogrodu i basta. Jeżeli która chce wyjść na świat, to wychodzi, jeżeli chce leżeć bezczynnie do góry brzuchem, to leży, jeżeli chce pracować, to pracuje.

— No to, oczywiście, wszystkie nic nie robią?

— Są takie, których nie można zagonić, przymusić do odpoczynku. Są i takie, co śpią w dzień, a po nocy

włóczą się w ogrodach. Ale ogrody dają wielkie zyski, gdyż większość ogromna w nich pracuje. Codzień odchodzą do Kielc wozy z warzywem, owocami, truskawkami, malinami, ogórkami... Mamy w Kielcach własny sklep, który obsługują nasze kobiety. Kilkadziesiąt kobiet pracuje w mleczarni, maślarni, serowni, w „izbie konfitur“, marynat... Bo zważ tylko, że my nie mamy rodziny, nie mamy poczucia własności, nie mamy dla kogo kraść... Pracujemy dla samej pracy. Kilka naszych dziewcząt pasa krowy. Są takie, co po przybyciu na Majdan nie chcą nic a nic robić, wrzeszczą, drą się i biją między sobą, robią skandale, kradną, niszczą rzeczy. Najczęściej takie biorą się z nudów do pasienia krów. W dole za ogrodami, nad rzeką jest pastwisko. Tam te latawice hasają, dokazują, tańczą, wywrzaskują ohydne pieśni, chichocą z echem górskiem. Z czasem, przypatrzywszy się naszemu życiu, znudzone próżniactwem, biorą się cichaczem do bylejakiej roboty, wchodzą w rozkosz gromadzkiego pracowania — i tak...

— A dużo stąd ucieka?

— Owszem, zdarza się, że uciekają. Kilka wyszło zamąż. A najczęściej nie chcą słyszeć o niczem. Zaszywają się w ten święty ogród i, ukrywszy się pod krzewinami, pracują do siódmego potu.

— A któż kieruje robotami?

— Robotami kieruje stary zrzęda ogrodnik, który ma pomocników. Ale my mamy swój własny zarząd obieralny, z nas samych złożony. Mamy swój sąd. Jest biuro, biblioteka, sala do koncertów, w której bywają tańce.

— A mężczyzn widujecie?

— Każdemu tu wolno wchodzić, każdej wolno przyj-

mować kogo chce i kiedy chce. Ale wogóle tutaj mężczyźni nie są mile widziani przez kobiety. Przytem mężczyzn tu mało. Co niedziela przyjeżdżają na tańce z okolicznych folwarków urzędnicy administracyi i inne franty. Kilka z naszych wyszło już zamąż. Ja tam nie uważam owego wychodzenia zamąż za jakąś lepszą formę życia. Rodzina jest to, naogół biorąc, wielkie świństwo.

— A sama małaś dzieci? — spytała Ewa.

— Nie miałam.

— Tak, nie miałaś...

— Ale ja tu gadam, a w biurze ludzie czekają...

Rzuciła się w boczną uliczkę i zginęła w zieleni. Ewa została niespodzianie sama. Poszła w górę, szeroką drogą, połamaną w pętlicowe zakosy. Droga ta wspinała się po stromej pochyłości w starym, brzozowym lesie. Ogromne drzewa o warkoczach do ziemi, szumiące, suchoszelestne kołysały się wokoło, gdy szła. Znowu tedy wróciła do tego, co było, zanim spotkała Jadwigę. Trafiła w swoje uczucia, jakby w kolej wyżłobioną. Nogi wlokły się w miękkim pyle. Brnęła przez ciemności wewnętrzne duszy, przez las głęboki swego życia! Nie czuła, że upał pali jej głowę, że pył, wzdęty przez wiatr, łechce w gardzieli. Gdy wreszcie podniosła głowę, stanęła zdumiona. Już lasu nie było. Szumiał za nią, w dole. Naokół był przestwór jałowców nieobjęty oczyma, szczyt góry blizko, a na najwyższym grzebieniu, na rumowisku twardych kwarcytów wznosił się jakiś niedokończony gmach. Otaczały go ze wszech stron rusztowania. Stały się dookoła deski, wszędzie były cegły, krokwie, doły z wapnem, bale, niezliczona ilość tafel chęcińskiego marmuru, bloków ciosowych...

Słychać było szczęk młotków kamieniarskich, łoskot siekier...

Ewa weszła cicho w obręb budowli i przekroczyła progi gmachu. Znalazła się w jakiejś świątyni. Już w niej było sklepienie. Okna-dziury patrzyły w świat. Kiedy zbliżyła sę do jednego z otworów, zapewne przyszłych drzwi, żachnęła się, ujrzawszy jakoby drugi kraj. Otwór ten wychodził na stronę północną i widać było tamtejsze pasma gór, rozległą dolinę z wioskami, długiemi, jak oko sięgnie, lasy jodłowe spłowiałe tam i sam od smug dębu i buka, folwarki, młyny, rzekę połyskującą wśród łąk, strumienie...

Ewa wróciła w stronę, skąd przyszła, i przez otwór z tamtym symetryczny ujrzała brzozowy las, Majdan, wsie, aleje, pałac w Głowni, łąki, ścierniska, drogę bitą, lasku, nizkie domki w dole, ogrody, a dalej znowu — most, wioski, wioski, wreszcie Kielce. Kiedy, napatrzywszy się na przedziwny krajobraz, zwróciła oczy w głąb świątyni, była uderzona jej kształtem. Nasuwało się pamięci coś wiadomego, czego jednak żadną miarą nie sposób przypomnieć. Tylko urok i radosne drżenie wewnętrzne, niejasne upojenie, płynące z tego źródła, zostawało, jako pewność...

Kształt tego miejsca, przeczuty i przeżyty chyba wówczas, gdy była w domu i, leżąc na prętach żelaznych, patrzyła w niebo. Nie zadrgało wrażenie i nie zmieniła się jego moc, gdy nagły żal, jak miecz nieubłaganego anioła, przeszył serce.

Poczęła ukradkiem, z ciekawością podpatrywać. Kościół ten nie był podobny do żadnego z tych, które

była na świecie widziała, i nie stamtąd płynęło przeżycie. Nie było w nim głuchego mroku świętego Szczepana i katedry medyolańskiej, czaru świętego Marka, ani odpychającej grozy świętego Piotra w Rzymie, ani ciemnego lęku Notre-Dame, ani uciechy ducha, jak w Saint-Chapelle. Był tu tak samo jak tam zaklęty w kamienie duch myślący i głęboko wzruszony, lecz dorzucała się nadto siła prostoty i pokory, jak w Notre-Dame w Poitiers, albo kościoła St. Michel d'Aiguille w Puy. Kościół ten nie miał wcale charakteru dzieł monumentalnych. Był on prosty, ubogi, tylko silny i strzelisty. Dwie wieże wyrastały z jego cielska. Obiedwie były niby owe renesansowe wieże w Bretanii, które są strzeliste ściśle z gotycka, poczęte w duchu gotyckim, a jednak nie mają z nim nic wspólnego. Wyrastały ze skarp niby-gotyckich, tak znanych i miłych polskiemu oku, ale wybiegłszy w górę ośmiokątnymi słupami, przemieniały się w jakieś widziadła krzyżowe, które można tylekroć spostrzedz na rozstajnych, „polskich" drogach i na zapomnianych mogiłach. Ponad nawę środkową wznosił się taki właśnie mogilnik, obarczony trzema krzyżami. Pod nim były trzy okna niemal gotyckie, spadające aż do pewnego daszku, który zakrywał wejście szerokie. Ów „portal" był ordynarnie prosty, surowo nizki, istotne wejście do chłopskiej chałupy. Mała skarpa stojąca obok miała w sobie naiwność i nieporadność przedwiecznego zjawiska, urok surowości, jak orzeł albo czupiradła z Notre-Dame. Wielkie romby kwarcu wmurowane tu i tam lśniły kryształkami miki, gdzieniegdzie prześlicznie rumieniła się smuga cegły albo szlak różowej dachówki... Ta masa była prosta, jak potężną i prostą w zamieć zimową i w słotę bez końca jest przyroda polska, jak je-

dnolity a niewymowny jest krajobraz polski. Widmo tego kościoła wyrosło z ziemi, jak drzewo, wystrzeliło z góry, jak okrzyk zapamiętałej egzaltacyi, żyjący w łonie polskiem. Nic w niem nie było obcego, przyniesionego do kraju z za gór. Wszystko tu wyrosło, nawet pomysł wydłużonych szyb i skarp oróżowionych daszkami, świecących tyle już lat nad płaską ziemią w Wiślicy. Przez okna, już obramowane ciemnym chęcińskim marmurem, przeglądało niebo, tworząc witraż nieporównany. Szybkoskrzydłe chmurki płynęły tam w górę równie niewysłowienie, jak płyną modły, skargi i krzyki rozpaczy ducha przez boskie szyby Wyspiańskiego. Wyniosły strop łamał się i zagłębiał, uciekał w górę i tonął w ścianach. Nizko, w tem miejscu gdzie ów strop zapadał w grube prostactwo ścian, podobnie jak nieboskłon zapada w ziemię u krańców horyzontu, tworzyły się smugi spadające w dół, ni to łuki nieznanego porządku. U ich wytrysków, dziwnie uroczych, ukazywały się błędne twarze, kute w świętokrzyskim kwarcycie. Były te twarze mocy i niemocy, miłości i nienawiści, boleści i radości, zachwytu i dosytu. Były grube, mocne, genialne. Przypominały prastare rzeźby, które można jeszcze spotkać w zapomnianych, tajemniczych kościołach kryjących się w pustkowiach kieleckich gór... Wysoko, w tem miejscu, gdzie najsilniejsze światło padało z przeciwległych okien, była wmurowana wielka, szara, marmurowa tablica, a na niej wykuta wielkiemi literami nigdy nie ustająca skarga rodu ludzkiego:

„Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa,
Przemija jako cień,
A nigdy nie trwa w tymże stanie...“

Ewa przymknęła oczy. Na ustach jej wykwitł uśmiech powolny, balsamiczny. Spłynął z nich szept:

— To mi Róża, Róża... Niepołomska... mówiła...

W czasie podróży z Kielc na Majdan Ewa wspomniała o swem urzędowaniu w biurze kolejowem. Zapewne na skutek tej wzmianki była po kilku dniach pobytu na Majdanie wezwana do mieszkania Bodzanty dla wyjaśnienia, czy teraz nie chciałaby się podjąć prowadzenia ksiąg kasowych. Było to po południu. Ewa weszła na piętro niewielkiej willi. Na parterze mieściły się pokoje biurowe, na piętrze mieszkał Bodzanta. Marta spotkała Ewę we drzwiach i pociągnęła do przedzi·łu za kotarą, gdzie mieściło się jej gineceum. Umeblowanie było bardzo ładne. Ewa z przyjemnością oglądała prześliczne rzeźbione, włoskie, barokowe meble, kilka pięknych obrazów, wiele rodowych miniatur. W gineceum Marty stały jeszcze dawne sprzęciki, zapewne niemałej wartości. Widać było, że to są rzeczy przechowane. Nie resztki, wyciągnięte z ruin, nie cudze graty, kupione od handlarzy, lecz pamiątki domowe, które z mnóstwa innych wzięto ze sobą w nową podróż ducha, wszystko inne oddawszy bliźnim bez żalu. Jakiś tedy stary fermoir w kształcie zamku z basztami, oszklony weneckiemi lustrami wewnątrz, pełen przegródek, skrytek, szufladek tajemnych, — starożytne łóżko z adamaszkowym baldachimem i kotarą, którą stanowił duży gobelin. Pełno tu było sztychów angielskich, rysunków i zabytków... Ewa usiadła w kącie i rozkoszowała się tem mieszkaniem. Oczy jej szły ze sprzętu na sprzęt, a w ślad za niemi szła ironiczna, złośliwa myśl, że wła-

ściwie ofiara Bodzanty jest niezupełna, że właściwie należałoby ją rozpocząć od wyrzeczenia się tych drobiazgów. Gdyby teraz zeszedł nań sąd, musiałby go osądzić, jako przywłaszczyciela tylu skarbów, należących do ludu... Ewa śmiała się dobrodusznie. Marta pokazywała jej tajemnice biureczka, kiedy wszedł Bodzanta, prowadząc ze sobą jakiegoś pana. Marta wstała i wyszła naprzeciwko gościa. Bodzanta, ujrzawszy Ewę, skinął głową i poprosił gestem, żeby się zbliżyła. Przedstawił gościa córce i, (poniekąd), Ewie. Gość, pan Malinowski, był to człowiek trzydziestokilkoletni, średniego wzrostu, w okularach, z poza których uważnie i badawczo spozierał. Był ubrany według ostatniej mody, ruchów pewnych i salonowo gładki. Bodzanta prosił wszystkich swymi kątowymi ruchami rąk, żeby usiedli, i zapowiedział Marcie, że pan Malinowski zostaje na obiedzie. Skoro zajęto miejsca i Bodzanta nachylił się, nastawił swoim zwyczajem dłonią ucho, gość rzekł:

— To mię właśnie przywiodło...

— Szanowny nasz gość utrzymuje, — krzyczał do córki, — że nasz system gospodarowania nie zadawalnia...

— Mówić tego nie mogę, żeby nie zadawalniał, — szybko przerwał gość, — bo nic jeszcze nie widziałem, ale wyznać muszę, że większość obywatelska w naszych stronach, po przeczytaniu w gazecie, została samą wieścią poważnie zaniepokojona. Nie umiano zdać sobie sprawy. A że dochodziły najrozmaitsze wieści...

— Najrozmaitsze... dochodziły... — z zapałem potakiwał Bodzanta.

— Co do mnie słuchałem cierpliwie, aż wreszcie zdecydowałem się sam zobaczyć. Bez osobistego przekonania się nie chciałem...

— Bardzo jestem wdzięczny za tę decyzyę. Bo to decyzya wbrew przyzwyczajeniom, wbrew, powiedziałbym, naturze polskiej. Polak lubi decydować bez osobistych przekonywań się, na podstawie intuicyi, odziedziczonej po przodkach, bez przydługich ceregielów. Tak za ojców bywało i dobrze było, — więc bij nowatora, ktokolwiek czcisz Maryę. A ciekawa rzecz, co też mówiono?

— Najrozmaiciej. Nas, to jest nasze stronnictwo, niepokoił ze względu na to wszystko, co się u nas dzieje, ze względu na bezprzykładne rozpętanie społeczne, sam fakt podkreślania sprawy rolnej, przyznający niejako racyę żywiołom przewrotu.

— Żywiołom... Doprawdy?

Nie inaczej. Proszę tylko nie sądzić, jakobyśmy byli przeciwnikami ulepszeń w sferze naszych stosunków wiejskich i folwarcznych. Jesteśmy zwolennikami polepszenia doli włościanina polskiego. Chodzi tylko o to, żeby nie dopuścić do decyzyi żywiołów anarchii i przewrotu. Według nas należy zrobić wszystko, co się da, w sferze polepszenia losu pracowników rolnych, ale nie podobna, i to pod żadnym pozorem, pozwolić, żeby znalazły uznanie anormalne żądania anarchii...

Bodzanta na swych wielkich palcach, które zginał z trzaskiem, notował sobie uważnie i pokornie wszystko, co gość mówił...

— Żeby, — ciągnął pan Malinowski, — destrukcya mogła znaleźć jakiekolwiek u nas pole, żeby ten tyfus społeczny bezładu mógł nabrać pewności, że znajduje jakikolwiek cień zastosowania swych mrzonek, tu w kraju, gdzie jesteśmy gospodarzami. Opinia publiczna powinna nie tylko mówić ale powinna krzyczeć, powinna

bić w dzwon na trwogę, bo zło jest ogromne, bo zło jest ogólne! Czy nie tak?

— Szanowny pan przebaczy, że ja w sposób kategoryczny nie będę wyjawiał mego zdania, gdyż mam, może błędną, taktykę nie wydawania sądów kategorycznych. Nie należałem nigdy do żadnej partyi, do żadnego obozu, do żadnego stronnictwa. Jestem człowiek samotny. Słowo zaś „anarchia“, słowo „destrukcya“, cudzoziemskie terminy, nie wiem, co znaczą...

— Rozumiem przez te słowa wszystko, co wynikło u nas w ostatnich czasach i tyle szkody krajowi przyniosło. Anarchią i destrukcyą nazywam ów cały nierząd społeczny, który tworzą u nas socyaliści, więc strajki, niszczące nasz przemysł i lud doprowadzające do nędzy, więc dzikie gwałty na spokojnej ludności kraju, słowem te wszystkie akcye szkodliwe...

— Przepraszam... szkodliwe dla kogo?

— Dla społeczeństwa.

— Gdybyśmy byli w tym momencie i w tym składzie osób reprezentantami „społeczeństwa“, to przy głosowaniu co do szkodliwości wymienionej anarchii i destrukcyi rozstrzeliłyby się głosy. Ja, naprzykład, głosowałbym przeciwko pojmowaniu tejże anarchii i destrukcyi, jako zjawisk wręcz i bezwzględnie szkodliwych.

— I ja... — z uśmiechem zaznaczyła Marta.

Pan Malinowski grzecznie uśmiechnął się i skłonił w jej stronę. Po chwili rzekł:

— Jestem przegłosowany, ale, niestety, słuszność jest po mojej stronie.

— Jest tu jeszcze jedna osoba, która nie głosowała, — rzekł Bodzanta, przymrużając oczy i patrząc ła-

skawie, łagodnie i miłościwie w stronę Ewy. — Czemuż pani nie korzysta z prawa głosu?

— Nie mam cenzusu wyborczego... — rzekła wesoło.

— Nie ma u nas cenzusów wyborczych! — zdecydowała Marta.

— Wracając do naszej kwestyi, — ciągnął Bodzanta, — nie wiem również, co pan nazywa pożytkiem, a nawet, co społeczeństwem. Wskutek tego nie jestem pewien, czy mógłbym się pisać na jego pojmowanie pożytku społecznego.

— Zdaje mi się, że tu nie może być dwu zdań.

— Ja zaś sądzę, że mogą być dwa zdania, a nawet powinny. Częstokroć, i to już szczególniej u nas, klęską społeczną, niedolą narodową nazywa się, naprzykład, podrożenie robocizny. Wszystkie gazety biją na trwogę, że klęska zagraża ojczyźnie, ludzie się trwożą i martwią, a tymczasem po zbadaniu sprawy okazuje się, że chodzi o podwyżkę kilkunastu kopiejek z kieszeni bogaczów dla tych rodaków, co nie mogą własnem nazwać nawet miejsca, na którem barłóg ich leży, co nie mają własnej łyżki, co nie mają nawet własnego grobu. Wszystko tedy zależy od tego, co rmieścimy w tem słowie „społeczeństwo". Czy, naprzykład, według poglądu szanownego pana parobcy należą do społeczeństwa?

— Parobcy, oczywiście, należą do społeczeństwa.

— Gdzież w takim razie szkodliwość strajków? Jeżeli parobcy będą pracowali krócej, otrzymają większą zapłatę i lepsze izby, to społeczeństwo, zda się, zyska, nie straci. Strajki wtedy tylko są szkodliwe, jeżeli źle są obmyślane, źle przeprowadzone i wskutek tego nie zapewniają wygranej. Któż przed tymi, którzy zainicyowali strajki np. rolne, dbał o los parobków, należących do

społeczeństwa. Nie przypominam sobie, żeby ktoś suszył sobie ich dolą głowę. Czy czynili to obywatele, kler, inteligencya? Jeżeli odpowiedź nie ma być dziennikarska, lecz pochodzić z prawości sumienia, to odpowiedź jest jedna, że uczynili to wyż wzmiankowani destruktorzy społeczni. Dopiero od czasu, kiedy oni poczęli unieszczęśliwiać naród polski, siać anarchię i burzyć ciche nasze szczęście, społeczeństwo przyszło do przekonania, że „należy zrobić wszystko, co się da“. Mieszkam w tej okolicy dawno. Byłem tutaj przed wieloma laty na odpuście w miasteczku Pałuszycach. Po sumie wyszedłem z kościoła i, jak na kolatora przystało, defilowałem ulicą, a raczej aleją, złożoną z żebraków, a ciągnącą się od kościoła aż w rynek cuchnący. Jest to zresztą widok nasz rodzimy, pospolity, bukoliczny i, doprawdy, rzewny. Dziadusiowie siedzą sobie na zeschłem błocie, drą się wniebogłosy, śpiewają okropności, a lud i szlachta wzrusza się, daje groszaki i dusze zmarłe na tamtym świecie bardzo godne mają ulgi. Przez wrodzoną kostyczność usposobienia zacząłem indagować dziadusiów po kolei, czem też każdy z nich trudnił się uprzednio, zanim obrał sobie ów zaszczytny zawód zmniejszania cierpień duszyczkom zmarłych. Okazało się z interwiewu, że dziewięć dziesiątych tych mężów, to są właśnie parobcy, — i to nawet z moich rodowych majątków, oraz z dóbr moich czcigodnych sąsiadów. Społeczeństwo ze spokojem tolerowało ów widoczek iście polski. Dopiero wrogowie narodu zainicyowali usiłowania, żeby parobków wciągnąć w matnię społeczeństwa, zaprotestować przeciwko temu, żeby parobcy moi zostawali na starość dziadami. A czy dziady, siedzące pod kościołem, należą do społeczeństwa?

— I żebracy należą do społeczeństwa.

— A gdybyśmy jednego z nich posadzili wpośród siebie i zapytali go, co jest pożyteczne, a co szkodliwe, czy jego zdanie zgodziłoby się z pańskiem?

— Być może, że zdanie dziada z pod kościoła nie zgodziłoby się z mojem, być może nawet, że byłoby wręcz przeciwne mojemu, ale mimo to, nie jego, lecz, jak śmiem sobie pochlebiać, mój głos byłby bardziej decydujący w tem zagadnieniu, co jest pożyteczne dla mnie i dla niego, oraz dla społeczeństwa.

— Widzimy tedy, że nie od razu można wiedzieć, co jest społecznie pożyteczne, a co szkodliwe. Niewątpliwe jest, (biorąc rzecz z innej strony), że o ile szanowny pan byłby w stanie odłożyć na bok wszystko, coby mogło być jego interesem osobistym, majątkowym, kastowym i stanowym, to zdanie jego, jednostki oświeconej, musiałoby być bardziej ważkie niż zdanie żebraka. Jeżeli jednak szanowny pan zajmie takie stanowisko, wówczas nie będą jego rozumowania miały innego wyniku, tylko taki, że dla społeczeństwa ludzkiego pożyteczną jest rzeczą niszczenie nędzy parobków, wydźwignienie pracowników i żebraków z poniewierki, z gnoju upodlenia, w którym ich trzymamy, i posadzenie obok nas w społeczności chrześcijańskiej, uczynienie ich braćmi naszymi.

— Nasze stronnictwo dąży właśnie do tego samego celu. Nie jesteśmy tylko idealistami, którzyby odziewali dążenia i prace szalone w szaty frazesów bardzo pięknych...

— Tak, frazesów... Czy przed epoką strajków szanowny pan i jego stronnictwo — wszczynaliście akcye, dążące do tego właśnie celu?

— Jeżeli nie wszczynaliśmy akcyi widomej, to dlatego, że warunki były tego rodzaju, iż uniemożliwiały wszelki czyn społeczny. Lecz w stanie potencyalnym wszystko to leżało w naszych intencyach. Sprawa autonomii bezpośrednio wiąże się z rozstrzygnięciem tej zawikłanej sprawy parobczańskiej, rolnej i wogóle robotniczej.

— Ci zaś, którzy rozpoczęli potępiane i zwalczane strajki, nie znali w tej sprawie przeszkód...

— Bo chcieli ryby łowić w mętnej wodzie.

— Ryby... Nie wiem, jakie to można wyłowić dla siebie ryby, idąc przeciwko kulom, kijom, spuszczonym psom podwórzowym i dziennikarskim, oszczerstwom, potwarzom, zniewagom.

— Chcieli pochwycić rybę władzy. Pod pozorem dążenia do dobra ludu chcieli panować zarówno nad ludem, jak nad innemi klasami kraju.

— Wolność czynu leży w nas i nie może być nadana. Ci, co wbrew wszystkiemu usiłowali podnieść byt najbardziej upośledzonych rodaków naszych, byli pasterzami, poganiającymi leniwe woły. My jesteśmy leniwe, senne, żarłoczne, bezduszne woły. Zeżreć, co jest wokoło, usnąć na tem samem miejscu, ocknąć się i znowu żreć, co wyrosło. Gdy mieliśmy państwo, (najpiękniejsze na ziemi, źrenicę wolności świata), doprowadziliśmy je do upadku bezprawiem szlacheckiem i specyalnie wynalezionym snobizmem, niemocą wołów zbitych w stado. Kiedy nie mamy państwa, wzdychamy do niego. Chcielibyśmy, żeby państwo za nas wszystko zrobiło. Przepraszam, że mówię tak niegrzecznie, ale w sprawach ogólnych nie powinniśmy zażywać względem siebie grzeczności.

— O, proszę! Faktem jest, że my, w naszem towarzystwie rolniczem, podnieśliśmy płacę parobczańską, ile się dało, skasowaliśmy rozmaite ograniczenia, uznaliśmy „posyłkę“ za szkodliwą, dajemy w zasadzie izbę każdej rodzinie...

— To znakomicie! To znak, że leniwe woły kiwają rogami i przestępują z nogi na nogę, udając, że idą. Może nawet ruszą z miejsca. A lockout rolniczy, o którym słyszałem, jako o budującem zjawisku tamtejszej okolicy? Samoobrona, — nieprawdaż? Parobcy nie mają wprawdzie zorganizowanego „stronnictwa“, ale to nie dowód, żebyśmy my „szlachta“ nie mieli go mieć. Należy przytrzeć chamstwu rogów! Więc wyrzucanie wszystkich parobków w zimie. To po polsku!

Pan Malinowski uśmiechnął się obojętnie. Po chwili dopiero rzekł:

— Ależ to szanowny pan wyraźnie staje po tamtej stronie.

— Zawsze staję po stronie słuszności. Podniesienie płac zarobników i robotników rolnych zwiększy, (co daj Boże), ich potrzeby.

— W zakresie „monopolowym“.

— Wskutek wzmożenia się potrzeb, wzmoże się konieczność ich zaspokojenia. Może wówczas zaczną choć cokolwiek korzystać z dobrodziejstw naszego przemysłu. Bo obecnie „nasz“ przemysł zaspakaja potrzeby czyjeś w Azyach, Syberyach, Samarkandach, perkaliki „nasze“ są naszą chlubą, lecz nie tutaj. Parobek nasz pod bokiem wielkich fabryk łazi po staremu w straszliwych buciorach, w zgrzebnych, rzadko pranych szmatach, w ohydnie cuchnącej sukmanie i w potwornym kożuchu. Nędzarz ten mieszka tak samo, jak mieszkali praszczurowie

za Piastów, świeci sobie kanfinowym ogarkiem albo i szczapą. W miarę wzrostu przemysłu naturalnego, jaki widzimy w miasteczkach Szwajcaryi, zaspakajających złożone potrzeby mieszkańców okolicy, znaleźliby może w nim zajęcie nasi młodzi technicy, którzy po latach ślęczenia na cudzoziemskich uniwersytetach zostają po przybyciu do ojczyzny, albo fagasami niemieckich właścicieli fabryk, brytanami, szczekającymi na polski lud roboczy, albo urzędnikami. Oto jest, według mnie, istotne dobro kraju. Nie dobro renciarzy rolnych, którzy nic dla ojczyzny nie zrobili, jest dobrem jej, lecz wydźwignięcie z łoża boleści jej dotychczasowych wydziedziczeńców. Ojczyzna, — jest to przyszły ustrój społeczny.

— Stan naszych parobków tak znowu opłakany nie jest...

— Doprawdy? Nie gdzieś za górami, za lasami, nie w Anglii, Ameryce, albo Francyi, lecz na wschód od nas, naprzykład, na Żmudzi parobek pobiera o 15 rubli pensyi rocznej i o 20 pudów ordynaryi więcej, niż parobek w pięknej ziemi lubelskiej. Nadto, na tejże Żmudzi parobek pracuje przecięciowo, (biorąc pod uwagę dzień zimowy i letni), około dziewięciu godzin. Mieszkania tam są zupełnie porządne, „posyłki“ żadnej, lekarz, apteka, ochrony dla dzieci. A proszę teraz wejść do mieszkania parobczańskiego w Lubelskiem, Kieleckiem, Radomskiem i zobaczyć, co to tam jest. Ośmnaście rubli rocznej pensyi, praca we żniwa od trzeciej rano do dziewiątej wieczorem. Na pograniczu pruskiem parobek ma już dwie izby, zegar — i — o, horror! — kanapę wyścielaną. Słyszeliście, renciarze lubelscy?! Brońcie się, bo zło jest blizkie, bo zło jest powszechne!

— Ja nie wiem, czy owa kanapa i ów zegar — są

to znowu ideały tak nieodzowne. Być może, że na gwałt trzeba wnosić naszym Maćkom kanapy... Zgadzam się na wszystko... Domy mieszkalne powinny być zdrowe, obszerne, izby ciepłe i widne, ale bez tych komfortów, na które nie stać większości naszych ziemian. A zresztą, proszę szanownego pana, teoretycznie rzecz biorąc, wydaje się, że nie tylko parobcy, ale nawet niektórzy włościanie przy obecnych warunkach życia dawno powinniby z głodu pokłaść się do grobów. Zdawałoby się, że tak żyć niepodobna, a jednak widzimy nietylko ich samych, ale i inwentarz w dobrym stanie. Można zaobserwować dalej, że w kieleckiej właśnie gubernii, gdzie parobcy nagradzani są najgorzej, rozmnażają się najobficiej.

— A to jest istotnie pociecha! Ośmnaście rubli rocznej pensyi, świnia w izbie, przenaczonej dla dwu rodzin, ośmnaście godzin pracy w lecie na dobę i ta pociecha, że przynajmniej dzieci w bród! Nie, bądźmy już otwarci! Dla mnie owi zbrodniarze, podmawiający do strajku rolnego, byl prekursorami jutrzejszej ojczyzny, pracownikami sprawiedliwości. Nic to, że ich nazwano „hultajami i włóczęgami“. Za to im przyszłość odda, na co zasłużyli, kiedy nadużywającym urzędu pisarskiego na niekorzyść najuboższych rodaków a gwoli zysku bogaczów — przenigdy nie zapomni!

Bodzanta wstał ze swego miejsca i, przechodząc przez pokój śmiesznie nieotamowanymi krokami, zacierał ręce z nerwowym pośpiechem.

— Czy mógłbym prosić, — mówił pan Malinowski wyniośle i oczywiście zmieniając przedmiot rozmowy, — czy mógłbym prosić o rys zasady, według której urządzone zostały folwarki pańskie?

— Moje folwarki...

— Rozumiem...

— Nabrałem głębokiej odrazy do stanu posiadania kawałków ziemi, której nawet nie znam dokładnie, która mi jest zgoła niepotrzebna, podczas gdy ona straszliwie jest potrzebna setkom i tysiącom spragnionych. Ziemia należy do ludu. „Społeczność obowiązkom swoim wierna prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje". To jest najświętsze słowo naszej konstytucyi, przypieczętowane pieczęciami krwi takich, jak Szymon Konarski. Nic tych słów z kodeksu naszego ducha nie wydrze, najprzebieglejsze kłamstwo bogaczów.

Pewnego razu na polowaniu w tych właśnie górach zaszedłem w te oto miejsca. Nie byłem pewien, czy się znajduję na swoich gruntach, czy na cudzych. Spotkałem chłopowinę, orzącego jesienną podorywkę i zapytałem go, czyja to ziemia. Rozmawiałem z nim... Nie będę powtarzał, bo to była najzwyklejsza pogawędka. W trakcie tej rozmowy rozwarło się przedemną czytelne pismo prawdy. Chłop posiada nieśmiertelną duszę, ale dusza ta dzisiaj rozpięta jest na indywidualnym działku ziemi, przybita do tego działka, jak do krzyża, krwawymi goździami nędzy i ciemnoty. Dusza chłopa polskiego jest martwa, nieczuła na nic, co jest ideą żywą, świętością już bytującą wśród ludzi. Niema na świecie człowieka bardziej zimnego, samolubnego, podejrzliwego, żarłocznego i skąpego, niż nasz chłopek nieszczęsny. Nie ufa on nikomu i niczemu, nic nie kocha. Łaknie tylko i pragnie gruntu, bo łaknąć musi. A dusza ta nie może być czującą z naszej winy, z winy tej burżuazyi rolnej, która, podobnie jak chłopstwo, jest duchem nieżywym. To też zarówno chłop, jak tak zwany szlachcic, muszą być zniszczeni. My mamy w naszej cudownej historyi

przykłady, czem staje się szlachcic wywłaszczony z ziemi, szlachcic wygnany po rewolucji 31 roku i szlachcic, pognany w Sybir po roku 63-cim. W nędzy swej staje się wielki, jak ów człowiek stary, bity kijami, a spokojny, opisany przez najzaciekłejszego naszego wroga, Dostojewskiego, — w bogactwie swem — jest jednym ze stada wołów. To też każdy, kto buduje najświętsze budowanie, ojczyznę polską, jej przyszły wielki ustrój, to jedno, co można kochać na ziemi tak szalenie, jak się kocha jedyne dziecko, — ten musi mieć przed oczyma tę prawdę.

— Ja również jestem zwolennikiem parcelacyi.

— Doprawdy? Jakże mi przykro, bo ja jestem jej zaciekłym wrogiem.

Malinowski siedział spokojnie, czekając na ciąg dalszy. Gdy Bodzanta milczał, sam rzekł:

— Jestem zwolennikiem parcelacyi, ale nie tej, rabunkowej, jaką widzimy u nas. Szlachcic nie może wyjść na swoje, więc macha wieś przybłędom. Przybłędy łapią pieniądze z banku, gospodarują pod psem, ręczą solidarnie, rujnują się i marnieją. Nie, panie! Jestem zwolennikiem parcelacyi według systemu pruskiego. To trudno, trzeba się uczyć od Prusaków rozumu, przeminął wiek złoty! System pruski, jak wiadomo, polega na tem, że szlachcic, pragnący rozparcelować dominium, zgłasza się przedewszystkiem do urzędu i wyrabia patent parcelacyjny. Patent ów zaś polega na tem, że wkłada na pragnącego parcelować obowiązek uporządkowania obszaru. To znaczy: niema łąk drenowanych, trzeba dreny zaprowadzić, i to według ostatniego słowa nauki, trzeba w projektowanej wsi postawić szkołę, trzeba rozszerzyć kościół, boć na obszarze, należącym ongi do jed-

nego szlachcica, powstanie ludność, której nie było zgoła, trzeba wreszcie oczyścić ziemię, ze wszelkiego hipotecznego długu. Wówczas dopiero, gdy właściciel wszystkie żądania wypełnił, państwo go bierze w opiekę. Otrzymuje on patent parcelacyjny i od tej chwili na jego hipotekę nikt już wchodzić nie może. Zarazem Landschaft Gesellschaft użycza nowonabywcom kredytu na trzy procent z amortyzacyą. Wielka włość zostaje rozparcelowana, ludzie na niej osiadają, pracują racyonalnie, amortyzując w ciągu jakiegoś dwudziestopięciolecia zaciągniętą pożyczkę. Chłop nowonabywca nie spostrzega się nawet, kiedy zostaje właścicielem ziemi i zostawia dzieciom — majątek. Tym porządkiem stwarza się drobna własność indywidualna, jedyna racyonalna forma na świecie, która taki tryumf święci w Danii i w Niemczech Południowych. W takiej Kopenhadze mamy dziś organizacyę, która jest zarodkiem giełdy towarowej na masło. Duńska małorolna produkcya masła panuje już na targu angielskim. Prezesa duńskiej organizacyi maślarskiej mianują firmy angielskie. Istnieją tam już olbrzymie zakłady, które widziałem, jak w Esbjerg. Około dwudziestu pięciu tysięcy funtów masła dziennie przekształca się tam na cegiełki. Oto jest życie chłopów duńskich.

— Tak, — rzekł Bodzanta. Ażeby stworzyć życie przemysłowe chłopskie w porządku, jaki szanowny pan wskazał, trzeba stworzyć przedewszystkiem państwo w rodzaju pruskiego. Bo trzeba przecie pamiętać, że w Prusach prawo zwierzchnicze władania ziemią należy do państwa. Ani na chwilę nie wolno o tem zapomnieć. Ponieważ ja państwa stworzyć nie mogę, a posiadałem masę ziemi, postanowiłem uczynić, com zamierzył

w sposób na jaki mię było stać, to jest nie pruski, lecz czysto polski, a więc bez niczyjego pozwolenia i aprobaty. Doradcą był mi nie pruski statysta, lecz polski najwyższy rozum społeczny, Stanisław Staszyc, i, o zgrozo! — polski poeta romantyczny, Mickiewicz. Cały system ostatniego zawarł się w paru słowach: „Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy“. Oto i wszystko.

— To właśnie jest najciekawsze, jak to pan hrabia wykonał...

— Moja córka... — rzekł Bodzanta grzecznie, — jest przeciwniczką tytułów... Powiada, na podstawie jakiejś pieśni: „Precz z tytułami!“ Już zaznaczyłem, że jestem przeciwnikiem indywidualnej parcelacyi. Jest ona, po pierwsze, cokolwiekby mówiono przeciwko temu twierdzeniu, pokazując nam zawsze Danię i Niemcy Południowe, zabójstwem kultury rolnej w naszym kraju, po drugie, jest ona zabójstwem kultury historycznej kraju, po trzecie, a najważniejsze, kultywuje w duszy chłopa ową straszliwą martwotę już istniejącą. Chłopstwo jest ostoją reakcyi, filistryi, barbaryi, siedliskiem chamstwa wszędzie, gdzie rej wodzi, — w Szwajcaryi, w Szwecyi, w Norwegii...

— Jakże tedy „każdej rodzinie rola domowa?“

— Zaraz. Chciałbym wiedzieć, jak się parceluje wysoce postawione gospodarstwo rybne, leśne, łąkowe? Czy się rżnie stawy, łąki, lasy na działki, czy też gospodaruje się inaczej, umiejętnie, kolektywnie, pod kierunkiem techników? A dalej. Szanowny pan wie dobrze, jak to się u nas parceluje majątki. Jeżeli gdzieś był jakikolwiek zabytek, (zamczysko, pałac, dwór starodawny, brama, most murowany), — równa się to z ziemią. Baszty idą na podmurówki chlewów, murowane mosty roz-

drapuje się na szczątki i jeździ w bród, jak za Leszka Czarnego. Aleje wycina się natychmiast, w dniu kupna, (parcelacyjne polskie „święto drzew“), ogrody wyniszcza się, albo zapuszcza. Zewnętrzna postać kraju wraca do formy pra-piastowskiej, do czasu przed Kazimierzem Wielkim, do Polski drewnianej. Zdarzyło mi się być w Sandomierskiem w pewnej miejscowości o historycznem brzmieniu. Nad doliną Wisły w przepysznem miejscu stał uroczy pałacyk, przerobiony z dawnego zamku. Wjeżdżało się przez stare fosy po arkadowym moście. Wspomnienia dzieciństwa zrosły się z widokiem tych arkad, cała okolica przechowywała legendy o zamczysku i fosach... Kiedy przejeżdżałem tamtędy przed dwoma laty, — jakże mi było żal, jak żal! Ani śladu, ani cienia nie tylko zamczyska, ale ogrodu... Nie uczynili tego wandale-chłopi, nie, — to postępowa myśl polska, to nasz system społeczeńskiego myślenia. Tak być musi! A teraz nowy świat na ruinach dawnego, — jakże wygląda? Domostwa budują się sposobem najtańszym ze starych stodół, ze zmurszałych obór. Nie jest to ani chata, ani racyonalny dom. Są to nasze ohydne „kolonie“. Powstaje na miejscu, gdzie niegdyś były już europejskie budowle, gdzie myśl pracowała nad formą piękna — potworny dom-barak. Ale, przypuśćmy, że to drobiazg. Któżby tam na to!... Weźmy rolnictwo. Panu, jako gospodarzowi z zawodu, nie mam potrzeby mówić o użyteczności w rolnictwie ulepszonych narzędzi rolniczych. Weźmy, naprzykład, sprawę brony sprężynowej. Szanowny pan dobrze wie, że na czterysta mórg potrzebne są i wystarczą dwie czterokonne brony. A teraz fakt: połowa tejże brony musi służyć właścicielowi dziesięciomorgowego działka. Brona kosztuje 36 rubli. Może ją kupić upra-

wiający 400 morgów, ale żadną miarą nie może wydać 18 rubli małorolny. Młocarnia na kilku morgach jest nonsensem. Narzędzie złożone opłaca się dopiero na pewnym rozmiarze ziemi.

— Nie domyślam się, do czego zmierzamy. Bo spółki rolne ułatwią przecie kupowanie maszyn nawet pięciomorgowcom. I to już się dzieje.

— Gdy w Rzymie wynaleziono bronę, powstała tam przeciętna przestrzeń rolna, m a n s a, rozległości około 30 morgów. Rozmiar osady, warsztatu pracy, zależy od narzędzi, któremi się pracuje. Dopóki używano siły sprzężajnej wołów, gospodarstwo było małe. Skoro do pracy zaciągnięto konia, osada się zwiększyła. Maszynowa siła w rolnictwie musi wywołać wzrost rozmiarów warsztatu rolnego.

— Czy to tylko nie są jakie hipotezy?

— Hipotezy... Mniejsza! Proszę wziąć nie hipotetyczne obarczenie ziemi chłopskiej budowlami. Każda krowa posiada swą oborę, (o ile nie „mieszka“ pospołu z gospodarzem w izbie). Jest to zgodne z naszym tak zwanym indywidualizmem. Jesteśmy narodem indywidualistów. Lubimy, żeby i nasze krowy zażywały praw indywidualizmu. To samo stosuje się do konia i prosiaka. Nie jestem pewien, czy podana jest gdzie ogólna suma wartości obór, stodółek, chlewików... Rasa bydła, okryta przez te budowle, jest absolutnie przez gospodarstwo chłopskie zdegenerowana, czy nie wyhodowana. Krowa koślawa, chuda, z małem wymieniem, ledwo łażąca, strasznie brudna, — toż to przecie znana nam indywidualistka! Chłopskie konięta, „chetki“, u nas w Kieleckiem mają wygląd zniszczonych źrebiąt. Właściciel hodowca zaprzęga źrebię do pługa i do wozu w drugim roku. Gdy-

by tak, wskutek jakiegokolwiek kataklizmu, dwory przestały dostarczać nabiału do Warszawy, ładnieby na produkcyi chłopskiej wyglądały miasta! Kiedy u nas, wogóle w Polsce, krowa daje rocznie 650 litrów, krowa rasy fryzyjskiej, wyhodowana w wielkiej oborze pod kierunkiem zootechnika, dostarcza 4100 litrów. A pomyślmyż, ilu to ludzi, ilu kmiotów pracowitych, ile dziewuch, dzieci, bab obsługuje u nas to bydełko koślawe! W wielkich fermach amerykańskich jeden robotnik może obsłużyć 200 wołów. Pomyślmy, ile sił idzie na marne, ile pracy tonie w gnojówce wiejskiej!

Co zaś do hodowli zbóż, — toć i mówić nie warto! Racyonalne gospodarstwo na działku chłopskim!... Pan to przecież wie i wszyscy to wiedzą, ale nie chcą uznać. Któż u nas zadaje sobie trud stworzenia planu żywota ludu na przyszłe czasy, kto go chce hodować? Zawsze chodzi o dziś. Załatwić, (przepyszne, czysto polskie słowo!), kwestyę rolną, zwalić ją z ramion... oto wszystko. Był tu, w naszej okolicy, ziemianin pewien, właściciel znacznego folwarku, agronom, rolnik doskonały. Zajął się szczególniej podniesieniem jakości ziarna. Jego olbrzymi owies sławny był na całą prowincyę, a folwark zastępował jakieś amerykańskie Bureau of Plant Industry. Ziemianin ów miał chwalebny zwyczaj: przy każdem zetknięciu z pracowitymi kmiotami dawał ćwierć, czy półćwiartek swego wielkiego owsa, a brał dla fornalek tyleż kmiecego pośladu, zwanego owsem. Miał nadzieję, że tym sposobem przyczyni się do podniesienia kultury rolnej. Zdarzyło się, że w ten sposób pomieniał się z pewnym chłopem z Poszłomia, niejakim Kląskwą. Po roku, czy więcej, spotyka się mój ziemianin na jarmarku z Kląskwą i, przypomniawszy sobie za-

mianę, pyta: — A cóż Kląskwa, jakże się też udał mój owies? Wyrósł też godnie? — Chłopowina począł się tęgo orać pazurami po głowie, aż ci rzecze: — Proszę łaski pana dziedzica, a to powiem prawdę, — bieda się stała z ónym owsem. — No, jakaż? — A taka bieda się stała, że jakem tamten owies przywiózł we worku do chałupy, jakem pokazał, to naprzód nie chciały wierzyć, że to owies, a potem jak ta już uwierzyły, to moja zmełła ów owies w żarnach, narobiła krupek i zjedliśmy z mlekiem. A godne były krupki, panie dziedzicu. Oto jest los idejów rolnych na chłopskiej działce.

— A jednak w naszej okolicy już się trafiają żniwiarki na chłopskich polach. I, notabene, żniwiarki kupione za wspólne pieniądze przez kilku sąsiadów we wsi.

— A tak. Za sto lat kupią sobie nawet lokomobilę, o ile na to pozwoli wzrastająca proletaryzacya. Gdzie praca ręczna jest tak tania, (poczciwy, staropolski dwuzłotek), gdzie można nająć człowieka do całodziennej pracy za kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście kopiejek, gdzie istnieje taki ogrom siły roboczej, pocóż ma się wytwarzać postęp rolniczy, jakim sposobem ma powstać? Można jeszcze orać byle czem, a żąć za psie pieniądze ludzkiemi rękoma. Więc cóż tu ma robić droga, skomplikowana maszyna? Dopiero podniesienie płac zarobnych robotników rolnych do jakiegoś ludzkiego poziomu, choćby do poziomu płac na Żmudzi, może spowodować ten skutek, że opłaciłoby się stosowanie maszyny. To podniesienie płac może dokonać się wskutek odciągnięcia pewnej części proletaryatu bezrolnego i małorolnego do osiedleń się na gruntach wielkofolwarcznych. Dlatego to, (na złość braci szlachcie!), przedsięwziąłem na własną rękę dokonanie reformy. (Mówią już o mnie, że

mam manię niepopularnaści). Idąc, w podstawie czynu, za przykładem Staszyca, osiedliłem ludzi bezrolnych z mojej okolicy i ludzi, którzy zdala przychodzili tutaj, jako bandosy, na ziemiach, objętych prawem dziedzictwa...

— Jakże się dokonało to osiedlenie?

— Dokonało się szybko i prosto. Bandosy i parobcy, którzy pracowali w folwarkach pod kierunkiem rządców i ekonomów — zostali w tychże folwarkach nie tylko na czas letni, lecz, i na zimę, a potem na zawsze. Jak pracowali dawniej, tak pracują teraz. Podział tch zajęć został udoskonalony, a gospodarstwo silnie wzmożone. Gospodarstwo zostaje pod kierunkiem agronomów, techników i specyalistów, kształconych w Europie na uniwersytetach. W folwarkach nic się nie zmieniło ze starej, pradziadowskiej kultury. Został wielki pałac w Główni, zbudowany w siedemnastym wieku przez Hieronima Bodzantę, opoja sławnego na całą Polskę, zostały parki, ogrody, drogi, mosty, aleje, altany, kaplice. Istnienie tych dzieł postępu i kultury zostało zawarowane, włożone na barki naszego Towarzystwa Rolniczego.

— Czy to już jest rejentalnie spisana ustawa?

— Jeszcze nie. Dotąd jest to jeszcze umowa prywatna. Badamy jeszcze wszystko, doskonalimy, urabiamy. Ale przyjdzie chwila aktu!... Przybyły dotąd tylko domy mieszkalne, budowane nie w ów straszliwy bezsens, materyał dla pożarów i umyślne siedlisko szkarlatyn, czyli w wieś polską, lecz rozrzucone wpobliżu drogi bitej. „Każdej rodzinie rolà domowa pod opieką gminy". Różnica między tem, co było, a tem co jest nie da się prawie spostrzedz. Wszystko polega na tem, że zboże, wyprodukowane przez pracowników, nie należy

do mnie, który do niego nie miałem minimalnego prawa, (z chrześcijańskiego punktu widzenia), lecz należy do tych, którzy je wypielęgnowali. Ziemie wszystkich folwarków, wraz ze wszystkiem, co na nich było, oddane zostały w wieczystą dzierżawę osiadłym na niej pracownikom. Czyste zyski idą na utrzymanie instytucyi majdańskich, szkół, szpitali, ochron, stanowiąc część dochodów tych instytucyi.

— Więc te falanstery, już sześć lat istnieją, czy tak?

— Nie wiem, czy to są falanstery. Sądzę, że są to instytucye, wynikłe z wielkich cierpień polskiego ducha, przypiekanego przez tyle lat głowniami, wyrwanemi z dymu pożarów, wyrosłe z samotnych łez wielkich poetów polskości, wydeptane przez bose nogi wygnańców na grudach i kamieniach długiej drogi sybirskiej i po twardych gościńcach obczyzny.

— Pięknie to powiedziane, w istocie. A nie obawia się szanowny pan, że kiedyś z powodu tychże instytucyi rozlać się mogą znowu kałuże krwi, gdy przyjdzie doba zatargu o podział zysków i gdy przyjdzie chwila, ważna chwila dziedziczenia? Ja uważam, że wszelkie gminne władanie ziemią ma w następstwie zależność, ucisk osoby, zdławienie energii, zabicie inicyatywy.

— Łaskawy panie! Przestańmy udawać, że wierzymy w jakowyś inny ideał, podczas gdy my pragniemy zniweczyć ideał. Czy widzi pan zdławienie energii robotników i inżynierów w kopalniach i fabrykach, albo zabicie inicyatywy? Zależność jest wszędzie na ziemi, lecz, jeśli gdzie, to u nas niweczy ją solidarność. Ucisk osoby jest to frazes rozciągliwy. Człowiek, posiadający działkę ziemi, poddany jest miliardowi ucisków osoby, a przecie o tamtych uciskach wcale się nie mówi. Kto

jest zwolennikiem działek parcelacyjnych w przeciwieństwie do produkcyi wielkofolwarcznej, zrzeszonej, kooperacyjnej, przypomina mi zwolennika rzemiosł w przeciwieństwie do przemysłu wielkofabrycznego. Rzemiosło daje, z pewnością, pewną swobodę indywidualną, niezależność osoby, możność wyładowania energii i stosowania inicyatywy, ale czyż przemysł wielkofabryczny te przymioty zabija, a czy je rzemiosło specyalnie rozwija? Wielu ja się rzeczy obawiam. Ale co do walki o podział zysków, to liczę na pewne wskazania. Wszak historya nie wspomina w Polsce o walkach z racyi podziału zysków między chłopami i dziedzicami i to na przestrzeni trzystu lat czarnej nocy pańszczyźnianej. Czemuż teraz miałbym się trwożyć, gdy idę, niosąc w obydwu rękach prawdę podziału. Cały lud polski w ciągu kilkuset lat w taki właśnie sposób, to jest kollektywnie pracował „na pańskiem“. Tak samo pracują dziś na dworskich obszarach parobcy i bandosi. Pomiędzy pańszczyźnianym porządkiem rzeczy, a tym porządkiem, który nadciąga, zachodzi tylko różnica w pobieraniu zysków. Ale podział zysków jest właściwie sprawą drugorzędną. Sprawą główną i zasadniczą jest organizacya pracy i zaspokojenie potrzeb. Jeżeli praca będzie zorganizowana na wzór dostojny i godny plemienia ludzkiego, to podział zysków i ich zużytkowanie jest sprawą pochodną, drugorzędną. Nawet dziś, czy parobcy pańscy zabijają, — aczkolwiek pan na każdym z nich zarabia dziennie jednego rubla, (a w niektórych, pszennych okolicach rubla i 25 kopiejek)? Podział zysków dokonywuje się w oczach wszystkich i sprawiedliwie. Nad tem czuwa komisya wewnętrzna z samych pracowników złożona i komisya zewnętrzna, złożona z kilku

marzycieli, których kodeksem są „Kursa literatur słowiańskich“ i artykuły z „Trybuny ludów“...

— Jakkolwiek bądź, ja osobiście nie jestem spokojny o życie owych agronomów i techników, gospodarujących na folwarkach...

— Życzę każdemu takiego zdrowia, jakiem się cieszą te chłopy! Każdy musi być oczywiście inżynierem, agronomem nie tylko z patentem, ale i kwalifikacyami, a im czerwieńszy ideowiec, tem lepiej, bo to gwarancya, że się sprawa nie dostała do rąk naszej szanownej filistryi. A czy nie lepiejby było dla naszej zrujnowanej szlachty, uczyć synów na takich oto instruktorów ludu, którzyby weszli w lud, stali się nim, przekazali mu kulturę polską, zanim on sam nową jej formę wynajdzie i rozwinie? Czy nie lepiej zostać na wsi, jako rolnik, niż rzucić lud na pastwę ciemnoty, a samemu zmykać między miejskie filistry i tam posłować, urzędować, wysługiwać się potencyom zawsze w imieniu ludu, a na jego karku?

— A cóż pałac? Jakże pałac wśród takiej idylli?

— Pałac jest to dom ojczysty, miejsce główne, muzeum społeczne, sala odczytowa, muzyczna, biblioteczna. Przed wiekami został zbudowany przez ojców, po wiekach go odziedziczyli synowie.

— Te formułki są bardzo ładnie brzmiące, miłe dla ucha i serca, ale mnie cała sprawa nie porywa. To nie jest trwała forma życia. Jakże będzie z dziedziczeniem?

— Widzi pan i ja nad formą dziedziczenia łamałem sobie po nocach głowę. Przyszedłem do przeświadczenia, że ta forma dziedziczenia osiedleńców wytworzy się sama w miarę rozwoju sprawy.

— To nie jest prawne rozwiązanie.

— A czy pan rozwiązał prawnie formę dziedziczenia bezrolnych bandosów, którzy się po kraju włóczą? Wytężymy wszystkie siły w tym celu, żeby jak najbardziej uprzemysłowić gospodarstwo, stworzymy przemysły zimowe, jak najwięcej chłopców poświęcimy nauce i poczekamy. Jestem przeświadczony, że te ziemie wyżywią trzy pokolenia i to lekko, „leciuścko“, jak mówią bandosy.

— A no, liczmy na to!

— Ja liczę jeszcze na inne facecye. Liczę na to, że nasi sąsiedzi z owych długich, „długaśnych“ wsi indywidualnych, ujrzawszy nasze gospodarstwo gromadzkie, naszą doskonałą kooperatywę rolną, ujrzawszy ogrom rezultatów zbożowych i kulturalnych, wreszcie swobodę naszego ustroju, gdzie człowiek żywie, póki chce, a odchodzi, kiedy woła, bo nie jest przykuty do skrawka ziemi, — sami przyjdą do przeświadczenia, że gnojówka, aczkolwiek tak sprzyjająca kultowi osoby, nie zapewnia innych korzyści. Założą tedy przedewszystkiem szopę na ulepszone narzędzia, potem wspólną oborę i zaczną obrządzać bydło wspólnemi siłami. Później pójdą po rozum do głowy i wytworzą we wsi podział pracy, zaprowadzą gospodarstwo na wzór folwarcznego, zbudują spichlerz gromadzki i, — słyszy pan, co za horrenda! — skasują granice działków. Wzrost w kraju postępu, to znaczy procederów i przedsiębiorstw rolniczych, centralizacya takich objawów, jak mleczarstwo, a nadewszystko racyonalna uprawa zbóż, oraz racyonalny handel wytworzą bardzo szybko zaniechanie wegetacyi indywidualnej i przejście do gospodarstwa racyonalnego, to znaczy do wspólnoty, współdziałania, podziału pracy i zysków.

— Niech żyje szanowna utopia!

— Mniejsza o nazwę i nawet o ironię. Zawsze postęp w Polszcze nazywał się i nazywa utopią. Spędziłem znaczny przeciąg czasu w Ameryce. Widziałem tamtejszy postęp techniczny w rolnictwie. Działalność takiego W. Lathrop'a, Hansena, E. A. Bessey'a — tych prawdziwie rycerskich Agricultural explorers — ktoby to pojął? Wielkie badania Ameryki i gleby świata, ażeby wynaleźć syntezę rośliny, ziarna, — przenosiny ziarna, nieraz z narażeniem życia, krzyżowanie rosyjskiej i japońskiej pszenicy, osiedliny w Ameryce chmielu, ryżu Kiushu, jabłek antonówek, wina z Korsyki... Zaręczam panu, że sam opis tego postępu nasunąłby każdemu z naszych ziemian tę właśnie nazwę — utopia! Wiem, że nie można tamtejszych form gospodarowania transponować na nasze, że częstokroć tamtejsze gospodarstwo jest wprost rabunkowe, ale coby powiedział taki Carleton, który zasiał Dakotę i Nebraskę pszenicą arnautką, gdyby mu kazano trzymać się utartych wzorów, cyfr i wskazań, a nadewszystko tego pewnika, „że tego nigdzie nie było“, że przecie „w Danii i w Południowych Niemczech...“ Szybkość ludzkiego postępu jest nieobliczalna. Możemy stworzyć cuda, wydobyć z tej ziemi utopię, która olśni oczy mieszkańców ziemi, możemy ścigać się z Lathrop'em w pomysłach uszczęśliwienia ojczyzny. W naszych to jest ręku.

— Ja sam należę do grona gospodarzy postępowych, walczę z moją okolicą. Założyłem spółkę włościańską, towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe, tworzę mleczarnię udziałową, chmielarnię, plantacye drzew owocowych i dzikich. Ale wyznaję, że pragnę chodzić i chodzę po ziemi. Pracuję dla zysku i, jeżeli kogo zachęcam

do pracy ze mną, to dlatego, żeby miał zysk i schował go do kieszeni. Nie daruję nikomu swego majątku, to już darmo.

— Nikogo nie namawiam do darowania. To rzecz osobista. Spełniłem, com uważał za godziwe. Czyn jest to nauczyciel najwymowniejszy. Założyłem w Głowni szkołę gospodarstwa p o l s k i e g o. Jeżeli mówisz, rodaku, że kochasz tę ojczyznę, kochajże ją w duchu i w prawdzie. Ojczyzna to nie tylko ziemia, ustrój jej przyszły, nie tylko groby a ludzie, lecz także cnota i prawo. Tak pojmowali starzy.

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem, domem, obyczajem,
Państwa zgonem, albo zjawem,
Ale cnotą, ale prawem.

Jakże zaś ta cnota i prawo ma się pogodzić z naszą szlacheckością, z bosemi nogami najmitów, z nędzą proletaryacką, z martwicą dusz chłopskich?

———

Zaraz po obiedzie wyruszono na zwiedzanie folwarków. Ponieważ Ewa nie widziała ich jeszcze, zaproszono i ją do uczestnictwa w wycieczce. Ta sama para młodych koni, która Ewę z Kielc przywiozła, szła teraz zaprzężona do breku. Zjechano szybko z podgórskiego płaskowzgórza, na którem wznosi się Majdan, przebyto znowu most. Konie przebiegły ulicę wiejską, nad którą szumiały stare drzewa sadów, i wyniosły brek w płaskie pola, pokryte już ścierniami. Stały jeszcze owsy, tatarka i kartofle. Wnet ukazała się szeroka droga, gościniec,

prowadzący ku ogromny alejom, idącym w różne strony świata, z jednego ośrodka, pełnego drzew. Z prawej i lewej strony tej drogi, w dość znacznej odległości jeden od drugiego, widać było tam i sam zbudowane domy z gankami, przeważnie drewniane, choć trafiały się wśród nich i budynki z cegły. Wszystkie miały duże okna, wysokie ściany, podmurówki, wysokie płoty. Dokoła każdego z nich zataczał się nowy sad. Wszystko to było jeszcze nowe, świeżo zbudowane i zasadzone. Nowa droga szosowa, świeżo bita z twardego kamienia, prowadziła do jednej z topolowych alei. W polach, daleko, widać było sterty, dym lokomobili, strzelające kłębki pary i tłum pracujący.

— Widzi pan, jakie to proste i nieefektowne. Nic nie zdradza obecności utopii... — mówił Bodzanta.

— No, w Główni będziemy mieli nieco sensacyi... — wtrąciła Marta, poprawiając się na swojem miejscu.

Wkrótce przebyto długą, starą aleję i pojazd wtoczył się na dziedziniec dawnego dominium. Dziedziniec był z dawien dawna brukowany. Zabudowania murowane otaczały go ze wszech stron. W głębi, na wzniesieniu stał pałac. Towarzystwo wysiadło. Zwiedzano obory, urządzone w sposób nowożytny, ze żłobami doskonałej czystości, z wodociągiem, dostarczającym napoju i zmywającym nawóz. Oglądano starożytny, piętrowy spichlerz, przekształcony na nowożytną modłę i zaopatrzony w elewatory. Następnie wizytowano stajnie, szopę maszyn, maślarnię, stodoły i t. d. W trakcie pobytu na folwarku gości przyjechał zawiadomiony kierownik, agronom Łumski. Był to jegomość wysoki, ogorzały, z zawiesistym wąsem i w tak notorycznie obcisłych inekspyrmablach, że najbaczniejsze oko endeckie

nie wytropiłoby w nim przewrotnej duszy. A jednak te tak sympatyczne pozory najfatalniej myliły. Łumski z dystynkcyą, która widać wzięła górę nad „doktryną“, oprowadzał gości po reszcie zabudowań. Mieszkania parobków nieżonatych znajdowały się w dolnych izbach pałacu (sic!), w amfiladzie dawnych pokojów gościnnych. Każdy z parobków zajmował jeden z pokoików, najrozmaiciej tapetowanych (sic!) i trzymanych w najrozmaitszych barwach (sic!). Na piętrze, dokąd wchodziło się głównymi, wielkimi schodami, mieściły się sale szkolne. Oczywiście zastawienie największej i najładniejszej z tych sal, (gotyckiej) prostemi ławkami, aczkolwiek były wykonane według najlepszego wzoru Korniłowicza, szkodziło nieco całokształtowi widoku. Ale za to, gdy młodzież ze wszystkich trzech oddziałów szkoły, ze stolarni, z koszykarni, oraz inni obecni na popołudniowej lekcyi rysunków, (widocznie na cześć Bodzanty), zaśpiewali nieoczekiwanie przepysznym, młodym chórem, chwytającym ducha i zapierającym oddech:

Polały się łzy moje czyste, rzęsiste,
Na moje dzieciństwo sielskie-anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski..

wrażenie ławek zatarło się. I owszem niewysłowione uczucie wzniosłości ogarnęło obecnych. W jednej z sal sąsiednich, barokowej, jakby wyjętej z Wersalu i przeniesionej do Głowni, mieściła się biblioteka i dawna galerya obrazów. Usunięto z niej niektóre malowidła, bo zostały puste miejsca na ścianach. Były tam reprodukcye Michała Anioła i Andrzeja del Sarto w doskonałych kopiach, Wieczerza Leonarda, Zdjęcie z krzyża — Ribe-

ry, święta rodzina Boticellego i wiele innych. Pan Malinowski, stojąc w tej sali, zamyślił się głęboko, a potem grzecznie i napół smutnie zapytał:

— Czy niema obawy, żeby tak piękne obrazy uległy zniszczeniu przez nieświadomą młodzież z folwarku?

— Dzieła sztuki podlegają zniszczeniu... — odrzekł Bodzanta. — Jeden z tych obrazów, kopię mej umiłowanej, prześlicznej Magdaleny, (z willi Borghese), Andrzeja del Sarto znalazłem u jednego z kuzynów na strychu. Zatykano nią dymnik. Co do nas, kładziemy w to wszystko usilność, żeby wytłómaczyć wartość istotną, artystyczną i względną, materyalną każdego z tych obrazów. Są potemu specyalne lekcye i pokazy. Wozimy nasze obrazy po jarmarkach i pokazujemy w płóciennej budzie. Niema, zdaje się, obawy, żeby te obrazy miały być zniszczone. Nikt nie jest tak wdzięczny, jak lud, jeśli jest bezinteresownie kształcony. Ten tylko obawia się ciemnoty ludu, kto widzi możliwość, że lud może być podszczuty przez inną ciemnotę. Kto jednak, jak my, szedł do ludu z bezinteresowną oświatą, ten musi nabrać przekonania, że nikt nie jest bardziej uprawomocniony, nikt bardziej godny otrzymania dzieł sztuki, bronzów, marmurów i stali przeszłości. Któż ma odziedziczyć mękę i wzruszenia artyzmu? Kto jeszcze wierzy w apostołów Andrzeja del Sarto z kościoła w Pizie, tak jak on wierzył? Czyż nie lud tylko? Kto się wzruszy na świecie tragedyą wieczernika Leonarda? Wszak tylko on. Któż tedy ma prawo do odziedziczenia sztuki przeszłości? Czy mieszczuch, zbogacony trudem ludu, plemię fabrykanckie, plemię giełdziarzy, dorobkiewiczów, przebiegłych wałkoniów, znieprawione w szwindlach, czy plemię ich fagasów dziennikarskich? Dzieła sztuki, — całą przeszłość

artyzmu, owoc śmiertelnych zapasów artystów z naturą i duchem tajemnicy, — tę najwyższą, najstraszniejszą, najcenniejszą, najczcigodniejszą z prac ludzkości, odziedziczy praca fizyczna i nakarmi nią głód swego ducha. Obraz artysty nie może się znajdować ani w prywatnem posiadaniu, ani w muzeum, galeryi. Obraz musi wędrować wpoprzek świata, musi przemawiać, wołać, wzywać na rynku, bo poto został stworzony. Biada mu, jeśli się staje łupem bogacza! Źle mu, gdy leży na składzie v galeryi, dostępnej dla niewielu. Obraz, — to duch artysty, to płomień pochodni, który wicher wędrówki wiecznie powinien rozdymać...

Pan Malinowski uśmiechnął się niewesoło i oglądał fortepian, ustawiony w tej izbie, instrumenty muzyczne, złożone na małem podwyższeniu...

Wkroczono do jednej z największych sal w lewem skrzydle, dawnej jadalni. Po środku stał tam długi, dawny stół, zajęty teraz na główne biuro muzeum społecznego. Dookoła biegł jak gdyby fryz, ułożony z zasuszonych roślin i kwiatów. Był to zielnik zdawna zebrany przez jednego ze zmarłych okolicznych lekarzy. Obecnie oprawiono ów zielnik za szkło w taki sposób, że stanowił naoczny wykład flory miejscowej. U dołu każdego okazu mieścił się czytelny napis objaśniający. W szafach i gablotach oszklonych ułożono okazy geologiczne i okazy miejscowej fauny. Na ścianach wisiały doskonałe mapy powiatu, okolicy, gminy, wreszcie osiedla gromadzkiego „Towarzystwa". Osobną ścianę zajmowały wykopaliska, urny, dawne zbroje, ofiarowane temu muzeum przez Bodzantę, kopie, koncerze, buławy, czekany, siodła, czapraki, chorągwie i chorągiewki. Na

głównym stole leżały stosy broszur, wyjaśniających w zwięzłych formułach i w obszerniejszych wykładach zasady spółek kooperacyjnych najrozmaitszego typu. Były tu całe pokłady formularzów, ustaw, wzorów, wreszcie gotowych blankietów i ksiąg, służących do prowadzenia rachunkowości i korespondencyi w kooperatywach. Przy stole, wpośród papierów, siedział pewien pan z mglisto-niebieskiemi oczami, z mocno przerzedzoną czuprynką i ryżawą bródką. Po przedstawieniu okazało się, że jest to właśnie urzędnik od kooperatyw spożywczych i wytwórczych, mistyk społeczny i marzyciel, który swą mglistą i zająkliwą wymową przyczynił się głównie do tego, że z jednej stron Bodzanta przestał oddychać powietrzem szlacheckiem, a z drugiej zaludnienie okolicy poczęło zukosa spoglądać na dotychczasowe dobrodziejstwa indywidualizmu i skłaniać się do mglistych idei spółkowych, czyli „mrzonek". Rudawy pan siedział już od lat przy tym stole i zapuszczał swe kooperacyjne macki coraz dalej w okolicę, coraz głębiej w sioła, przysiołki, mieściny i dwory szlacheckie. Urzędnik kooperacyjny udzielił objaśnień dość zresztą wyniośle i opryskliwie, demonstrował górę listów, pisanych do muzeum w sprawie nowych sklepów, opartych na zasadzie współdzielczej, w sprawie piekarni kooperacyjnych, spółek stolarskich, mularskich, młynarskich, w sprawie związków rzemieślniczo-rolnych, w sprawie rzemieślniczych giełd pracy, taryf zarobnych, klubów małomiejskich, czytelni, sal teatralnych, w sprawie szkół, ochron, szpitalików, domów ludowych i t. d. Niektóre z tych listów malowały istnienie samorzutnych organizacyi, pomysły niejasne związków, jak np. pewien plan urządzenia stolarni wspólnej przez grono zwalczających się do-

tąd stolarzy miasteczka, inne były obrazem sporów, zatargów pracy z kapitałem...

Pożegnano praktycznego marzyciela i zwiedzono jeszcze szkołę freblowską, mieszczącą się na parterze, w sali od ogrodu z południa ze wspaniałą werandą. Ewa ujrzała tam Martę jak gdyby po raz pierwszy. Marta stała wśród tłumu dzieci, ubranych w szare szlafroki z żaglowego płótna. Sformowało się ogromne koło i jednozgodnie zanuciło:

Przyszła żabka tuż nad wodę,
Gdzie kaczuszki siedzą młode,
I przysiadła na dwie łapki,
Jak to zawsze czynią żabki.

Chór dziecięcy zaniósł się od radości, od śmiechu duszy. Płowe włosy Marty zalśniły na słońcu, jej bławe oczy i rozchylone usta stały się dziecięce, naiwne i cudne, jak u sześcioletnich bywalców ochrony. Zaniosła się od radości, jak dziecko:

A kaczuszki przypływają,
Z niepokojem się pytają:
Gdzie jest mama? Chcemy mamy,
Ciebie wcale nie wołamy...

Rzucono jeszcze okiem na szereg izb starców i kalek, którzy się mieścili jużto w oddzielnych izdebkach, już po kilku w obszerniejszych pokojach. Poczem wszyscy goście wyszli do parku.

Starodawny park roztaczał się daleko. Główna aleja posępna i głęboka ciągnęła się nad stawem, zamkniętym w ramy czarno-rudych świerków i wielkich olch. Chmu-

ry przeciągały nad owym stawem i odbijały się w jego oliwkowej toni, w głębinie cichej i ciemnej. Malinowski zatrzymał się na moście i zwrócił do Bodzanty z zapytaniem:

— Nie żal panu było ofiarować tak cudnego majątku?

— Żal, panie! Ale miałem pociechę w tem, że kto się wyrzeka własności, zdobywa wszechświat. A ja dążę do tego, żeby posiąść wszechświat.

Malinowski zerknął na mówiącego i przytwierdził:

— Wszechświat... Hm... Szkoda, że za tym przykładem nikt nie pójdzie, kto ma rodzinę, dzieci...

— A ja, wie pan, przypuszczam, że za tym przykładem pójdą. Za idejami polskiemi, które były najbardziej utopijne, jednostkowe i przegrane od samego początku do samego końca szło wielu. Szło wielu wybrańców. A „wybrańcami“ i dawna Polska zawżdy stała. Wspomnij pan jeno „listy przypowiednie“ i „wybrańców“. Toż to jest nasza historya, którą znać warto. Kiedy Stanisław Żółkiewski, hetman samotny, na dzikiem polu słał listy przypowiednie, był właśnie tak śmieszny dla szlacheckiego świata, jako i ja chudeusz. Ale posyłam we świat szlachecki mój „przypowiedni list“... Wybrańcy tchną w lud polski ducha. Nie było Polski, bo nie było ludu. Było „powietrze szlacheckie“, o którem mówi Mochnacki. Ale może przyjdzie czas, że na kałużach krwi zakwitną kwiaty...

Łumski, stojący z boku, uśmiechnął się ironicznie.

— A czego się pan uśmiecha, można wiedzieć? — spytała Marta.

— A czy nie wolno się uśmiechać?

— Och, wolno, tylko lepiej zarzut wyjawić, niż go zawijać w uśmiech jadowity, jak pieprz turecki w bibułkę.

— Ja się uśmiecham, gdy słyszę, jak ojciec pani pokłada ufność w naszej szlachcie... W naszej szlachcie!

— „Ufaj córko"... — rzekł z uśmiechem Bodzanta. — Ale chodźmy zwiedzić szpital, a potem folwarki.

— Z ochotą...

— Wszędzie pan zobaczy tę samą utopię... — mówił Łumski, mierząc Malinowskiego wilczemi oczami. — Musi to jednak być pewna sensacya wdzieć na własne oczy utopię.

— O, tak! Każde dziwowisko jest ciekawe. Gdyby, naprzykład, dane było komu widzieć wieżę Eifel, zbudowaną na podstawie, która napewno trzaśnie i nie tylko sprowadzi ruinę wieży, ale może zatłuc wielu nieopatrznych...

— Jeżeli jednak zbyt długo czekać na walenie się wieży, to i ciekawość może się wyczerpać.

— Daj Boże, żeby trzeba było czekać zbyt długo!

Zwrócił się do Bodzanty i rzekł:

— Tak, pozazdrościć szanownemu panu! Takie dobra, takie dobra! Wyznaję, że nigdybym się na to nie zdobył! Oddać wszystko ludziom nieznanym, a może właśnie próżniakom, może na marne? Pracowity ręce sobie pourabia, a próżniak będzie siedział i oszukiwał. Przecież tak zawsze na świecie było, jest i będzie. A próżniak pierwszy stanie do zysków. Cóż wtedy? Czy aby panowie nie cofną się wówczas do przymusu?

— Do kańczuga za cholewą? Cóż kiedy my mamy środek. Zysków u nas niema. Zyski idą na szkoły i szpitale...

— Ale był przecie ten Wierzba, który powiedział,

że nie będzie robił, póki mu nie dadzą takich butów, jakie mu się spodobały... — wtrąciła Marta.

— A był i nawet jest... — potwierdził Łumski. — Ale mu już te kaprysy wywietrzały z głowy, gdy mu gmina zaproponowała, żeby szedł, gdzie go buty poniosą...

— Więc pan wszystko oddał, cały majątek? — spytał nagle Malinowski. — To ciekawe!

— Niestety, — odrzekł Bodzanta powoli, ze spuszczonemi oczami, — niestety, nie cały majątek oddałem.

— A, — więc są jeszcze węzły,... które pana łączą z „burżuazyą i wyzyskiwaczami".

— Tak, są jeszcze takie węzły... — rzekł Bodzanta. — Zostawiłem dwadzieścia kilka tysięcy rubli, które są zapisane, jako własność prywatna mojej córki. Pobieram od nich procent.

— Procent... Więc „wejście w lud" i tak dalej?..

— Tak, tak. Postąpiłem jak gracz, który ciska pieniądze w Monte-Carlo, albo jak człowiek, który się wdał w amerykański pojedynek. Wszakże są ludzie, którzy przegrywają całe majątki. Są ludzie, którzy majątki tracą w taki lub inny sposób. Otóż ja powinienem być poczytywany i sam się uważam za bankruta, czy za złego gracza. Przegrałem mój ojcowski majątek. Oto wszystko. Ale mam córkę...

Marta siedziała na poręczy mostu, spalona od wstydu, w ponsach, nieszczęśliwa, gryząca wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. Łumski poświstywał od niechcenia.

— V u l g u s e s t c a e c u m... — mówił Bodzanta sekretnie do Malinowskiego, pokornie jakoś zarązem chytrze i tajemniczo. — Gdybym znagła umarł i wśród otaczającego świata ta cała impreza nie znalazła uznania,

gdyby cały lud jakoś zbuntowano fałszywemi wieściami, które w Polsce tak łatwo siać, — a siewców dużo! — gdyby cały lud jakoś zbuntowano fałszywemi wieściami, dziedziny, a do innej nie chciano przyjąć, gdyby względem niej zastosowano tak ulubioną ścierwa polskiego broń, — bojkot, — bojkot pracy, bojkot ciała, bojkot znużonej głowy i znużonej duszy... Już ja w Polsce widziałem bojkoty i wiem, co mogą uczynić z człowiekiem poczciwe nasze szuje... Gdyby musiała umierać z głodu, a w rozpaczy pod cudzym płotem... Widzi pan... bałem się...

— Więc pan przypuszcza... — mówił Łumski ze swym nieodzownym uśmiechem, — że lud, który pan osadził na rolach, mógłby wygnać pannę Martę?...

— Wszystko należy na świecie przypuszczać... — odrzekł Bodzanta, zbliżając swoją twarz do jego twarzy i patrząc mu w oczy. — Widziałem już takie w Polsce zjawiska, jakich istnienia pan nawet w wyobraźni nie przypuszczasz, od których wspomnienia włosy bieleją. *Vulgus est caecum.* To jest słowo nadzwyczajnie mądre. Wytrzymało próbę czasów.

— Toż mówiłem... — wtrącił wesoło Malinowski.

— Nie, pan tego nie mówił. Wytężajmy siły, żeby przekonać lud, zniszczyć jego ciemnotę, ale szarpajmy na sztuki nikczemność renciarzy! Co do mnie, wszystko co robię, robię ze świadomej obawy. Staram się zabiedz losowi drogę, jeżeli można tak powiedzieć, przebłagać ludzi, żeby mojemu dziecku nie wyrządzili krzywdy. Może, gdy odejdę, wspomną... Ozwie się w nich to martwe wieko dobra. Utworzyłem, wie pan, ogrody... Pojmuje pan... rodzaj domu ucieczki dla tych dziewcząt. Chcę moją córkę zbliżyć twarz w twarz z tem, co bywa z ko-

bietą. Chcę tym widokiem jej serce zastalić, oderwać ode złego, porwać ku dobru. Bo niewiadomość... Ale chcę to zrobić tak, żebym to nie ja sztucznie zrobił, lecz żeby to jej serce świadomie wykonało. Czy to dobrze, panie, czy to dobrze? Bo samo dobro człowiekowi nie starczy. Częstokroć złe prowadzi do dobra. Skoro się wie, to się może, a skoro się miłuje, to się stwarza. Czy nie tak? Patrz pan... Świat cały naginam do tego, żeby moje dziecko ochronić ode złego... cha-cha!... A ludzie mówią i piszą, że ja to z nadmiaru miłości bliźniego... cha... cha!... Tak wielkie jest w nas oszustwo, kłamstwo przyschnięte, jak spalona skóra... I sam nie mam odwagi powiedzieć, wyznać... Łżę, przybieram pozy, mówię jak kaznodzieja. Wiedział to stary Pascal... *„Nous travillons incesamment à embellir et à conserver cet être imaginaire et nous negligeons le véritable"*.

Ewa wróciła do swego pierwotnego fachu: została buchalterką zakładów na Majdanie. Miała w budynku administracyjnym oddzielny pokoik z oknem, wychodzącem na ogrody, miała biurko, nad niem telefon, który jej nieustannie sygnalizował najrozmaitsze do zaciągnięcia pozycye. Wciąż rozlegał się dzwonek z zawiadomieniem, ile wydojono mleka, ile się blach wydaje do szpitalów i kuchni, ile odchodzi do Kielc, ile na centryfugach wyrobiono cegieł masła, ile i jakich jarzyn odchodzi do sklepów i t. d. W tej izbie zbiegały się niejako nerwy pracującej góry.

Ewa była szczęśliwa. Prowadziła książki z pietyzmem i z taką starannością, że aż usiłowania jej sięgały

granic przesady. Niektóre księgi wykombinowała sama i poczęła prowadzić na własne ryzyko. Udoskonalała rachunki i postawiła je tak znakomicie, że zyskała pochwałę surowego zarządu i oklaski walnego zgromadzenia. Ale największą satysfakcyą była dla niej rozkosz wewnętrzna. Ta praca nowa w przedziwny sposób złączyła się z dawną pracą w biurze kolei. Jak dwie siostry miłujące, te dwie prace stanęły obok niej z prawej i lewej strony. Położyły na głowie jej ręce ukojenia. Przyszło ciche zapomnienie. Lekka mgła kryła minione rzeczy i straszny sen, ukryty w ich zgiełku. Już ukazała się możliwość, że góra żywota, skała, tarpejska między jedną a drugą pracą spłaszczy się i zginie. Nadejdzie zapomnienie tak głębokie, jak noc głuchosenna. Z tamtego świata nie będzie można nic sobie przypomnieć, — ani twarzy, ani imion, ani miejsc, ani zdarzeń, ani żadnej rzeczy, które były, ani żadnego dnia z tamtych dni. Nikogo i nic! Praca tarciem nieustającem wyszoruje do cna zgrubienia i rysy pamięci. Napełni się dusza, jak czara z onyksu, dostojnem winem, godnością proletaryacką. Pokryją się rany zniewag i strupy hańby — szatą białą. Wtedy wybiegnie na usta modlitwa, jakoby słowy Jaśniacha mówiona:

— O, święty proletaryuszu! Będę twą siostrą pracującą. Pociągnę już na zawsze jarzmo z tobą. Dwakroć, trzykroć, więcej pociągnę! Zegnę się w pałąk, podła, nachylę się aż do ziemi, jako hak, nikczemna, com twój chleb jadła, wśród potu i łez w żarnach mielony. Ale mnie już nie zepchnij w dół odtrącenia spojrzeniem pogardliwem, o święty proletaryuszu!

Niejasną marą, cichym snem w całej przeszłości rysowało się jedno jedyne miłe wspomnienie: Łukaszowa

żona, Róża Niepołomska. Tylko ją jedną Ewa pragnęła jeszcze ujrzeć z tamtego świata. Nie ojca i nie matkę pragnęła ujrzeć, lecz ją. Na wspomnienie ojca drżały jej nogi i lodowaty strach ducha, boleść-odraza spadały na serce. Do Róży wzdychała całą duszą. Śniło się, że ją spotka na jakichś skałach, na zachodnim brzegu Korsyki. Strome tam będą w błękitnem morzu leżały zręby. Od strony wiatru będzie fala, a w zaciszach skalnej ostoi woda nieruchoma, ciemno-zielona, jak rozlana oliwa. Daleko będą mewy kraczące, a dookoła w szczelinach spalonych potworny kaktus, mlecz dziki wyrosły w krzew, mirt wysoki. Gorzki ich zapach otoczy skronie. Na ścieżce kamienistej, która się wije chyłkiem, niewidzialna, biegnie, leci w pętlicowe zakosy i spada do dołu, jak lot mewy, — spotka Różę. Usiądą na kamieniu, który się sypie w dół. Będą patrzyły w morze dalekie, w morze zachodnie, na gwiazdy, któremi słońce zasypało morską drogę. Będą patrzyły na zaloty pian do spieczonych, skalnych ust, na ich ognisty zalew, odpływ i szum. Będą patrzyły jak drzewo oliwne pnie się w górę, jak samotny osioł szczypie suchą trawę, a pracowite muchy unoszą skarby z traw... Bo jeśli Róża mogła z nienawiści utworzyć przebaczenie, z radości cichy smutek, z zemsty miłość pokorną, to może i w niej wszystko stare wygaśnie, a spalenisko, gdzie się przewalał ogień zbrodni, pokryje młoda trawa odpuszczenia.

Mijały tygodnie zaciekłej pracy, kiedy nie pozwalała sobie na chwilę wytchnienia, na najlżejszy cień rozrywki. Wówczas także odmawiała sobie marzeń o Róży i odsuwała je na godziny wieczorne. Dopiero późnym wieczorem, gdy wracała do swojej izdebki, otwierały jej myśli niejako flakon pachnący i serce oblewało się zapa-

chem. Nosiła w sobie pragnienie, żeby napisać... Pamiętała jeszcze dawny adres, ale czy ona tam mieszka? A po drugie: czy żyje? Nieraz, ocknąwszy się w nocy, wymawiała wprost ze snu ów list (drugi). W pierwszym miało być tylko zapytanie, — czy nie chciałaby Róża jej odpisać. A gdy się zgodzi, wówczas ów drugi list. O Łukaszu, że go zapomniała... Sprawić Róży radość, podać jej kwiat korsykańskiej róży, zerwany na skale stromej! Podać go nad dalekiem zapomnienia morzem. Wyjąć go z korzeniami z ziemi spalonej... To sprawi naprzód radość. A potem zepchnie duszę w zadumanie, w przestrach, w wysoką, płomienistą trwogę. Będzie szła po stromej, korsykańskiej ścieżce. Tam się spotkają ich dusze, jako dwa orły wypuszczone ze wschodu i zachodu przez boga starożytności, które trafiały do świątyni delfickiej. Róża białemi, przezroczystemi rękoma zakryje czystą twarz i zechce zakryć rozum, którego symbolem są jej czyste oczy, i zapłacze, zapłacze nad strasznemi kolejami człowieka. Och, wstyd!... Upaść na kolana przy jej nogach, objąć rękoma jej kolana, a potem odjąć łagodnie jej białe ręce, osuszyć oczy. Zatopić radosne oczy w jej oczach, wywołać uśmiech na usta. Wskazać jej na rozkosz, bytującą w morzu, na wielką siłę, która nie daje nam umrzeć, która wzywa nas ku tej wielkiej drodze, jaką już morze przebyło i jaką jeszcze przebędzie. Jednego jej tylko nie powie, — Róży, — jednego! O dziecku i o Szczerbicu. Nie! Nie, to z nią zostanie na zawsze, jak skała ukryta w morzu. Gdyby to wyjawiła Róży, już nic nie byłoby na ziemi, już nic a nic...

Za żywopłotem, otaczającym ogromną przestrzeń ogrodów, w których mieściły się „majdanki“, ciągnął się las przeważnie brzozowy, a w nim tu i owdzie połyskiwały białe domy. Cała ta leśna przestrzeń zwała się „Mazurkowe“. Nazwa przylgnęła do miejsca od nazwiska lekarza, Jana Mazurka, który ten obszr miał w opiece. Były to kolonie chorych na gruźlicę.

Dr. Jan Mazurek gdzieś na świecie, w Paryżu, czy w Londynie, zetknął się z Bodzantą, — i tam go, zdaje się, obrobił, czyli „spropagował“. Od chwili tego spotkania szli razem. Bodzanta nadał doktorowi, (aktem zresztą niepisanym), całą przestrzeń leśną „oraz przyległe parowy“ za majdańskimi płotami. Były to wertepy, gdzie od niepamiętnych czasów lisy miały swe jamy, a zrzadka zachodził nieopatrzny, wędrowny zając. Wertepy były urocze, pełne bajecznych osypisk, osłonionych brzozami i sosną, zwrócone wylotami swymi na południe i w dół, a od północy zasłonięte łańcuchem gór. Tam to doktór Mazurek rozpostarł swe lary i penaty, rozwinął się wszerz i wzdłuż. Pierwiastkowo, jeszcze z funduszów Bodzanty, wzniósł był sanatoryum dla robotników, „dotkniętych“ suchotami. Gdy kasa Bodzanty wyczerpała się, sam sobie radził. W sanatoryum leczył „przypadki“ cięższe. Formy lżejsze kurował w domkach, które wznosił bez przerwy. Skąd brał pieniądze, — o tem możnaby tomy pisać. W takim domku, który miał zawsze ściany cudacznie wysokie, okna monstrualne i inne higieniczności, były od południa werandy dla chorych, a od wschodu odosobnione pokoje dla rodzin. Rodziny zjeżdżały razem z chorymi. Dzieci szły do szkół różnego rodzaju, (freblowskich, elementarnych i dwu wydziałowych), a żony i dzieci starsze pracowały w halach.

W halach, zbudowanych wyżej na jednym ze wzgórków, dr. Mazurek wespół z Bodzantą wytworzył najrozmaitsze zajęcia. Rozwinięto tutaj szkołę-fabrykę wyrobów artystycznych pod kierunkiem pewnego rzeźbiarza. (Dr. Mazurek był maniakiem mniemania, że ludzie chorzy „powinni" zajmować się sprawą sztuki, że chorzy posiadają głębszy świat odczuwania i szerszy zakres widzenia w świecie ducha, nieznany ludziom zdrowym...). Niektóre roboty, (wytłaczania artystyczne opraw, wypalania na drzewie i t. d.), wykonywali sami chorzy, o ile, oczywiście, Mazurek znalazł, że mogą. Nadto rodziny chorych stanowiły płatną obsługę sanatoryum, (dozorczynie, praczki, pomywaczki i t. d.). Instytut „na Mazurkowem" rósł wciąż i w oczach niemal tworzył cudaczne osiedle półprzemysłowe, półsanatoryjne. Ludzie, zwaleni z nóg przez chorobę, nie byli tam wyrwani ze świata i odrzuceni na pół-cmentarz, nie umierali w próżni, lecz żyli jeszcze wśród szczęścia pół-pracy, wpobliżu rodzin, aż do ostatnich chwil.

Dr. Mazurek był to szczupły, szary człowieczek z bródką zaciosaną w ostry klinik, ze śpiczastym nosem i oczami tak ukrytemi w szczelinach powiek, że ich prawie nie było widać. Dr. Jasio był to najzawołańszy „kawalarz", niezrównany facecyonista, zawsze parskający śmiechem, zabawnym, nienasyconym chichotkiem. Nawet wówczas, gdy „p a d l e c" lasecznik tryumfował nad „wiedzą", a figlarna kostusia zdmuchiwała najciekawszy 'c a s i doktór przychodził wysłuchiwać ostatnich rzężeń, i wówczac jeszcze kładł nieszczęśnikowi do ucha jakieś wesołe opowiadanie, śmiał się do niego szpareczkami swych oczu... I niejeden, niejeden odszedł z uśmiechem na wargach, z westchnieniem wesela, nawianem przez paradny „kawał" doktora Mazurka. W sa-

natoryum wiecznie był na korytrzach, w kuchniach, zawsze w ferworze, zapale, zawsze spocony i zajęty. Małe jego oczy widziały wszystko, a szybkie kroki obiegały codziennie całą tę ziemię płoną. Sam również „wykpiwał się“ z dnia na dzień padlecom lasecznikom, zadawał im bobu, czyli fernepiksu, świeżem powietrzem i mleczywem, które chłeptał w pośpiechu, to tu, to tam, w drodze, „jak notoryczne cielę“. W początkach swego majdańskiego zawodu nie miał nawet felczera, a na głowie z górą stu chorych. Później „zwalił mu się na łeb“ felczer, (z oszczędności panny Marty ufundowany), przywędrowały siostry miłosierdzia i „oblazły go“, „czepiał go się, jak rzypień psiego ogona“ zawsze jakiś student kończący, jakaś „altruistyczna bryndza“, a koniec końców do tego doszło, że zwlókł się drugi lekarzyna, potężnie już nadgryziony przez gruźlicę, dr. Wiński. Zadeklarował swe usługi wzamian za prawo werandowania przez tyle a tyle godzin, wzamian za jadło, („ryba, dwa mięsa“), i pokój od południa. Oczywiście, że go dr. Mazurek „wyzyskał“ do ostatniego, jak „najpodlejszy właściciel lombardu na Powiślu“ i puścił w ruch. Zaczęli tedy we dwu pilnować prawidłowego leżenia, słuchać kaszlów i patrzeć w plwociny. A tymczasem nędza wlokła się na Majdan. Bety, dzieci, baby — i kaszel ojcowski, kaszel bez końca. Siaki-taki gędziolił:

— Wszystko już, proszę pana doktora, lepiej, jakby człowiek był całkiem zdrów, sił okropnie przybyło, tylko jeszcze ten kaszel tak jakby troszeczkę...

— E, — no kaszel troszeczkę... bo tak należy, po zakonu!... To drobiazg. On ta przejdzie, tylko żeby się ociepliło...

— Bo tak nawet czasem jakby jakoś nacichł... Ale znowu padnie plucie, albo i ze krwią...

— A bo, powiadam, jak całkiem przejdzie, to właśnie będzie sama pora. Wtedy pogadamy — co! Bo cóż to właściwie, towarzyszu, kaszel? Żeby tak między nami... Wszyscy kaszlemy.

— Właśnie i ja tak sobie mówię, że który nie kaszle, Boże Panie! Nawet i tych potów jakoś mniej nocami...

— A co, — nie mówiłem? A skoro tak, no to hajda na leżak!

W parę miesięcy po swym przyjeździe Ewa poczęła przekradać się do sanatoryum. Uprosiła doktora Mazurka, żeby jej pozwolił być nocną, bezpłatną dozorczynią przy najcięższej chorych. Uczyniła ślub, że będzie czuwać przy każdym z umierających. (To na intencyę Jaśniacha i za karę, że przy nim nie była). I wypełniała święcie. Co pewien czas doktór telefonował do budynku administracyjnego:

— Siostra Magda... numer taki a taki „ma się ku kogutkowi...“ Godzina ta i ta...

Ewa zabierała się na noc. Wchodziła do numeru cicho, jak duch, siadała przy chorym i spełniała najtrudniejsze posługi, cieszyła opowiadaniem, zagadywała spełniające się dzieło, uciszała widziadła gorączki i bezsenności...

(Mógłby kto sądzić, że to poszukiwanie rozkoszy było aktem miłości chrześcijańskiej. Oto czasem, gdy o poranku blada i napół świadoma skłoniła głowę na poręcz łóżka, śnił się jej prędki sen, że Jaśniaszek-poeta nie umarł, że leży na łóżku skurczony i śpi, a to ona właśnie sen na jego bolesne powieki z niebiosów zwiodła. I wówczas słodkie łzy szalonej rozkoszy płynęły na splecione białe ręce).

———

Ewa otrzymała pozwolenie odwiedzania najdalej położonego ogrodu, (zwanego Łąką Marty), gdzie mieściły się szkółki i szkoły, zostające pod patronatem Bodzanty. Był tam dom ochroniarski, dom wychowawczy i szkoła. W domu wychowawczym umieszczano dzieci ludzi bardzo chorych, sieroty, wzięte już to ze szpitalów po miastach, już nieprawe, znalezione, podrzucone, słowem „znajdy“. Dzieci tam chowały się razem, (chłopcy i dziewczęta), uczyły się, bawiły, pracowały razem. Nie wszyscy mieli prawo wstępu na Łąkę Marty. Marta była jedną z ochroniarek, miała wydział muzyki i śpiewu. Skoro przypadała lekcya muzyki w ochronie, albo którejkolwiek ze szkół, Marta brała Ewę ze sobą. Sama szła szybko, gaworząc, perorując, rzucając płomienie świetlistemi oczyma. Piosenka rodziła się na jej ustach zanim przekroczyła próg ochrony i zanim, siadłszy przy fortepianie, dawała znak do cudnego dziecięcego chóru...

Zdarzyło się w czerwcu następnego roku, że Ewa była w Głowni. Wypadło jej tam udać się osobiście dla zestawienia rachunków z księgami muzeum społecznego. W tym samym czasie bawił tam od kilku tygodni Bodzanta. Ewa nie wiedziała wcale o jego obecności. Zajęta prawie po całych dniach w muzeum, wychodziła kiedyniekiedy na spacer do parku. Podczas jednej z takich porannych wycieczek zobaczyła zdaleka dawnego władzcę „głowieńskiego państwa“. Siedział na brzegu stawu zajęty karmieniem łabędzi. Ewa chciała przesunąć się niepostrzeżenie w boczną ulicę, ale ją Bodzanta zauważył i poprosił znakami, żeby przyszła do niego.

W miejscu tem był jakowyś dawny taras, rodzaj amfiteatru, ułożonego z ciosowych głazów, spojonych ołowiem czy żelazem. Stopnie, które krok kobiecy ledwie mógł ogarnąć, szły aż do samej wody. Bodzanta siedział na jednym z tych kamieni. Dokoła szumiały prastare drzewa. W oddali, nad wodną taflą widać było zwisłą srebrnolistą iwę. Dwa łabędzie, czarny i biały, wymijając się uroczo, raz wraz podpływały do kamiennego bulwaru, żeby chwytać kawałki chleba, które im rzucał dawny ich pan. Gdy Ewa zbliżyła się do samej wody, spostrzegła mnóstwo grubych, ciemnych karpi, które również chwytały pożywienie. Otwierały się ich żarłoczne, okrągłe paszcze i z ciapaniem nieustającem połykały rozmiękłą papkę chlebową. Słońce sypało żarem i lśniło siarczystą łuską na ruchomej chełbi wodnej. Czasami głośniej westchnął wiatr. Ewa usiadła na stopniu i poczęła patrzeć na uwijające się ryby, na piękne zwroty łabędzi. Cieszył ją bezmyślnie widok pożerania jadła przez biedne, wodne stwory. Zamyśliła się i zapatrzyła. Była nie tam, lecz gdzieś daleko. Nie o tem myślała, co widziały oczy, lecz, — możnaby tak rzec, — o wszystkiem. Przypatrywała się jedzeniu, a myślała, czem ono jest na świecie bożym Mierził ją, jakby świerzbił ten widok, ale i zachwycał. Budził tajemną, duchową odrazę, ale zarazem przerażał swoją silną pięknością. Rzucała sama okruszyny rybom i z przyjemnością słyszała syk łabędzi, usiłujących odegnać ryby, wydrzeć im jadło. Ich długie, piękne szyje wyciągały się, jak arkany z grubych lin, dzioby się rozwierały nad ciemnymi grzbietami karpi.

Długo trwało milczenie. Naraz Bodzanta rzekł z ją-

kaniem, które go opanowało zawsze, gdy był mocno wzruszony:

— Ta woda... ta woda, po której pływa biały i czarny łabędź... Mijają się na tej wodzie, jak dzień i noc. A zawsze... zawsze... do mnie o to jadło wyciągają szyje...

Ewa pojęła, że on mówi prawie o tem samem, co ona myślała. Z podwójną też uwagą wsłuchiwała się w dalsze jąkanie wyrazów:

— Czarny i biały łabędź... łabędź... rzuca, każdy zosobna, odbicie swoje w zmącone lustro myśli...

— A kiedy tego nie rozumiem...

Zaśmiał się głośno, zachłysnął się śmiechem, mówiąc:

— Ależ bo nie mogę odpowiedzieć,... po com ja to wszystko... to wszystko... zrobił...

— Ach! — krzyknęła, jak ukłuta nożem.

Mówił do niej, ale i do łabędzi, wciąż śmiejąc się załzawionemi oczyma i błyskając białymi zębami:

— Zastawiłem ucztę nie gorszą wcale, niż Pompeius Trimalchio — cha cha... Jedzcie i pijcie przyjaciele! A czy też będziecie przyjaciele, jak Ascyltos, Giton, jak Habinnas i Fortunata? Czy niższa była ambicya Trimalchiona dorobkiewicza od mojej wielkopańskiej, któż mi odpowie? Któż mi odpowie, dlaczego zastawiłem tę ucztę Trimalchiona?

Ewa przysunęła się bliżej i patrzała mu w oczy, gdy mówił:

— Gdy kto spogląda na posąg wyrzeźbiony, gdy widzi, jak jest nieruchomy a nieskazitelny, czy wie, jak dłoń rzeźbiarza wzdrygała się z wściekłości przed kamiennym klocem, jak się wysilała od bólu i prężyła od

wybuchów woli, jak się z szaloną tęsknotą wyciągała ku wizyi, którą wcielić powzięła szaleństwo? Kto wie, jak ze strudzenia mdlała, podczas długich godzin, kiedy nędznym rylcem siliła się jałowy kamień przemienić na płonący, błędny a wieczysty ogień? Gdy kto patrzy na posąg spokojny, niech przez chwilę pomyśli o straszliwym niepokoju dłoni, niech wspomni o drobnych pociągnięciach ręki, w których się huragan uniesienia rozproszył. Lecz co jest wewnętrzny huragan? Czemum ja to wszystko wykonał? Powinienem się cieszyć i śmiać... A ja jestem znudzony... znudzony... Bo, powiedz mi, czyż ja to chciałem zrobić?...

— Niech mi pan powie wszystko, całą prawdę! — rzekła cicho, nachyliwszy się ku niemu. — Niech pan się zmoże, przezwycięży i powie całą prawdę.

Oczy jego biegały po powierzchni wody i suszy, skacząc to tu, to tam, jak oszalałe rumaki, spuszczone z uździenicy. Powiedział zimno:

— Przez ból posiadania dostępuje się łaski utraty. Przez łaskę utraty dostępuje się bólu posiadania. To jest wąż starożytnych, który oplata koło naszego życia. Nudzą mię moje cnoty... Oto masz prawdę najgłębiej schowaną.

— Ja nie mam żadnej już własności, prócz jednej tajemnicy. Chciałabym dostąpić łaski jej utraty...

— Powiedz ją, powiedz! Dawno na nią czekam...

— Zabiłam swoje dziecko...

Oczy Bodzanty spłonęły dzikim ogniem, jakby ogniem zachwytu.

— Pan znał niejakiego Zygmunta Szczerbica?

— Znałem... Zygmunta... Szczerbica...

— To ja go w Wiedniu zabiłam.

— Tyś go zabiła...

Z za łęz patrzyły w Bodzantę oczy zabite, tajne oczy męczarni, których wyrazu mowa nie wypowie, których wyrazu nikt nigdy wyjawić nie zdoła żadnym z ludzkich sposobów, na których uniesienie i ból nikt nigdy równą miarą uniesienia odpowiedzieć nie może. Nachylił się ku niej i szeptał:

— Do słońca wznieśmy serca. Niech na nas światło upragnione zlewa i ducha nam odradza. Niech się potoczy po ziemi lazurowy uśmiech wesela!

Słuchała zdumiona łoskotu własnego serca. Patrzały na nią oczy, których już tak dawno nie widziała, oczy zachwytu pełne i żądzy. Okropne, odtrącające zdumienie pchnęło ją z miejsca. Porwała się na nogi, chwyciła prawą ręką lewą rękę, jakby szukając ratunku. Usta jej wygięły się do ogromnego krzyku, jak u małego dzieciątka, włosy zjeżyły się nad czołem, a twarz pokryła trupia bladość. Odraza wzmagała się i przechodziła we wzdrygnienia cielesne. Oczy zwolna zawściągnęły się powiekami i szloch suchy rozdarł piersi.

Odkąd Ewa została sekretną nałożnicą Bodzanty, rozprysła się dla niej dziwna tęcza, zataczająca wielobarwny łuk nad wzgórzami Majdanu. Wszystko prysło...

W skwarny letni wieczór szła z ogrodu chorych gruźlicznych ku budynkowi administracyjnemu. Był już gęsty zmierzch. Krzewy zarysowywały się w oczach, jako ciemne plamy o mglistych konturach, drzewa były nieruchome, uśpione, parkany ginęły już w mroku. Ewa była niespokojna, rozdrażniona, trwożna. Czu-

ła, że obok niej pełza niedola, bolesny cień. Z odrazą myślała o tem, że może właśnie tego dnia Bodzanta...

Kiedy zbliżała się do głównego wejścia, w blasku elektrycznej kuli ujrzała stojącego na kamiennych schodkach jakiegoś człowieka. Zadrżała od przeczucia, że ten człowiek na nią oczekuje. Miała w sobie szalony impuls, żeby się rzucić w bok i, zniknąwszy w gąszczach, ujść... Ale ów człowiek spostrzegł ją i powoli zstępował z kamiennych stopni. Szedł ku niej po zgrzytającym piasku. Pchnięta siłą wewnętrzną, podeszła. Wnet go poznała. Był to Płaza-Spławski.

Jego stanowcze, wykwintne, wojskowe ruchy były jedyne na świecie. Zanim się zrównał z Ewą i zanim mogła ujrzeć jego twarz, już była przezeń opanowana. Głos w piersi zamarł. Wola zgasła. Spławski ukłonił się nizko, bezgłośnie, poczem zwrócił na prawo w kierunku drzwi, prowadzących do sali oficyalnych przyjęć. Szła tam za nim. Mijając sień, rzęsiście oświetloną, spostrzegła, że Płaza nie ma na sobie dawnego ubrania, lecz przeciwnie, jest suto i elegancko ubrany w kostyum skrojony z angielska. W wybitem oku tkwił monokl. Na rękach ciemne rękawiczki. Wpuścił Ewę do saloniku, zamknął drzwi i jeszcze raz skłonił się nizko. Ewa spoglądała przygasłemi oczyma na jego twarz spaloną teraz od słońca, złotawą, jednolitą, co czyniło zeń jakby mulata, czy metysa. Doznała wrażenia, że on jest tylko napoły człowiekiem i drżała wobec jego woli. Wygodne jego odzienie, wysoki, biały kołnierz koszuli, modnie wywinięty, jasny krawat z brylantem dziwnie odbijały od tej twarzy suchej, gołej, ciemnej, mistycznie zatopionej w otchłani woli, twarzy proroka czy wodza... Miała gardło tak ściśnięte,

że nie mogła wymówić słowa. Blaski szybkie i słabe migały w jej źrenicach. Przybysz poprosił ją ruchem spokojnym, żeby usiadła. Spełniła to posłusznie. Wówczas, sam nie zajmując miejsca, rzekł cicho, jakby z radością dla nasycenia jej radości:

— Przychodzę do pani na skutek zleceń Łukasza Niepołomskiego...

— Łukasza Niepołomskiego... — powtórzyła, poddając się radości, ale nie mogąc na razie pojąć, co to nazwisko oznacza.

— Mam od niego do pani list.

— List od Łukasza? — westchnęła, budząc się ze swego snu.

Sięgnął ręką drżącą ze wzruszenia, jakby od wewnętrznych łez drżącą, wydobył prześliczny mały portfel i wydostał list. Obejrzała adres zaklejonej koperty i poznała pismo Łukasza. Rozdarła ją i poznała pismo Łukasza wewnątrz. Zaczęła czytać.

„Nie wiem, jak się przed tem obronić, co myśleć, jak żyć dalej. Napisz, że zapomniałaś, że źle wspominasz, że ze wzgardą, — może to wszystko uciszy we mnie straszny stan smutku. Im silnej chcę zapomnieć, zatracić w sobie wspomnienie, tem silnej one opanowują duszę. Tracę możność rozumowania. Zawsze widzę Ciebie, czuję Cię przy sobie, pragnę być z Tobą. Powinienem zabić w sobie te myśli, nie mogę żyć z niemi dłużej, znoszę męczarnie. Całe szeregi przewidzeń, rojeń o szczęściu, o oddaniu się do ostatniej kropli Tobie jednej, ukochanej mojej kobiecie. Nie wiem, czy kocham Ciebie, czy tylko moje wyobrażenie o Tobie, czy jestem obłąkany, ale życie moje rwie się w strzępy, a każdy strzęp broczy krwią. Mogę żyć tylko w bezwzglę-

dnem oddaniu się, a nie mam nic, cobym mógł ukochać. Jestem związany, dopuszczam się występku“...

Zaledwie jakiś piąty, dziesiąty wyraz wpadał do świadomości, lecz wpadał, jak wybuchowy pocisk. Uczuła ściekający wzdłuż ciała spazm szalonej miłości, objęta zastała przez oślepiającą jej mgłę, przez jej dziką i wiecznie młodą namiętność, przez jej furyę szaloną i pożądanie znajomej rozkoszy... Wdychała słowa listu, wciągała je w siebie oczyma, jak kwiatową woń. Zgłodzona dusza połykała „jego“ słowa, słowa prawdziwe, mowę swoją własną, pochłaniała je, jako swój żer. Czytała po raz drugi z góry na dół i znowu.... Pewne pytania... Krzyki w piersiach... Usłyszała w uszach jego głos, brzmiący za górami, za morzami....

— Łukasz woła... — marzyła wśród mrowień rozkoszy. — Uwolni mię od Bodzanty. Nareszcie! Niech się potoczy po ziemi lazurowy uśmiech wesela!

Łzy szczęścia, palące jak płomienie, płynęły z jej oczu. Ogień spływał po policzkach, po ramionach...

— Czy pójdziesz pani ze mną? — zapytał Spławski.

— Dokąd?

— Do Niepołomskiego.

— A czyż pan wie, gdzie on jest?

— Oczywiście. To mój przyjaciel.

— A więc pan go widział?

— No, jakże. Toż list...

— Pan go widział teraz?

— Widziałem.

— I on chce mię widzieć? Łukasz Niepołomski?

— Tak.

— Pójdę!

— Dziś.

— Dobrze.

W chwili, gdy się ta rozmowa toczyła, do sali wszedł przypadkowo Bodzanta. Ogromna jego postać zagrodziła drzwi. Stał przez chwilę bez ruchu, pilnie patrząc w Spławskiego. Po pewnym czasie rzekł głośno, swoim zwyczajem:

— Przecie to jest ten Płaza-Spławski...

— Witam pana... — rzekł przychodzeń.

— I ten w Majdanie? No, to już koniec świata blizki! Czy tylko czasem nie chcesz szukać tu schronienia i rozpocząć okresu pokuty? — krzyczał co sił.

— Jeszcze nie, ceklarzu nierządnie... — odpowiedział Płaza. — Jeszcze pragnę parę chwilek przeżyć bez chomąta cnót, którem ozdobiony chodzisz w szanownym kieracie.

Bodzanta nachylił ucha, powtarzał wargami słowa tamtego, później zbliżył się i patrzał mu w oczy z odległości kilku cali.

— Wolisz, — mówił zcicha, — brnąć z rozpusty w rozpustę, szukając sposobu zabicia nudy.

— Co do tej nudy, to ty jej z pewnością więcej dziennie zażywasz, niż ja.

— Cóż twe amerykańskie i mandżurskie kopalnie — che-che-che!

— Nie, che-che-che, prosperują. Przyjedź znowu do Ameryki, to ci je pokażę. Pohulamy.

— Jużem widział, szanowny milionerze, i mam póty!

— Nie widziałeś, proletaryuszu, che-che, „jednostko z ludu“, ani dziesiątej części. Gdy zostanę jednym z królów Ameryki środkowej, na początek, dajmy na to c o p p e r k i n g ' i e m, zaproszę cię odręcznem pismem.

— Nie przyjadę. Mam dosyć. Znam przecie wszystkie wasze radości, gościnny Lycasie Petroniusza.

— A cóż, — znalazłeś nowe w tem zbieraniu po świecie odpadków i niedopałków?

— Znalazłem.

— Więc przyznajesz, że szukałeś rozrywki, zadowolenia próżności, zabijałeś jałowy dzień tak samo, jak ja.

— Tylko bez domieszki krzywdy ludzkiej, uważasz, krzywdy...

— Ale z nieustannym apetytem na wdzięczność ludzkiego stada, czem ja znowu gardzę, jak chłopskim żurem, razowcem, potem i zaduchem. Wyglądasz mi, jak źrebiec dostojnej rasy arabskiej, któryby powziął pasyę upodobnienia się do krzywych szkap fornalskich na pastwisku, a w tym celu kazał sobie dla zasady solidarności spętać przednie nogi, żeby, broń Boże, nie biegać zbyt szybko. Skaczesz w swojej pętaczcze... Nie dość jeszcze jesteś odrażający, zbyt mało jesteś podobny do twoich szkap na pastwisku...

— Dowcipnie to powiedziałeś... Eh, żebyś wiedział, jak dowcipnie! Ale ten dowcip jest pusty. Gdybyż w nim było ziarno, jak w kłosie pszenicy! Kłos to pełen murzu śnieci. Myślałem, że cię już gdzieś zatłukli ludzie przez ciebie skrzywdzeni.

— Nie tak to łatwo! Kto wychodzi na tygrysa polować, dobrze się musi namyśleć i uzbroić.

— I cóż z tego drapieżny człowieku, który zapuszczenie sobie tygrysich pazurów, ślepiów i ogona uważasz za najgodniejsze człowieka? I cóż z tego? Przecie zabiją cię w końcu. Wytropi cię ich przebiegła zemsta i zakopią cię w ziemi, gdzie zgnijesz. Bo zgni-

jesz, co? A pamiętaj, pamiętaj, że ani jedno westchnienie po tobie nie zostanie. To jest ważne, pamiętaj! Przekleństwa zaś ludzkie, jak najczujniejsze ogary, będą najlżejszy twój ślad tropiły po ziemi.

— A tobie o te westchnienia głównie się rozchodzi. Mnie nie trzeba szukać, póki żyję, bo sam wychodzę naprzeciwko psiarni przekleństw, żeby wiedziano na świecie, jak się przekleństwami i błogosławieństwami pogardza. Wychodzę sam przemierzać wolą terras tractusque maris coelumque profundum.

— Co ty wiesz o wielkości człowieka, co wiesz! Widzę ze smutkiem, że jeszcze nie zacząłeś myśleć.

— Myśleć! Toż z nas dwu chyba ja jestem człowiekiem, który przez całe życie swoje myślał, podczas gdy ty jesteś człowiekiem, który wciąż szczerze ufał ludziom, a teraz głęboko wierzy. Poweźmijże, nieszczęsny, pierwszą w życiu myśl! Myśl o tem, jak to ciebie sponiewierają ci właśnie, w których służbie, jak lokaj biegasz, jeśli tej hołocie nie tak właśnie usłużysz, jak to jej się jedynie i najbardziej podoba.

— „Lepszy jest pokarm z jarzyny, gdzie jest miłość, niżeli z karmnego wołu, gdzie jest nienawiść".

— Teksty szanowne! Ja ci tekstem za tekst zapłacę: „Wojna i męstwo uczyniły więcej wielkich rzeczy, niżeli miłość bliźniego. Nie litość, lecz waleczność ratowały dotychczas w potrzebie będących". Zaprzecz! Mój tekst zawiera się w wersetach, wydobytych ze mnie samego. Zgoda ze samych sobą płodzi siłę. Ale to samo wykryły najmądrzejsze łotry, kapłani Izydy z Memfis: „Znajomość rachunku i sztuka wytwarzania woli są to dwa klucze magii, które otwierają wszystkie drzwi wszechświata".

Bodzanta przez chwilę milczał, jakby zbierając siły. Zaczął mówić pośpiesznie, coraz głośniej:

— Gdy młodociany Kryszna ściął błyszczącego węża w świątyni Kali, a uciętą jego głowę trzymał w ręku, rzekł mu wąż: „Czy myślisz znaleźć prawdę przez zabijanie żyjących? Bezrozumny! Nie znajdziesz jej inaczej, tylko przez zatracenie siebie. Skon jest w żywocie, a w śmierci żywot"! Widzisz, pyszałku, że należy siebie zatracić. Z każdego momentu mojej zatraty urasta skarb mego serca, moja najdroższa ojczyzna. Tak to w śmierci jest żywot.

— Nie obdarzaj mię swemi „prawdami", bo ja ich wcale nie szukam... — ze śmiechem mówił Płaza-Spławski. — O dawien dawna wiem, że prawdy nigdzie niema. „Prawda"! Zbiory bajek i anegdot. Jedyna prawda zawiera się w użyciu rozkoszy, a najwyższa rozkosz zamknięta jest w męstwie. Męstwo wychodzi na płaski świat samo jedno przeciw całemu okręgowi, przeciwko wszystkim ludziom i wszystkim ich wierzeniom.

— Posłuchaj, ty „mężny"! Oto jest istota rzeczy: przygotowuję moją, jak mówisz, służbą rewolucyę przeciwko tobie, chociażbym ani słowa o tobie nie wyrzekł. Bo dzieło moje przeistacza, a nawet stwarza dusze ludzkie.

— Rewolucyę! Bajeczne złudzenie... Dziękuję ci za nie. Nie wiesz, mężu, co jest rewolucya i jakie ona daje rezultaty! Sądzisz, że mnie pochłonie jakakolwiek rewolucya? Wierz mi, że się mylisz. Rewolucya jest najzawilszą umiejętnością, której nie byłyby w stanie ująć w formułę umysły wszystkich razem Heraklitów i Empedoklesów, Helmholtzów, Du Bois Reymondów,

Thomsonów, Jamesów Clerków Maxwellów, jeżeli się zabiorą do jej traktowania, jako zjawiska podlegającego dokonaniu. Natomiast ja jeden wiem, czem są rewolucye, ponieważ ja je stale stwarzam. Ja z rewolucyi żyję, a ona żyje ze mnie. To też kiedy się zjawia przed oczyma ludzkiemi, gapie wskazują na ciebie, wołając: *auctor!* A wówczas, w tejże chwili ja z niej korzystam, poczciwy małżonku z komedyi Macchiavellego, który wierzysz w Mandragorę, lekarstwo na sposób poczęcia dzieci przez dziadów, z kobiet młodych, tęgich i pełnych żądzy. Słyszałeś? Ewo, idziemy!

— Idziemy... — rzekła, powstając z miejsca.

— Ewa idzie... z tobą? — zachłysnął się Bodzanta.

— Tak. Dość ma waszego blekotu cnoty.

Bodzanta pochylił się, jakby miał biedz ku Ewie. Wielka jego figura zakołysała się naprzód i wtył. W owej chwili Ewa tylnemi drzwiami wyszła. Za nią Płaza-Spławski.

W Warszawie, wbrew obietnicom, nie zastała Niepołomskiego. Zapewniano ją, że przyjedzie lada moment. Zastała natomiast Pochronia. Ten był w ostatniej nędzy. Mieszkał w izbie na czwartem piętrze. Szło się do tej izby po krętych, kamiennych schodach. Izdebka była ciasna, tuż pod dachem, nizka, z oknem wychodzącem na cuchnące podwórze-studnię. Na domiar złego Pochroń był ciężko chory. Gdy Ewa przyszła tam po raz pierwszy w towarzystwie Płazy-Spławskiego, było jej na tem poddaszu tak duszno, że ledwie mogła dech złapać. Pochroń przywitał ją obojętnie. Gdy spytała, gdzie jest Niepołomski, odrzekł najspokojniej, że na wyspie Cele-

bes. Gdy zaczęła czynić wyrzuty, czemu ją wyrwano ze wsi i tu przyprowadzono, obydwaj odpowiedzieli, że może sobie tam wracać, jeśli jej się podoba: Zresztą Płaza zaproponował jej „do czasu" mieszkanie u siebie, albo apartament oddzielny. Gdy dziwiła się tak wielkiej odmianie fortuny, — bogactwu Płazy i biedzie Pochronia, odpowiedziano, że ostatniego spotkały grube nieprzyjemności i niepowodzenia. Prawdopodobnie wskutek tych niepowodzeń meldował się w tym okresie czasu, jako Stanisław Kozielski. Miał długotrwałą gorączkę. Po całych dniach leżał nawznak z oczyma, wlepionemi w sufit. Ani jedno słowo nie wychodziło z jego ściśniętych ust. Czasem westchnienie... Na najpierwsze potrzeby łożył, (skąpo!), Płaza. Najczęstszymi gośćmi i jedynymi przyjaciółmi byli w tym lokolu trzej młodzieńcy, których Ewa poznała zaraz pierwszego dnia. Pierwszy z nich był to chłopiec lat dziewietnastu, gołowąs, blondyn niebieskooki. Stał zawsze przy ścianie, oparty o nią, jakby się lękał o całość swoich pleców. Gdzie stanął zresztą, tam sterczał godzinami bez ruchu, bez kaszlu, bez głosu, patrząc przed się w przestrzeń. Oczy miał przejrzyste, ogromne, bez żadnego wyrazu, jak woda w morzu. Włosy zaczesane „na jeża", mina chłopczyńska i nieruchomość czyniły zeń figurę zabawną, coś w rodzaju wielkiego chłopaka ze szkoły elementarnej. Drugi z kolei był zupełnie inny. Daleko starszy, ospowaty, z kłakami, zwisającymi na czoło i oczy, nie patrzał nigdy na rozmówcę i najchętniej prowadził dyskurs, stojąc bokiem albo tyłem do prowadzącego z nim dyalog. Lubił gadać, śmiać się z byle czego, używał wyrazów absolutnie nieparlamentarnych. Ćmił zawsze ohydny tytoń, skręcony w byle urywek gazety i umieszczony

w grubej cygarniczce ze zwykłej trzciny. Trzeci gość był ponurym suchotnikiem. Zazwyczaj siedział gdzieś w kącie, pluł gęstą flegmą wokoło siebie i klął straszliwie, podpierając głowę na obudwu rękach. Jeżeli kiedy stał, co się rzadko zdarzało, miał taką posturę, jakby mu zupełnie brakło brzucha. Jeśli kiedy mówił, to hieratycznie, wolno, niezrozumiale i z przewracaniem oczu. Wszyscy trzej przychodzili zawsze z „bronkami“ czyli „spluwami“, które mieli ukryte w sposób niedocieczony w tajnikach ubrania. Nieraz przynosili pieniądze i z wrzaskiem dzielili się nimi w tej izbie. Wyglądali z pozoru na rzemieślników, ale Ewa domyśliła się łatwo, co to za kawalerya.

Ponieważ Płaza-Spławski czynił jej nadzieję, że, jeżeli Niepołomski nie przyjedzie, umożliwi jej wyjazd zagranicę, więc czekała. Litość nad Pochroniem skłoniła ją do tego, żeby zamieszkać w jego izbie. Kupiła siennik za pieniądze pożyczone od Spławskiego i spała w kącie. Pochroń coraz ciężej chorował. Był czas, że utracił przytomność. W trakcie tej choroby Płaza-Spławski gdzieś znikł, jak senne marzenie. Przepadli także bez wieści trzej przyjaciele. Ewa została bez grosza. Poczęła tedy zarabiać w sposób wiadomy. Wkrótce najęła mieszkanie osobno, a dozorowała chorego dorywczo i nocami...

Dnie, tygodnie, miesiące...

Nierząd. Ciemna piwnica życia. Wywrócenie duszy na nice. Tortura czującej duszy. Dolina Tempe, gdzie nikt już nie ma imienia, a człowiek nieszczęśliwy

najchętniej zapomina, jakie jest jego własne imię. Przyszło zwolna stępienie moralne, dobro pozwalające żyć, zanik wrażliwości na wszystko z wyjątkiem jadła, odzienia, ciepła i zimna. Dochody zabierał Pochroń, skoro tylko przyszedł do zdrowia, tyle dając do ręki, ile było potrzeba na fatałachy, mieszkanie i żywność.

Kiedyś w zimie, o późnej wieczornej godzinie spotkała się w bocznej ulicy z Horstem. W pierwszej chwili chciała go wyminąć... Zaczepił ją. Szli. Opowiadał niektóre szczegóły o przedśmiertnych chwilach matki, (której zmarło się na wiosnę tego roku), kilka anegdot o Bannawskiej, to i owo o siostrze Anieli i o ojcu, który przy tej siostrze na łasce wisi. Wszystko to już było obojętne. Wiadomość o śmierci matki przeszła bez wrażenia. Odraza do całego świata „z tamtej strony“. Horst rzekł niespodzianie:

— Ewuś, chodź do mnie! Mieszkam niedaleko. Dam ci herbaty. Sam ugotuję... z koniaczkiem...

— Cóż to za „chodź“, kałmuku? Do kogo mówisz?

— No, więc uspokój się, skabiozo polna... Mówię, jak mi serce dyktuje. Niech panna prostytutka będzie łaskawa odwiedzić me progi...

— Nie pójdę.

— Dlaczegóż to?

— Bo śmierdzisz trupem.

— Jest! Kiedy nie za pieniądze, tylko z platonicznej miłości. Bo ja, wiesz, jestem chwilowo bez znaczniejszych zasobów waluty... Zawsze cię kochałem, a do

dyaska, ciągle platonicznie! Weźże to pod uwagę... Tak wiecznie być nie może.

— Wstąp do cyrku na Augusta.

— Nawet teraz nie chcesz mię ocenić.

— Nawet teraz.

— A pamiętasz, chciałem się z tobą ożenić, co?

— Pamiętam.

— A pamiętasz, kochałem się w tobie jak uczeń. Podsłuchiwałem pode drzwiami, jakeś wychodziła z domu, żeby tylko usłyszeć głos twoich kroków, stuk drzwi, gdyś znikała na pół dnia.

— A tak, jesteś pierwsze świństwo, które zobaczyłam w życiu...

— Pomówmy o tamtych czasach!

— Pudel Barnawskiej! Pan się pewno z nią kochasz, — he?

— Nie lubię tych przycinków. Czyż nie można dyskutować bez brzydkich wyrazów?

— Można, ale nie z tobą. A wiesz asan o tem, że jakeś to do mnie wybałuszał swe paskudne ślepia, że już wtedy...

— Co wtedy?

— A już wtedy, — che-che, — jakeś to pan u nas mieszkał, już wtedy puszczałam się tęgo. Nie umiałeś się do mnie zabrać.

— Kłamiesz, szelmo! Kłamiesz najpodlej w świecie!

— Doprawdy? Możesz sobie wierzyć, albo nie wierzyć... Jak ci się podoba. A ja już wtedy i z oficerami, i ze studentami, gdzie się tylko dało! Jakem się tylko mogła z domu wyrwać, to wnet po górkach studenckich... Matkę już wtedy wpędzałam w grób. Ojciec się rozpił.

— Kłamiesz, dyablico! Byłaś wtedy czysta, jak bukiet cyklamenów: Idź do dyabła!

— Tiens... A przecieś mię, łysy młodzianku, zapraszał do siebie.

— Nie, nie chcę! Nie mogę na ciebie patrzeć. A zresztą jestem chwilowo... bez tego... bez waluty...

— Wiem. Dość spojrzeć na te gałgany, w którvch się ślasz po ulicach. Ty, Horście! Ty Horście! Słuchaj, pójdę z tobą, ale mi pokaż, gdzie ojciec siaduje, w której knajpie.

— O, widzisz, rozumne słowo! Ale przyrzeknij, że pójdziesz, jak pokażę. Przyrzeknij, Ewuś, — samego mię więcej kosztuje... Przyrzeknij!

Bocznemi drzwiami, z podwórza weszli do przyćmionej izby bilardowej, gdzie o tej porze nie było nikogo. Ewa kazała podać dla siebie i Horsta po szklance kawy. Zajęła miejsce nawprost drzwi. Siedziała w mroku. Ujrzała ojca w tłumie grających w szachy. Siedział przy stoliku schylony, sprzeczał się z kimś zajadle. Stare zmarszczki, nowych tyle. Twarz ta sama, a jakby inna, zgłuszona, sterana, paskudna. Złożyła ręce na marmurowym stoliku, oparła na nich głowę i śledziła ruchy. Uśmiech dziwaczny opromienił jej twarz, usta i oczy. Jakieś uczucia dymiły się z jej duszy. Podniosła na Horsta oczy ponure, szatańskie, odrażające. Wycharczała:

— Nie gadaj mu, żem tu była. Słyszysz?

— No, słyszę. Także, nie miałbym nic pilniejszego!... Przecież to nie jest rzecz przyjemna.

— A tak...

W tej samej chwili oddawała się wyuzdanemu marzeniu: wstać ze swego miejsca, iść przez te drzwi na

palcach, rozsunąć graczów, paść z krzykiem radości na serce ojcowskie... Jeszcze bije na ziemi to serce... Słyszała w marzeniu, jak bije... Nazwała siebie samą najohydniejszem ulicznem wyzwiskiem, wstała, skinęła na Horsta i wyszła z nim.

Po upływie dwu lat, (i wyjściu ze szpitala), Ewa znalazła się na bruku chora, złamana, bez grosza. Za pożyczone od koleżanki pieniądze kupiła bilet do Kielc, tam najęła furmankę chłopską z okolic Głowni i puściła się na Majdan. Jakże teraz wyczekiwała widoku ogrodów! Chłop, który ją wiózł, zwracał się kilkakroć z rozmową, ale bezskutecznie. Ewa była zamknięta w sobie. Nareszcie wprost zapytał:

— A dokądże panią zawieźć? Do szpitala? Na Mazurkowe?

— Nie, zawieźcie mię na Majdan.

— Dobrze. Ino trza wiedzieć, kaj. Bo po śmierci starego pana już tam niema nijakich paniów.

— Po śmierci starego pana... to znaczy Bodzanty?

— No.

— To umarł Bodzanta?

— Juści.

— Dawno?

— Jeszcze w zimie tak rok pomarli gdzieś ta we świecie.

— Nie tutaj umarł?

— Nie, gdzieś ta daleko pomarli...

— A cóż mówicie, że na Majdanie niema nikogo?

— Prawdę mówię, — niema. Dziedziczka wzięła

i wygoniła te ta wszystkie panny, odebrałą ogrody i sprzedaje toto na działki.

— Dziedziczka, — to znaczy żona Bodzanty?

— No.

— A przecież z nią nie żył?

— A i cóż ta z tego, że nie żył, ale kościelna żona, nie rozwiodły się. Tera, jak pomarli stary pan przyjechała i cabas wszystko.

— Komuż zaś sprzedają ogrody?

— A różnym ta kaśkietowcom, a i chłopom to samo. Tyle co śpital ostał, ale i z tego nic chyba nie będzie, bo niema z czego.

— Dlaczegóż niema z czego?

— Wszystko obaliły, co stary pan wystroili, — wszystko het obaliły. Tera dziedziczka zamieszkuje pałac tak samo, jak było przed laty. W Głowni pałac wyczyściły, wyporządziły i dziedziczka zamieszkuje, jak się patrzy.

— A córka, panna Marta?

— A córka, panna Marta, to samo przy dziedziczce zamieszkuje, jako przy matce.

— A cóż ludzie, koloniści?

— A który się dorwał i kupił w te pędy, jak się dowiedziały o śmierci starego pana, to siedzi na swojem, a które nie miały rozumu i czekały, no to takim źle. Posprzedawali co się dało, a resztę dziedziczka wyprocesowała. Znowu wsie folwarki zabrała dziedziczka. Rządcę teraz najęła srogiego, — o — prawornego! Pan Malinowski się rządca nazywa.

— Jakże to tak można było zrobić.

— A tak. Stary pan nie wpisali wszystkiego, co ta stroili, akuratnie w rejent i teraz wszystko wzięły adwo-

katy i obaliły na ziemię. Nie było, padają, w rejencie opisane, — wszystko na nic. Skarżył ta dziedziczkę Mazurek, doktór, ale wygrała ze wsiem w sądzie, — i pokój.

— A cóż na to wy, chłopi?

— E, — a cóż ta my, chłopy? Jużci dobry był pan, dobrego chciał dla narodu. Wszyscy to samo gadają po wsiach. Ale on ta nie miał dobrze w głowie. Gdzież to jak świat światem kto słyszał, żeby ślachcic tyle darowizny narodowi darował! Zaraz my, co starsi po wsiach, gadajmy między sobą, że jużci on dobrego chce, ale cóż kiedy głupią ma głowę. I sprawdziło się.

Ewa kazała się zawieźć na Majdan. Dom zborny i domki w ogrodzie, budynek administracyjny i wszystkie inne były powynajmowane na letnie mieszkania. Zakłady ściśle dobroczynne szły jeszcze, szkoła jeszcze funkcyonowała, ale wszystko najoczywiściej chyliło się ku ruinie. Kościół stał niedokończony, poczerniały, pusty. Jak dawniej był wewnątrz czarujący w swojej prostocie i pięknie. Wzniosła oczy ku napisowi, który jej się wydał pisanym we mgle dalekiej: „Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa“...

Wielkimi krokami zeszła w dół i pobiegła do szpitala. Doktora Mazurka zastała w poczekalni. Zczerniał, jakoś zzieleniał i jeszcze bardziej wysechł. Uśmiechał się jeszcze, ale już z za cienia, który na jego twarz nizko opadał. Żartował, ale jakoś pośpiesznie... Nie mógł Ewie obiecać miejsca posługaczki, o które prosiła, bo szpital był w oblężeniu formalnem przez baby, żądające pracy, a funduszów żadnych. Chorych się przyjmowało trzecią część, a i ci żyli z jałmużny, z wyżebranego po miastach chleba. Mazurek znowu był sam, bez felczera, bez po-

mocnika. Nic nie mógł poradzić Ewie. Wynalazła furmankę i kazała się zawieźć do Głowni. Po drodze patrzyła na ziemie poparcelowane. Obok dawnych domów „pracowników“ budowano nowe izby. Zwożono drzewo na chałupy, obory, stodoły, chlewy. Pola przydrożne przedstawiały obraz rumowia i budowania. Babiny gotowały w kominkach, wydłubanych w ziemi, w rowach i przykopach. Chałupy ze starych stodół stawiano całymi zrębami na podłożonych kamykach.

Gdy przyjechała do krat ogrodowych, miało się już ku zachodowi. Ewa wkradła się do parku przez znane sobie przejście między żywopłotami. Ogarnęły ją ciche gwary przedwieczorne drzew, przedawny szum lip, łopot liści topolowych... Tułała się, jak duch nad stawem, nad stawem czarnym i cichym. Stanęła na chwilę przy stopniach kamiennych, gdzie, jak niegdyś, pływał czarny i biały łabędź.

— Czarny i biały łabędź... — wyszeptała.

Pragnęła coś sobie przypomnieć, ale przypomniała tylko niejasną, mętną gorycz. Uczuć nie było już żadnych. Były tylko rzeczy widzialne, rzeczy fizyczne, świat podobny do angielskiego sztychu kolorowanego. Świat ten był nieruchomy i pozbawiony głębi. Odeszła z nad wody i brnęła w górę aleją ku pałacowi. Chciała była znaleźć w sobie słowo, które wyrzecze do lokaja, skoro ją zapyta, jakiem prawem i po co tu przyszła. Lecz nie mogła znaleźć słowa skłamanego. Wszystkie słowa, które pamiętała, które mogła w swej drodze napotkać,— oznaczały prawdę. A prawdy nie mogła przecie powiedzieć... Nieoczekiwanie spotkała Martę.

Marta szła środkiem alei. Aleja głębią swoją była zwrócona ku zachodzącemu słońcu. Wielki cień od po-

staci Marty pierwszy uderzył zdumione oczy. Później dopiero sama postać...

Ewa wyszeptała do siebie, lecz głośno:

— Marta!

Zdało jej się przez chwilę, przez jedno mgnienie oka, że, jak na widok ojca, pobiegnie, upadnie, runie z krzykiem do nóg. Ale krzyk zamarł w gardle i nogi zdrętwiały. Szła dalej w rozsądku i spokoju. Marta, zrównawszy się, przystanęła. Patrzyła.

Ewa spostrzegła, że Marta wyrosła, stała się śliczną, prześliczną dziewicą. Ujrzała, że oczy Marty uroczo ocienione zostały przez rzęsy, że piersi jej znać pod stanikiem, a powłóczysta, bogata suknia osłania najcudniejsze biodra. Marta była modnie uczesana.

Ewa ujrzała w niej siebie. Poczuła wszystkością serca duszę swą w tamtej postaci. Stanęła, jak rażona widzeniem, i nie mogła ruszyć się z miejsca. Widziała, że jest poznana, ale nie śpieszyła powitać Marty, ani upaść do jej nóg dziewiczych, nie tkniętych rękoma i nie zhańbionych wzrokiem mężczyzny. Patrzyła wciąż oślepłemi oczyma w widzenie swoje.

Marta stała na miejscu ze spuszczoną głową, śmiertelnie blada od straszliwego uczucia litości i nieznośnego uczucia wstydu. W pewnej chwili podniosła oczy ciemne od zgrozy, głębokie, odpychające, dziewicze, żałosne... Niemiłosierny jej wzrók, jak połyskliwy miecz archanioła świecił płomieniem odrazy i czystości.

— Przyszłam... wycharczała Ewa.

Milczenie.

— Marto!

Marta milczała.

— Chciałam tylko spojrzeć...

Szept Marty:

— Papa umarł! Papa umarł!

— Umarł!

— Teraz, tu mieszka mama. I ja, nieszczęśliwa... Nic nie wiem, nic nie wiem... Wszystko!... Lepiej, żebyśmy się nie znały!

— Tak lepiej... Wyszłaś nareszcie z „ludu"... Dziedziczko!

— Ach! — krzyknęła żałośnie. — Mama! Mama nie znosi... Broń Boże, broń Boże!

— Ja odchodzę, coprędzej...

Ewa poczuła nareszcie, że jest dziewką schorowaną, zżartą od syfilisu, szelmą uliczną, sprzedajnem bydlęciem. Zatrzęsła się cała, aż do stóp od wyrzutów sumienia, czyli od lęku. Uczuła nienawiść. Skłoniła się dziwacznym, potwornym pokłonem szyderstwa i, targana od szaleństwa, zachichotała na cały głos chrapliwym swym głosem, podobnym do szczekania psa. Chichot odbijał się w ciemnym parku. Szybko, popod drzewami, cieniem zmykała, chichocząc, ku wylotowi alei. Gdy już była daleko, daleko, obejrzała się. Marta, jak skamieniała, tkwiła w tem samem miejscu. Jej prześliczna postać, postać-marzenie widniała w środku ulicy, zalana światłem zachodu, długi cień, jak szatę uroczą, rzucając na żółty blask chodnika.

Jeszcze jeden ukłon aż do ziemi, jeszcze jeden wybuch szyderczego chargotu...

Wydostawszy się z ogrodu, poszła szybko, nie oglądając się, na cmentarz wiejski, leżący wpobliżu zmurszałego kościołka. Idąc w pomroce naoślep, trafiła niezwłocznie do świeżego grobu Bodzanty. Trup jego był już przyciśnięty olbrzymim pomnikiem z białego marmu-

ru, kupą rzeźbionych kamieni, przywiezioną z Genui. Sterczały tam alegoryczne figury, stały się wieńce, pochodnie... Przy ostatnim blasku zorzy Ewa czytała długi napis, spleciony z bombastycznych, umówionych wyrazów. Czytała raz, drugi, trzeci. Nagle zrozumiała, że ten pomnik jest zniewagą Bodzanty, urągowiskiem rzuconem mu przez świat na bezsilne piersi. Poczuła, że ten pomnik jest prowakacyą, zaprzeczeniem wszystkiego, czem był Bodzanta, wyrazem tego wszystkiego, co on potępił i zwalczał. Poczuła mus walki w obronie Bodzanty, konieczność obrony przed zniewagą, którą był ten pomnik brzydki, łotrowski, głupi. Opętana od szatanów męczarni, rzuciła się na ów pomnik i poczęła walczyć z jego materyalną przemocą. Szarpała go pazurami, kopała nogami, usiłowała zwalić z miejsca ramieniem, biła weń głową. Śmiały się zeń bryły marmuru, spojone z ziemią, na której, stały, i spojone pomiędzy sobą kiamrami z żelaza. Nic nie pomógł oszalały krzyk i furya cielesna. Wyczerpana z sił od strasznej walki, zgłupiała, szlochająca, pokonana przez marmur runęła na płytę i, bezsilnie leżąc, kąsała zębami szumny napis, wbijała weń skrwawione palce, żeby wydrzeć litery. Noc osłoniła jej szaleństwo.

Kazano jej na oznaczoną godzinę „wyporządzić“ cztery b r o w n i n g i. Wyporządzenie polegało na tem, że miała broń wydobyć ze skrytki na poddaszu, wyczyścić waseliną i przygotować szufladeczki z nabojami. Czyściła tedy starannie waseliną czarne naczyńka śmierci, wygładzała niezłomne ich karby, zagłębienia i wnętrza, tak proste i nieodwołalnie konieczne w swojej kon-

strukcyi, jak prostą jest sama śmierć. Oddawna już, od czasu, kiedy zupełnie przeszła pod mocną rękę Pochronia i ofiarowana mu była na łaskę i niełaskę, lubiła tę czynność. Miała pasyę do zgłębiania prostej maszyneryi b r o w n i n g a, a szczególniej lubiła marzyć, patrząc na jego prostą postać. Śpiewała mu wówczas pioseneczki z pod serca, gaworzyła z nim o dawnych i przyszłych rzeczach. Piosneczka:

„Będziesz się wiecznie szargała w ulicach, gdy deszcz, zawieja. Będziesz czekała na łaskawego pana, który cię weźmie pod ciepły dach, nakarmi, napoi winem.

Panie łaskawy, mój piękny panie, ach, królewiczu nieznany! Weź mię pod dach. Wprowadź na schody i do komnaty... Niech się nie błąkam w wyziębłych ulicach, po mokrym bruku, po ślizkiej mojej ziemi!

Weź mię, niechaj nie moknę na deszczu, nie drżę od mrozu.

Będę ci wiernie, posłusznie służyła, jak pies. Będę ci do ostatka służyła, jak tresowany pies, ach, dobry panie!

Nigdy mię nie zapomnisz, gdy ci usłużę, gdy cię sztukami mojemi zabawię, ach, panie mój stokrotny!

Przypomnisz sobie zabawy moje, o jasny panie, gdy będziesz w twym złotym domu.

Gdy będziesz szedł boso i cichaczem, żeby nasłuchiwać pod drzwiami, czy nie kaszle syn twój maleńki, przypomnisz sobie...

A gdy się będziesz schylał nad kolebeczką zrodzonego z czystej dziewicy, która prócz ciebie innego nie pieściła kochanka, i kiedy struchlały będziesz zaglądał w jego oczęta od gorączki zamglone; i kiedy będziesz szeptał w noc czarną, w noc deszczową modlitwy ogłu-

piałe; i kiedy będziesz brodził po cichych dywanach twojego złotego domu, szarpiąc włosy, targając brodę i jęcząc, przypomnisz sobie...

Bo ja będę chodziła za twojemi wysokiemi oknami, za zasłonami twojej cudnej sypialni — w mrocznej ulicy...

A gdy zobaczysz, że skoczyła garączka i gdy ci się włosy zjeżą na głowie, i gdy ręce załamiesz i będziesz w ciemne okno patrzał, — może mię zobaczysz w ulicy, ach, złoty panie...

A gdy synaczek wyciągnie do ciebie chude rączyny i gdy cię wołać będzie, żebyś go ratował, a ty poweźmiesz wiadomość twoim wielkim, niezmierzonym rozumem, że mocniejsze są nadewszystko nasze skrofuły i że córeczka moja, gruźliczka tuli już do łona syneczka twego, — ujrzyj mię, panie, jak się będę szargała w mojej czarnej ulicy..."

I tego dnia Ewa doskonale przygotowała browningi. Były gotowe, ułożone w szufladzie stolika, kiedy jeden po drugim zaczęli ściągać: Pochroń, Batasiński z zapadniętym brzuchem, Grzywacz, wysoki, milczący blondyn, wreszcie dziobaty Fajtaś. Przynieśli ze sobą wiele salcesonu, kiszki podgarlanej, serdelków, bułek, czekolady, tudzież monopolu, — i odżywiali się w milczeniu, gościnnie częstując Ewę. W trakcie uczty Pochroń rozkazał Ewie ubrać się w najlepszą, najładniejszą suknię. Wyszła na poddasze, gdzie miała swój kufer, i szybko spełniła polecenie. Uróżowała się, upudrowała, nastroszyła włosy, wszystko jak należy. Czekała na dalsze rozkazy. Gdy mieli wychodzić, Pochroń podał jej bilet wizytowy, odbity na brystolowej kartce. Przeczytała z przyjemnością: „Ewa Pobratyńska".

Nie mogła pojąć, do czego to mogło służyć. Pochroń

łaskawie wyjaśnił, wdziewając swój elegancki żakiet, kapelusz i rękawiczki.

— Pojedziemy, ko-koszko, na ulicę Marszałkowską, pod numer 305, do domu, który dopiero co skończono stawiać.

— I ja?

— I ty.

— Oj, to dobrze!

— A widzisz. Każde pójdzie oddzielnie. Ty zaś pierwsza. Wszyscy pięcioro będziemy się mieć na oku. Wejdziesz prędko w bramę, ty pierwsza, i zaraz, nikogo nie spostrzegając, na lewo od frontu. Są tam schody marmurowe, wysłane dywanem. Na pierwszem piętrze jest tylko dwoje drzwi. Na tych co na lewo, niema żadnej tablicy, a na tych, co na prawo, jest duża blacha mosiężna z wyrytem nazwiskiem: „Łukasz Niepołomski“.

— A!

— Właśnie! Właśnie — a! Ten sam.

— Cóż on tam robi?

— Mieszka, kokoszko. To właśnie jego dom. W tem mieszkaniu, co bez żadnego napisu, mieści się biuro fabryk w Rosyi, których on jest współwłaścicielem, a teraz i głównym reprezentantem. Z jego mieszkania do tego biura są proste, niczem nie zaopatrzone, drzwi. A drzwi od biura ze schodów są tęgo bronione. Musimy wejść do jego pomieszkania. Rozumiesz, dziecko, a dopiero stamtąd do biura.

— Wchodźcie sobie nawet do czubatego dyabła, cóż to mnie obchodzi?

— To i ciebie obchodzi. Wejdziesz pierwsza, zadzwonisz do jego mieszkania. Lokaj nie otworzy z łańcucha. Przez szparę podasz lokajowi ten bilet i pocze-

kasz. Ten Niepołomski zaraz cię przyjmie, a jest teraz w domu, na obiedzie. Skoro lokaj spuści łańcuch, ty wejdziesz we drzwi. Staraj się jak najdłużej stać we drzwiach, dopytywać się, rozmawiać, bajać, żeby my mogli draba nagle zakatrupić i wejść sami.

— Takie to rzeczy...

— A takie. Nasza już będzie rzecz wyłamać tamte drzwi do biura i oporządzić kasy.

— A dacie to radę we czterech?

— Damy, kurko, damy. Urzędników tam jest sześciu, lokajów dwóch. Niepołomski to samo ma lokajów dwóch. No, sam. Damy radę.

— A to i Niepołomskiego będziecie trupić?

— To tam nie twoja rzecz. A niech ci zaś do główki nie przyjdzie, boby kuku... No, jazda!

Wszyscy czterej ukryli gdzieś w sobie nabite rewolwery, włożyli przyzwoite paltoty, pozawiązywali efektownie krawaty, oczyścili kapelusze i kolejno wyszli. Ewa szła ostatnia ze swym biletem wizytowym, ukrytym w torebce. Idyotyczny w duszy śmiech. Żadnej wiadomości o tem, co się dzieje. Ciekawość! Pasya, która się wdarła na szczyt, zwisła nad przepaścią i zapuszcza w głębinę wzrok. Co też to będzie? Niejasny dźwięk, coś, jakby matowe uderzenie: Łukasz Niepołomski. Jestże to słowo w pulsach uderzających, w zgrzycie tramwaju, czy w tonie dalekich dzwonów? Co ono znaczy? Nic. Nie znaczy nic. To dźwięk dzwonu. Nazwa bez rzeczy, którą oznaczać miała.

Stanęła przed nową, białą kamienicą. Olbrzymie tafle szyb sklepowych, jeszcze zamazane wapnem, zawieszone afiszami „do wynajęcia“, czarny marmur polerowany między taflami szyb.

— To tu... — wyszeptała. — Nazywa się Łukasz Niepołomski.

Brama domu nie była jeszcze gotowa. Zastępowały ją wierzeje, zbite z tarcic. Ewa odepchnęła jedną z wrótni i weszła na posadzkę sieni z żółtych kostek klinkieru. Na prawo były duże drzwi oszklone. Tuż tabliczka cd dzwonków. Na pierwszem miejscu przeczytała:

Łukasz Niepołomski.

Tępe, a szalone zdumienie, jak fuga szatańska, przeleciało przez nią od włosów głowy do paznogci stóp. Już nareszcie przyszła. Tu, na pierwszem piętrze! Nacisnęła guzik z całej mocy i oderwała palec. Tak niegdyś, jednego dnia, po spowiedzi... Był taki dzień w życiu. Sen krótki, głupi, bezrozumny.

Zaklekotało we drzwiach. Poszła na górę. Obejrzawszy się, spostrzegła, jak przez sen, wszystkich czterech: — Pochronia, Batasińskiego, Grzywacza i Fajtasia. Weszli za nią na palcach i bez najlżejszego szelestu zdążali na górę po marmurowych schodach. Na piętrze drzwi sąsiadujące przedstawiły się jej oczom tak właśnie, jak Pochroń opowiedział. Ze spokojem czytała wyryte na tablicy nazwisko Łukasza. Drzwi były półuchylone. Uchylona połowa zawarta na łańcuch.

— Kto to? — spytał głos z wewnątrz.

Wolno otwarła swą skórzaną torebkę i z uśmiechem podała bilet. Zadowolenie z tego tytułu, jak też zdziwi się Łukasz, przeczytawszy ten napis na kartce. To ona składa mu wizytę. Jego nazwisko wyrzeźbione na tablicy błyszczącej, a jej wylitografowane na wizytowej karcie. Tak oto składają sobie wizytę. Wszystko jest w porządku i według reguł życia. Uśmiech nie znikł z jej ust, gdy rzuciwszy okiem poza siebie, zobaczyła stoją-

cych za jej plecami czterech bandytów. Byli wyprostowani, nieubłaganie spokojni, uroczyści, gotowi do skoku, niemi. Twarz Pochronia wyrażała rozwagę, tamtych milczenie i posłuszeństwo. Drzwi otwarły się i Ewa stanęła na progu. Według rozkazu zasłoniła sobą wejście. Czuła na szyi oddech Pochronia . Oczy jej szukały Łukasza.

Łukasz stał w mroku korytarza. Tam w mroku—on!

Ujrzała twarz, włosy, przedział z boku, zarost.

Oczy jego gasły na jej widok i bezsilnie zawściągały się powiekami. Górna warga uchyliła się, żeby zabłysły... Krzyk z głębi serca:

— Łukasz! Uciekaj! Zabiją cię! Idą! .

— Kto idzie?

— Zamykaj drzwi! Od biura! Uciekaj do mieszkania!

Rzuciła się naprzód, żeby go zasłonić sobą, z wyciągniętemi rękami. Wepchnęła go we drzwi boczne, prowadzące do mieszkania. Było zapóźno.

Pochroń i trzej tamci runęli do przedpokoju. Pochroń od jednego ciosu sztyletem zabił lokaja i skoczył ku drzwiom do biur. Ale te drzwi były zatarasowane. Daremnie podważali je narzędziami wszyscy czterej. Nagle Niepołomski ukazał się w półotwartych drzwiach. Błysnęła lufa niklowanego browninga i huknął strzał jeden, drugi, trzeci. Pochroń odpowiedział strzałem, ale sam pośliznął się, zachwiał, sunął po ścianie. Padl na ziemię. Fajtaś oszalały strzelał we wszystkie klamki po kolei. Grzywacz otwarł wejściowe drzwi i ciągnął Pochronia na schody, ująwszy go pod pachy. Batasiński zatrzasnął drzwi, za któremi stał Niepołomski. Na progu Pochroń kazał się posadzić, nakazał szeptem spokój,

chwycił rewolwer lewą ręką, gdyż prawą miał strzaskaną na drzazgi. Zmrużył oczy i mierzył w Ewę, rozkrzyżowaną na drzwiach, za któremi stał Niepołomski. Strzelił. Zachwiała się i siadła na nogach. Obok niej charczał ostatkiem tchu przebity lokaj. Krew rzygała z jego ust na środek korytarza.

Leżąc na ziemi, Ewa marzyła, że nareszcie jest pod progiem Łukasza. Teraz mu opowie o dziecku. Zda mu nareszcie raport o tem, jak było. Żeby tylko wyszedł! Gdy po chwili ciemności podniosła głowę, spostrzegła, że w tej sieni pełno jest nóg ludzkich, kolb karabinów, mundurów. Draby jakieś, wojsko, policya! Ujrzała Pochronia głowę w jakichś łapach olbrzymich i jego straszliwe, groźne, nieubłagane oczy. Dźwignięto ją kułakami. Ktoś chwycił w garść jej włosy, owinął nimi pięść i tym porządkiem dźwignął ją z ziemi. Straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, uderzył ją widok straszniejszy, niż sama śmierć. Jakiś drab, rozebrany do koszuli, bił „w mordę“ związanego Grzywacza. Tamten milczał bez jęku, bez słowa, bez drgnienia. Oprawca bił go w brzuch, kopał między nogi i policzkował bez przerwy. Pochroń, leżący na pryczy, patrzał. Ewa zadrżała, zobaczywszy jego wzrok i skrzywienie ust. Przysiadła w kącie. Nad głową jej były balasy separatki policyjnej, dookoła prycze.

Straszliwy siepacz, spocony i zmordowany, porzuciwszy Grzywacza, zbliżył się do Pochronia i stanął nad nim.

— Powiesz sam — a?

Pochroń patrzał na niego pod blask, z uśmieszkiem.

Ewa zwlokła się z miejsca i czołgała ku niemu, żeby go zakryć przed posiepakiem. Padnie na niego piersiami i zakryje! Ale nim się dowlokła do środka nory, straciła drogę. Ciemność wielka... Jęk Pochronia. Słychać straszne razy w brzuch, w piersi, w gardziel.

Wtem za kratami głos! Jego to szept przejęty rozpaczą! Mówi Łukasz:

— Jest tu aresztowana razem z tymi zbójami — kobieta. Ona jest zupełnie, zupełnie niewinna! Przyszła mię ostrzedz. Jeden ze zbójów za to ją zranił. Proszę ją puścić natychmiast! Ręczę za nią całym majątkiem!

Podźwignęła się z ziemi na łokciach, żeby zobaczyć twarz. Teraz powie! Ujrzała go. Stał za drewnianemi kratami. Wielkie oczy wlepił w ciemność jaskini i szukał wzrokiem. Spotkały się ich oczy. Uśmiech anielskiej rozkoszy spłynął na wargi Ewy. Ale razem z uśmiechem krew znowu popłynęła z ust.

Raz jeszcze szyja tak lekko, tak lekko dźwignęła ciężką głowę. Ewa czuła, że dwie ręce wsunęły się pod jej włosy i dźwignęły z podłogi bezsilną czaszkę, — i że ona teraz w tych rękach troskliwych spoczywa. Już go dojrzeć nie mogła. Wiedziała, że sama leży na wznak, a on klęczy i w nieruchomych rękach głowę jej trzyma. Spłonęła wszystka w dziewczęcy, najdawniejszy swój uśmiech szczęścia i z tym uśmiechem boskiej radości na ustach umarła, szukając w mrokach śmierci jego spojrzenia.

KONIEC.



	Mk.	f
Dębicki Z. Oglądam się za siebie. Poezje	8	—
w opr.	15	—
Doll K. dr. O chorobach zakaźnych	3	—
Drzewiecki K. Spacery z panem Karolem Opowiad. dla dzieci	3	—
Dunin W. Prawa wojny i pokoju.	3	—
Eeden Van. Mały Janek. Książeczka dla dzieci	7	50
Elle H. Wojsko Polskie a przemysł	1	—
— Społeczeństwo a ofiary wojny	1	25
Epikur. Myśli		
Ernst. O. Historja młodego życia. Powieść dla młodzieży		—
Ewald K. Ciche jezioro. Dwunożne. Dwa opow. przyr. dla młodzieży opr.	8	—
Feldman W. Współczesna literatura polska 1864—1918 cz. I	8	
— — — — — II	15	—
— — — — — III	18	
— — — — — I III razem opr.	55	—
Wybór poezji młodej Polski		—
Filipkiewicz F. Sztuka dla dzieci. Teka zaw. sześć barwn. obrazków	12	—
France Anatol. Na kwiaty. Książeczka dla dzieci	7	50
France Anatol. Wybór pism w przekładzie Jana Stena		
— tom I Pisma krytyczne		—
— — II Gospoda pod królową gęsią nóżką	10	—
— — III Nowele	8	—
— — IV Tais	10	—
— — V W cieniu wiązów	8	—
— — VI Manekin trzcinowy	8	—
— — VII Pierścień z ametystem	8	—
— — VIII Wyspa pingwinów	12	—
— — IX Bogowie łakną krwi	12	—
Oprawy kartonowe	8	
France Anatol. Zazulka Opow. dla młodz. kart. 12.— w opr. ozdob.	20	—
Garski St. System filozofji T. I Zagadnienia wstępne	6	—
Gąsiorowska N. Książe Józef brosz. 5.— w opr.	12	—
Geijerstam G. Moi chłopcy		—
Gliwic H. Ewolucja Syndykatów cz. I Syndykat w walce z przesileniem	8	—
Grabiec J. Dzieje Polski Niepodległej	12	
— Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego	15	—
— Dzieje Współczesne (1871—1918). cz. I	8	
— — — cz. II	16	
— — — — — cz. I II razem w opr.	36	—
— Powstanie Styczniowe 1863—1864 br. 15.— w opr.	25	—
— Akt 5 listopada a Sprawa Polska	1	50
— Ku czemu Polska pójdzie	1	50

Autor	Tytuł		Mk.	f.
Grabiec J.	Sto lat walki o prawa Królestwa Polskiego 1815—1915		1	50
—	Syonizm niepodległościowy przeciw Państwu Polskiemu		1	50
—	Zagadnienie Sejmu Niepodległego Królestwa Polskiego		1	50
Hahn M. dr. prof.	O wyborze zawodu. Praca zaw. a właściw. organ.		2	—
Hertz B.	Henryś. Powieść dla dzieci	kart. 10.— opr. pł.	15	—
—	Bajki minionych dni	3.— w opr.	8	—
	Przygody Magdusi. Powieść dla dzieci		12	—
Heryng Z.	Finansowe podstawy bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce		1	50
Hoffman A. dr. prof.	O wyborze zawodu. Praca zaw. a ustr. nerw.		2	—
Holewiński J.	Budownictwo wiejskie		18	—
Hryncewicz-Talko I. Prof.	Człowiek na ziemiach naszych		25	—
		w opr. kart. 33.— w opr. pł.	40	—
Iłłakowiczówna I. K.	Trzy struny. Poezje 5.—	w opr.	10	—
Jabłczyński F.	U stóp Partenonu. Opow. z dz. Grecji dla młodz.		8	—
Jedlicz J.	Nieznanemu Bogu. Poezje		8	—
		w opr.	15	
Jur P.	Wiosenne dni. Powieść		8	
Kaden J.	Proch.			—
	Łuk. Powieść.		30	—
Karpowicz St.	Ideały i metoda wychowania spółczesnego		4	—
Kasprowicz J.	Wybór poezji	8.— w opr.	15	
—	Księga ubogich	12. w opr.	20	—
Kateria J.	Róża. Dramat niesceniczny			—
Konopnicka M.	Jak się dzieci w Bronowie bawiły		15	—
Korczak J.	Bobo		8	—
—	Jak kochać dziecko I. Dziecko w rodzinie			—
	„ „ „ II. Internat	w druku		
—	Jóźki, Jaśki i Franki	w opr.	12	50
—	Mośki, Joski i Srule	w opr.	12	50
—	Sława	w opr.	8	-
Koszutski St.	Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatnim trzydziestoleciu (1870—1900).			—
Krasiński Z.	Modlitwy			—
—	Poezje wybrane. w układzie St. Wyrzykowskiego 8.	w opr.	15	—
Kuśmierski Fr.	Jak obliczać deski, bale, belki		5	—
Kutrzeba St.	Królestwo i Galicja. Uwagi z czasu wojny		6	—
Kwiatkowski R.	Chiakunin-izszu czyli ze stu poetów po jednej pieśni kart.		12	
Lagerlöff Selma.	Cudowna podróż cz. I, II i III	po	15	—
Lazarusówna F.	Moja gromadka. Opow. dla dzieci		9	—
Lechoń Jan.	Karmazynowy poemat			—

	Mk.	f
Leonardo da Vinci. Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład i wstęp Leopolda Staffa 2 t. z rysunkami brosz. 36.— w opr.	70	—
Leśmian B. Klechdy sezamowe		—
— — — z ilustracjami	—	—
— Przygody Sindbada żeglarza w opr.	15	—
— Sad rozstajny. Poezje	8	—
w opr.	15	—
Lewes J. H. Historja filozofji starożytnej	8	
Ligocki E. Sambra i Moza	—	
Limanowski B. Dzieje Litwy	4	—
— Historja powstania narodu polskiego 1863/1864 r.	15	
— Szermierze wolności.	18	—
Liryka francuska serja I. Przekład Br. Ostrowskiej	8	—
w opr.	15	
— — — II. — —	8	—
w opr.	15	
Lorentowicz Jan. Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki	8	
w opr.	15	
Madeyski St. Marsz zuchowatych	7	50
Maier G. Prądy i teorje społeczne brosz. 6.— w opr.	12	—
Melcer H. Płynące godziny. Poezje	1	90
Mickiewicz Ad. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego w druku		
Minkiewicz R. O pełni życia i o komunie duchowej	4	
Mirandola F. Tempore Belli. Opowieść z dziejów rządów rosyjskich w Galicji	8	
Molnar Fr. Chłopcy z placu broni. Pow dla młodz. w opr. kart.	12	—
w opr. pł.	20	—
Mortkowiczowa J. Przygoda w lesie. Bajki dla dzieci	12	—
— Radosny dzień. Książka dla dzieci	9	—
— Stacho		—
— Wychowanie estetyczne		—
— Zaczarowana wyspa. Bajki dla dzieci	12	—
— Z naszej szkoły. Opow. o tem, jak dzieci pracow.	12	—
— Z naszej szkoły Serja druga 6.— w opr.	12	
Mortkowiczowa J. i Sempołowska S. W pamiętnym roku wojny. Książka zbiorowa dla młodzieży. Ilustracje S. Norblina	15	—
Mortkowiczowa J. Sempołowska S. W słońcu. Rocznik dla dzieci		
— — Z bliska i zdaleka. Rocznik w opr.	25	
Myśl Polska. Zeszyt pojedyńczy po	6	—
— — Komplet za lata 1915, 1916 i 1917. 6 tom. w opr. pł.	200	
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahâ-Bhâraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange		

		Mk. f
Nalepiński T. Kazia. Powieść.		16
Nałkowska-Rygier Z. Moje zwierzęta. Ilustr. C. Aldina		9 —
— Hrabia Emil. Powieść		
— Węże i róże.		10
Newlin-Wagner T. Wiecznemu pięknu (poezye)		4 —
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff, St. Wyrzykowski.		
— tom: I Tako rzecze Zaratustra wyd. tanie		8 —
	wydanie większe	15 —
— II Poza dobrem i złem		10
— — III Z genealogji moralności		10
— — IV Dytyramby Dyonizyjskie		6
— — V Zmierzch Bożyszcz		10
— — VI Wiedza radosna		12
— — VII Jutrzenka		12 —
— — VIII Antychryst		6 —
— — IX Narodziny tragedji		—
— — X Ludzkie arcyludzkie		12
— — XI Wędrowiec i jego cień		12
— — XII Wola mocy		15
— — XIII Niewczesne rozważania		10
— Ecce homo (Suplement)		10 —
	oprawy pł. po	15 —
Niewiadomski R. Piękna zabawa czyli teatr świata (z pamiętnika przybłędy na świecie)		11 —
Norwid C. Pisma wybrane t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział pierw.		75 —
— t. C. Pisma dramatyczne. Dział pierwszy		37 50
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy. Legendy i nowele.		37 50
	4 tomy w opr.	250 —
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen	8. w opr.	16 —
Nowaczyński-Neuwert A. Smocze gniazdo albo wybawienie djabła z szlacheckiej opresji. Dramat	brosz. 8. wyd. droższe	20 —
Orkan Wł. Młoda Ukraina. Wybór nowel zebrał i tłomaczył...		9 —
Orsza H. Na ziemi polskiej przed wielu laty		12 —
Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje		8 —
	w opr.	15
— Książeczka Halusi.		15
— O Janku Płanetniku		8.
Panteon. A. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego		—
J. Słowacki. Genezis z Ducha		—
Z. Krasiński. Modlitwy		—
Sofiści greccy. Wybór i przekład L. Staffa		—

Mk. f.

Panteon. Epikur. Myśli
— Kwiatki św. Franciszka z Asyżu wybrane przekł. L. Staffa
— Heraklit. Myśli
— Salomon. Pieśń nad pieśniami
— Spinoza. Myśli
— Nietzsche. Żart, chytrość i zemsta
— Epiktet. Encheiridion.
— Demokryt. Myśli
— Leonardo da Vinci. Myśli wybrane
— Petronjusz. Uczta.
— Marek Aureljusz. Myśli
— Pascal. Myśli

Pastorałka złożona z 7 kolend Rys. Z. Lubańskiej. 14 —

Pawlikowski J. G. Studjow. nad Królem Duchem część pierwsza; Mistyka Słowackiego —

Poincaré H. Nauka i hypoteza 8 —
— Nauka i metoda 12 —
— Wartość nauki 8 —
Oprawy po 8

Polska pod rządami okupacji 6

Renan E. Żywot Jezusa brosz. 4.— wydanie na lep. pap. 8

Rogoszówna Z. Dziecinny dwór
— Pisklęta. Nowele 8

Rogoszówna Z. i Rogosz-Pieńkowska J. W słoneczku. Poezje dla dzieci i młodzieży 15 —

Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie 5.— w opr. 10

S. A. M. Idea w ruchu rewolucyjnym 3

Salomon. Pieśń nad pieśniami w druku

Schlaf J. Wiosna. Przeł. i wstęp. zaopatrzył St. Przybyszewski 8
w opr. 15 —

Selmer Gjems Agot. Dzieciństwo mateczki 12 —
— Nad dalekim, cichym fiordem, il. C. Larsona 12 —
— Siostrzyczka. Ilustr. C. Larsona 12 —

Sempołowska S. Po pracy —
— Reforma szkolna 1862 r. 1 90
— Zapomniana karta — 50

Sempołowska S. i Unszlicht-Bernsteinowa J. Dla przyszłości. Czytania dla młodzieży i dla dorosłych
cz. I. My—ludzie i przyroda 6 —
— II. Religja w życiu ludzkości 6
— III Człowiek i ludzie. (Za wolność) 10 —

Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży 30 —
w opr. 50 —

		Mk.	f.
Sieroszewski W. Bajki		15	—
— Beniowski. Powieść hist.			—
— Ocean. Powieść hist.	brosz. 15.— w opr. kart.	22	50
— Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży		15	—
Słoński Ed. Jak to na wojence...		12	—
Słowacki J. Genezis z Ducha			—
— Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzykowskiego			
—	brosz. 10.— w opr.	17	—
— Utwory liryczne. Wybór. i układ St. Wyrzykowskiego		8	—
	w opr.	15	
Słowniczek wyrazów obcych polityczno-społecznych		1	—
Smoleński J. dr. Krajobraz Polski	15 — w opr. pl.	30	—
Sombart W. Socjalizm i ruch społeczny			—
Staff L. Oczy otchłani	5.— w opr.	10	—
— Ogród pieszczot	12.— w opr.	20	—
— Pieśń o skowronku	5.— w opr.	10	—
— Sady	5.— w opr.	10	—
— Ścieżki polne	16.— w opr.	24	—
— Wino miłości	5.— w opr.	10	—
Strug A. Chimera. Powieść	15.— w opr.	22	50
— Dzieje jednego pocisku. Powieść	brosz. 12.— w opr. kart.	19	50
— Portret. Powieść			—
Szarzyński J. E. W Karpatach. Powieść dla młodzieży		12	—
Szczęsny Al. Kolorowe okienko. Bajki dla dzieci	kart. 12.— w opr.	20	—
— Pieśń białego domu. Książka dla młodzieży	kart.	12	—
— To co się stało. Poezje		8	—
	w opr.	15	—
Thackeray W. Pierścień i róża	w opr. kart.	15	—
Toeplitz T. Druga izba Polskiego parlamentu		3	—
— Próba nowego administracyjnego podziału Król. Polskiego z 2 mapami		3	—
Trojanowski W. Malarstwo Włoskie z 40 planszami		50	—
	w opr.	75	—
Tuwim Sokrates tańczący		12	
Czyhanie na Boga	w druku		
Verlaine P. Wybór poezji.	brosz. 6. kart.	12	—
Walewska Jehanne M. (hr. Wielopolska). Faunessy. Pow. dzisiejsza		12	
— — — Kryjaki. O 63 roku opowieść Z przedmową S. Żeromskiego		12	
— — — Synogarlice		7	
Wasilewski L. Kresy Wschodnie		9	—
Wierzyński. Wiosna i wino. Poezye			
Wilde O. Opowiadania	w opr. kart.	12	

		Mk.	f.
Wroczyński K. Circenses. Poezje		5	
Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej	brosz. 12. w opr	20	
Zych M. Echa leśne			
— Rozdziobią nas kruki, wrony...		—	
— Słowo o Bandosie		3	—
Żeromski S. Charitas. Powieść współczesna.		30	—
— Duma o hetmanie (w druku)			
— Dzieje Grzechu (w druku)			
— Nawracanie Judasza			
— Organizacja inteligencji zawodowej		3	
— Początek świata pracy.		3	90
— Popioły wyd. nowe 3 tomy		45	—
— Powieść o Udałym Walgierzu	brosz. 8.— w opr.	15	—
— Projekt Akademii Literatury Polskiej		5	
— Sen o szpadzie i sen o chlebie		6	—
— Sułkowski. Tragedja	brosz. 15.— w opr. pł.	25	
— Syzyfowe prace		18	—
— Uroda życia 2 tomy			
— Wierna rzeka		—	
— Wisła	brosz. 5.— w opr.	10	
— Wszystko i nic. „Popiołów" sprawa druga".	brosz. 5.— w opr.	10	
— Zamieć			
Żywot chłopa polskiego na początku 19-go stulecia. Do druku podał M. Handelsman		3	

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta, 11.